

*Adiantum pinnatifidum*

E.S. Gardner

West





# Adorator panny West

## Rozdział I

Perry Mason przeglądał wniosek

apelacyjny, który przygotował jego współpracownik, Jackson.

Della Street, siedząca po drugiej stronie biurka słynnego obrońcy, bezbłędnie rozszyfrowała wyraz twarzy swego szefa.

- Będą jakieś poprawki? - zapytała.

- Nawet sporo - odparł Mason. - Po pierwsze, musiałem skrócić całość z dziewięćdziesięciu sześciu stron do trzydziestu dwóch.

- Boże miłosierny! Jackson powiedział mi, że po drugim skróceniu nie mógł już skreślić ani jednego słowa.

Mason uśmiechnął się.

- A co z maszynistkami?

- Stella choruje na grype, a Annie zawałona robotą.

- To trzeba kogoś przyjąć w zastępstwie -

poleciał Mason. - Akta tej sprawy muszą być gotowe na jutro - drukarz czeka.

- Tak jest, szefie. Zaraz zadzwonię do agencji i powiem, żeby natychmiast przysłali maszynistkę.

- Dobrze. Zanim przyjdzie, jeszcze raz przejrzę tekst i zobaczę, czy nie da się wyrzucić następnych czterech czy pięciu stron. Tego rodzaju streszczeń nie przygotowuje się dla zaimponowania klientom. Powinny być zwięzłe, a przede wszystkim napisane tak jasno, by Sąd mógł

zapoznać się ze stroną faktyczną sprawy jeszcze przed argumentacją prawną. Sędziowie znają prawo. A jeżeli nie są czegoś pewni, to zlecają swoim kancelistom, żeby sprawdzili za nich odpowiednie paragrafy i ustawy.

Mason chwycił gruby niebieski ołówek i zaczął jeszcze raz wczytywać się w akta, których stronicę nosiły ślady wielokrotnego redagowania.

Della Street poszła do sekretariatu, żeby zatelefonować w sprawie zaangażowania maszynistki. Kiedy wróciła, Mason uniósł oczy znad kartek.

- No i co, załatwiłaś? - zagadnął ją niecierpliwym tonem.

- W agencji nie mają teraz nikogo. To znaczy mają, ale raczej przeciętne. Powiedziałam im, że tobie jest potrzebna szybka, dokładna i pracowita maszynistka. Że nie masz czasu na powtórne czytanie i wyszukiwanie błędów czy literówek.

Mason nie przerywając pracy, skinął głową.

- Kiedy możemy jej oczekiwać?

- Obiecali przysłać kogoś, kto skończyłby przepisywanie tekstu jutro do wpół do trzeciej.

Ale może trochę potrwać, zanim taką dziewczynę znajdą. Powiedziałam im, że wyciąg z akt sprawy ma trzydzieści dwie strony.

- Dwadzieścia dziewięć i pół - skorygował

z uśmiechem Mason. - Właśnie wykreśliłem następne dwie i pół strony.

Kiedy w pół godziny później Mason kończył ostateczne redagowanie tekstu, do gabinetu wsunęła się Gertie, recepcjonistka kancelarii.

- Panie mecenasie, maszynistka już czeka.

Mason skinął z zadowoleniem głową i wyciągnął się w fotelu. Della przerwała układanie gotowych do przepisania materiałów, przyglądając się ze zdziwieniem Gertie, która z tajemniczą miną zamknęła za sobą drzwi do sekretariatu.

- Co się stało, Gertie?

- Ona się bardzo boi, szefie. Co pan jej takiego powiedział?

Mason w milczeniu popatrzył na Delię Street.

- Na Boga! - zdenerwowała się Della. - Ja w ogóle z nią nie rozmawiałam, tylko z panną Mosher, kierowniczką agencji.

- Ale ta dziewczyna - Gertie zniżyła głos do szeptu - jest śmiertelnie przerażona.

Mason uśmiechnął się porozumiewawczo do Delii. Skłonności Gertie do dramatyzowania każdej sytuacji były wszystkim dobrze znane i stanowiły powód do częstych żartów.

- Gertie, przyznaj się, co zrobiłaś, żeby ją tak przestraszyć?

- J a? co j a zrobiłam? Nic! Odpowiadałam właśnie na sygnał centrali telefonicznej, a kiedy się odwróciłam, ta dziewczyna stała już przy biurku. Nie słyszałam nawet jej kroków.

Usiłowała coś powiedzieć, ale nie udało jej się wykrztusić ani słowa. Stała i już. Nie zwróciłam na to specjalnej uwagi i dopiero później, kiedy zastanowiłam się nad tym, doszłam do wniosku, że ona oparła się kurczowo o biurko. Mogę się założyć, że kolana się pod nią trzęsły i...

- Mniejsza o to, co myślałaś - przerwał jej zaintrygowany mimo woli Mason. - Opowiedz lepiej, co się zdarzyło? Coś ty jej powiedziała, Gertie?

- Zapytałam: „Chyba pani jest tą nową maszynistką, co?”, a ona skinęła głową. „No, to niech pani usiądzie przy tym biurku, a ja przyniosę materiały do przepisywania”. To wszystko.

- A co ona na to?

- Usiadła na krześle za biurkiem.

- W porządku, Gertie, dziękuję.

- Ale ona była absolutnie przerażona, naprawdę - upierała się Gertie.

- Cóż, zdarza się - odpowiedział lekkim tonem adwokat. - Nowa praca działa na wiele dziewcząt deprymująco. Przypominam sobie Gertie, że i ty miałaś na samym początku jakieś kłopoty...

- Kłopoty! - wykrzyknęła z emfazą Gertie.

- Kiedy w biurze zdałam sobie sprawę, że mam w ustach gumę do żucia, myślałam, że się całkiem rozsypię. Trzęsłam się jak galareta. Nie wiedziałam, co zrobić i...

- A widzisz - uśmiechnął się uspokajająco Mason. - Leć do centralki, bo wydaje mi się, że słyszę sygnał

telefoniczny.

- O Boże, tak. Teraz nawet ja słyszę.

„Szarpnąwszy gwałtownie drzwi Gertie wybiegła do

sekretariatu.

Adwokat podał Delii Street teczkę z aktami.

- Daj jej to Della. Niech zacznie przepisywać. Kiedy po dziesięciu minutach Della wróciła do gabinetu, Mason zagadnął ją ironicznym tonem:

- Jak się czuje nasza przerażona maszynistka?

- Jeżeli to jest przerażona maszynistka, to zadzwońmy do panny Mosher i zaproponujmy jej, żeby straszyla wszystkie swoje dziewczęta, zanim pośle je do pracy.

- Dobra?

- Posłuchaj tylko.

Uchyliła lekko drzwi prowadzące do sekretariatu, skąd dobiegał równomierny odgłos maszyny do pisania. Klawisze uderzały w rekordowym tempie.

- Zupełnie jak grad walący w blaszany dach - roześmiał się Mason.

Della cichutko zamknęła drzwi.

- W życiu czegoś takiego nie widziałam.

Ta dziewczyna przysunęła maszynę do siebie, założyła papier, spojrzała na kopię, położyła palce na klawiszach i maszyna dosłownie eksplodowała.

Tempo jak na zawodach. A jednak... wydaje mi się, szefie, że Gertie miała rację. Może tę małą przeraziła perspektywa pracy u nas?

Prawdopodobnie słyszała coś o tobie i twoja sława wprowadziła ją w zakłopotanie. Bo powiedzmy sobie szczerze - sucho zakończyła Della - nie jesteś tak zupełnie nieznany.

- Yhm - mruknął nie speszony

komplementem Mason. - Przejrzyjmy lepiej pocztę. Trzeba z tego stosu wybrać najważniejsze listy. Jeśli ona będzie dalej pracować w takim tempie, to przepisze wyciąg z aktów przed czasem.

Della skinęła głową.

- Gdzie ją posadziłaś? Przy drzwiach do biblioteki?

- Tak, szefie. To było jedyne wolne miejsce, więc przesunęłam tam biurko. Wiesz przecież, że Stella nie lubi, kiedy się używa jej maszyny. Jest przekonana, że inna maszynistka natychmiast ją zepsuje, a w najlepszym wypadku zostawi po sobie bałagan.

- Skoro ta dziewczyna jest taka dobra, to zatrzymam ją tydzień lub dwa - zdecydował

adwokat. - Zaraz zawiadam agencję. Znajdzie się dla niej trochę roboty, co?

- No, myślę.

- To nie zwlekaj i zadzwoń do panny Mosher. Della zawahała się przez moment.

- Czy nie będzie lepiej, jeśli zaczekamy trochę i obejrzymy, co zrobiła? Jest wyjątkowo szybka, zgadzam się, ale nie wiemy, czy równie dokładna.

- Masz rację, Della. Zawsze lepiej najpierw spraw dźić, a potem decydować - zgodził

się potulnie Mason.

## Rozdział II

Della Street położyła plik arkuszy na biurku Masona.

- Pierwsze dziesięć stron, szefie.

Mason spojrział na bezbłędnie przepisany maszynopis i aż gwizdnął z zachwytu.

- To ja rozumiem, to się nazywa dobra robota! Della uniósłszy jedną ze stron, przechyliła ją tak, że światło odbiło się od gładkiej powierzchni.

- Sprawdziłam już w ten sposób dwie lub trzy strony i nie znalazłam ani jednego wymazanego miejsca czy poprawki. Ma świetne uderzenie i pędzi jak na wyścigach.

- Zadzwoń do panny Mosher - polecił

Mason - i dowiedz się czegoś o tej dziewczynie.

Jak ona się nazywa?

- Mae Wallis.

- Na co czekasz? Dzwoń.

Della uniosła słuchawkę i połączyła się z sekretariatem.

- Gertie? Pan mecenas chce mówić z panną Mosher z agencji usług biurowych... Nic nie szkodzi, poczekam.

- Halo, czy to panna Mosher?... Ach, nie ma jej?... Dzwonię w sprawie maszynistki, którą przysłaliście do nas. Mówi Della Street, sekretarka mecenasa Masona... Jest pani pewna?... Cóż, prawdopodobnie zostawiła gdzieś jakąś notatkę...

Tak, tak... przykro mi... Nie, nie chcemy dwóch maszynistek... Nie, nie. Panna Mosher przysłała już jedną, nazywa się Mae Wallis. Chciałam się dowiedzieć, czy możemy ją zatrudnić przez następny tydzień... Proszę powiedzieć panie Mosher, że dzwoniłam i czekam na jej telefon. Dziękuję.

Odłożywszy słuchawkę Della spojrzała ze zdziwieniem na adwokata.

- Panna Mosher wyszła, a urzędniczka, która ją zastępuje, twierdzi, że nikogo do nas jeszcze nie wysłała. Przed chwilą znalazła na swoim biurku kartkę z poleceniem przysłania nam odpowiedniej maszynistki. Tę notatkę zostawiła dla niej panna Mosher przed wyjściem z biura. Napisała na niej nazwiska trzech dziewcząt, ale jej asystentka odnalazła dotąd dwie. Jedna jest chora na grypę, druga ma pilną pracę, a z trzecią jeszcze się nie zdążyli skontaktować.

- To nie jest podobne do panny Mosher -

mruknął Mason z namysłem. - Zawsze jest bardzo dokładna. Jeżeli posłała do nas maszynistkę, powinna była zniszczyć pozostawione uprzednio polecenie. Zresztą, to nie ma znaczenia.

- Panny Mosher spodziewają się w biurze mniej więcej za godzinę. Prosiłam, żeby do nas od razu zadzwoniła.

Perry Mason pogрузił się ponownie w pracy. O wpół do czwartej przyjął klienta, który miał wyznaczoną na tę porę wizytę, a po jego wyjściu zaczął dyktować Delii jedno ze swoich słynnych przemówień.

O wpół do piątej Della zajrzała do sekretariatu.

- Pisze tak, jakby się jej ziemia paliła pod stopami - relacjonowała szefowi. - Bębni stronicę za stronicą.

- To dobrze - uśmiechnął się Mason. -

Kopia jest cała pokreślona niebieskim ołówkiem, niektóre zdania są wykreślone, a inne wpisane pomiędzy wierszami.

- Jakoś nie sprawia jej to najmniejszego kłopotu. Chyba ma zaczarowane palce...

Telefon na biurku Delii Street dzwonił

natarczywie. Położyła rękę na słuchawce kończąc rozpoczęte zdanie - bo same biegają po klawiaturze.

Podniosła słuchawkę.

- Hallo... Tak, panno Mosher.

Dzwoniłam w sprawie maszynistki, którą pani do nas przysłała...Co?... Nic pani o tym nie wie?... Nazywa się Mae Wallis... Powiedziała, że skierowano ją z waszej agencji, że pani sama...

Tak, tak przynajmniej ja zrozumiałam jej słowa... Bardzo przepraszam, panno Mosher.

Chyba zaszła jakaś pomyłka, ale ta dziewczyna jest wyjątkowo dobra... Tak, oczywiście. Kończy już przepisywanie. Bardzo mi przykro, porozmawiam z nią... Będzie pani jeszcze przez j jakiś czas w biurze?... Dobrze, porozmawiam z nią, a potem zadzwonię do pani... Ale tak powiedziała... Właśnie z waszej agencji... W

porządku, wkrótce zadzwonię.

Della odłożyła słuchawkę na widełki z dość niewyraźną miną.



- Tajemnica? - zakpił Mason.

- Można to i tak nazwać. Panna Mosher stanowczo twierdzi, że nikogo do nas nie posłała. Trudno jej było znaleźć wolną maszynistkę i do tego z kwalifikacjami, jakich ty wymagasz, szefie.

- Cóż, tym razem udało jej się to znakomicie - stwierdził Mason przeglądając maszynopis. - Albo komuś innemu się udało.

- No, to co robimy?

- Sprawdź, kto ją przysłał. Czy na pewno powiedziała, że to panna Mosher?

T Tak twierdzi Gertie.

- Opierasz się tylko n a j e j słowach?

Della skinęła głową.

- Rozmawiałaś z panną Wallis?

- Nie. Czekala w sekretariacie, żeby zabrać się do pracy, Podczas kiedy myśmy tutaj rozmawiali, ona znalazła papier i kalki. Wkręciła je w maszynę i wyciągnęła rękę po tekst.

Zapytała, czy chcę maszynopis z trzema kopiami. Kiedy powiedziałam jej, że potrzebne nam są tylko dwie kopie dla drukarza, mruknęła, że wkręciła' jeszcze jedną bibułkę, ale nie będzie sobie zawracać głowy wyjmowaniem jej.

Następne odpisy zrobi w tylu egzemplarzach, w ilu są nam potrzebne. Potem położyła rękopis na biurku, przez sekundę trzymała palce nad klawiszami i zaczęła walić.

- Pozwól - wtrącił Mason - że ci zwrócę uwagę na coś, co jasno dowodzi mylności wszelkich zeznań. Powiedziałaś pannie Mosher, z pełnym przekonaniem zresztą, że Mae Wallis oświadczyła, iż została skierowana z jej agencji.

Przypomnij sobie jednak dokładnie słowa Gertie. Powiedziała, że dziewczyna wyglądała na przerażoną i zakłopotaną i że chcąc ją ośmielić, zapytała, czy jest tą nową maszynistką.

Dziewczyna skinęła głową, Gertie zaprowadziła ją do biurka, lecz na pewno nie spytała, czy skierowano ją z agencji panny Mosher.

Przypomnij sobie dokładnie jej słowa.

- Może - odparła Della po chwili zastanowienia. - Odniosłam jednak wrażenie...

- Oczywiście - przyznał Mason. - Ja także. Ale doświadczenie, które zdobyłem w ciągu długich lat przesłuchiwania świadków, nauczyło mnie zapamiętywać dokładnie to, co dana osoba rzeczywiście powiedziała. Gertie nie zapytała tej dziewczyny, czy przysłała ją z agencji panny Mosher. Jestem

tego całkowicie pewien.

- To kto ją do nas skierował?

- Zapytaj o to pannę Wallis -

zapropował z uśmiechem Mason. - Nie pozwól jej odejść. Chciałbym jutro podgonić trochę zaległej pracy, a ta dziewczyna jest wprost znakomita.

Della wyszła szybko do sekretariatu i po powrocie, mrużąc filuternie oczy, zaczęła w milczeniu wykonywać gesty mające zobrazować czynność pudrowania nosa.

- Zostawiłaś jakieś polecenie?,

- Tak, kazałam Gertie przysłać ją do nas natychmiast

po powrocie.

- Jak daleko posunęła się z

przepisywaniem?

- Zrobiła już prawie wszystko.

Maszynopisy leżą na jej biurku, ale jeszcze ich nie rozdzieliła. Oryginały i kopie są razem. Wykonała kawał świetnej roboty, co?

Mason skinął głową i przechyliwszy się na obrotowym krześle, zapalił papierosa.

- Cóż - powiedział zaciągając się głęboko dymem - kiedy wróci, zobaczymy, co ma nam do powiedzenia. Jak

się tak nad tym zastanowić, to ta sprawa stanowi wcale intrygujący problem.

Zanim Mason zdążył dopalić papierosa, Della jeszcze raz zajrzała do sekretariatu.

- Ona na pewno należy do tych

nerwowych dziewczyn - mruknął z niezadowoleniem Mason, kiedy Della po powrocie odpowiedziała na jego nieme pytanie przeczą cym ruchem głowy - które zużywają masę energii na walenie w maszynę, a potem potrzebują Całkowitego wypoczynku. Papierosik albo...

- Albo? - dopytywała się z

zainteresowaniem Della.

- ... albo łyżeczek alkoholu. Zaraz, zaraz Della. Wprawdzie w tych aktach, które przepisywała, nie ma niczego tajnego, ale jeśli zatrzymamy ją jeszcze na cztery czy pięć dni, to dostanie materiał ściśle

poufny. Zajrzyj do toalety i sprawdź w jakiś sposób, czy nasz demon nie ma czasem małej buteleczki w torebce i czy nie zagryza teraz miętowym cukierkiem.

- Pociągnę również mocno nosem -

roześmiała się Della. Może dojdzie do mnie dymek marihuany.

- A poznasz, jak poczujesz? - Mason ironicznie przymrużył oczy.

- Oczywiście - odgryzła się natychmiast.

- Nie mogłabym pracować u jednego z najświetniejszych adwokatów w Ameryce nie poznawszy w praktyce, a przynajmniej w teorii, niektórych z najbardziej powszechnych form łamania prawa.

- Wygrałaś - skapitulował Mason. - Idź

teraz do niej i powiedz, żeby przyszła do gabinetu. Ale najpierw pogadaj z nią trochę.

Chciałbym wiedzieć, jakie wywrze na tobie wrażenie. Czy rozmawiałaś z nią długo, zanim przystąpiła do pracy?

- Nie. Zapytałam, jak się nazywa, i to chyba wszystko. Przeliterowała mi swoje imię, bo nie byłam pewna, jak się je pisze. Po prostu trzy litery. M-A-E.

Mason pokiwał kilkakrotnie głową. Della ponownie wyszła do sekretariatu i prawie zaraz wróciła.

- Nie ma jej, szefie.

- Do diabła, gdzie ona się podziała? -

zdenerwował się adwokat.

- Po prostu wstała i wyszła - rozłożyła bezradnie ręce Della.

- Może powiedziała Gertie, dokąd idzie?

- Ani słowa. Po prostu wstała i wyszła -

powtórzyła Della - a Gertie myślała, że śpieszy się do toalety.

- To dziwne. Przecież zwykle toaleta jest zamknięta na klucz, prawda?

Della przytaknęła ruchem głowy.

- Powinna była poprosić o klucz. Istnieje jeszcze możliwość, że ktoś zapomniał zamknąć drzwi, ale skąd ona mogła o tym wiedzieć? Nie zapytała nawet, jak tam trafić. A co z jej kapeluszem czy paltem?

- Widocznie przyszła do figury. Miała tylko torebkę przy sobie.

- Bądź tak dobra, Della, i przynieś ostatnie strony maszynopisu. Przejrzemy je.

Po chwili Della wróciła z plikiem przepisanych stron i podsuwając je Masonowi, zauważyła:

- Zostało jeszcze kilka kartek.

- Yhm... Nie zajmie jej to dużo czasu.

Prawie wszystko poskreślałem. W zakończeniu Jackson dał upust swojej elokwencji zalewając sąd tyradami na temat swobód obywatelskich, uprawnień konstytucyjnych i ściśle obowiązujących reguł w stosowaniu prawa.

- Taki był z tego dumny! Chyba nie skreśliłeś mu wszystkiego?

- Większość. Sąd apelacyjny nie interesuje się oratorstwem. Sąd obchodzi tylko fakty i prawo, do których należy je zastosować.

Na Boga, Della, czy zdajesz sobie sprawę, że gdyby sędziowie apelacyjni próbowali czytać każdą linijkę wszystkich wniosków apelacyjnych, które im się przedkłada, to pracując dwanaście godzin na dobę nie zdążyliby wszystkiego przeczytać.

- Nieprawdopodobne! Ale przecież czytanie pism apelacyjnych należy do ich obowiązków.

- Teoretycznie tak, ale zastosowanie tego w praktyce jest po prostu niemożliwe.

- To co oni robią?

- Większość z nich po pobieżnym przejrzaniu materiałów dotyczących sprawy wynotowuje istotne w świetle prawa fakty, skrętnie omijając patetyczne prośby, a następnie oddaje akta swoim kancelistom - perorował

Mason postukując w takt palcem. - Wiem z doświadczenia, że znacznie lepiej jest przedstawić dokumentację zawierającą absolutnie obiektywne i uczciwe zestawienie zaistniałych faktów, zarówno niekorzystnych, jak i korzystnych dla reprezentowanej strony, okazując w ten sposób pełne zaufanie do kompetencji sędziów apelacyjnych oraz do ich umiejętności posługiwania się prawem.

Adwokat może pomóc sędziemu

zaznajamiając go z faktami, wobec których ma być zastosowane prawo. Ale to wszystko. Bo gdyby sędzia nie znał prawa, to nie zasiadałby w trybunale apelacyjnym - Mason przerwał na chwilę. - Della, c o, u diabła, stało się z tą dziewczyną? - zakończył niespodziewanie.

- Na pewno jest gdzieś w budynku.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Bo... takie nasuwa się przypuszczenie.

Dedukcja, oparta na pewnym fakcie. Harowała ciężko całe popołudnie, ale nie odebrała pieniędzy. Nie zrobi nam chyba z nich prezentu, co?

- Powinna była skończyć przepisywanie tekstu - obruszył się Mason. - Przy tym wyścigowym tempie, nie zajęłoby jej to więcej niż czterdzieści czy pięćdziesiąt minut.

- Szefie - Della spojrzała na niego bacznie - jesteś przekonany, że ona wyszła i już tu nie wróci, prawda?

- Tak, tak sędzę.

- A może po prostu zeszła na dół kupić sobie papierosów?

- To już dawno byłaby z powrotem.

- Tak, chyba tak, ale... przecież musi odebrać pieniądze za swoją pracę!

Mason starannie układał przepisany tekst.

- Jakkolwiek było, pomogła nam w sytuacji podbramkowej - przerwał usłyszawszy pukanie do drzwi stanowiących prywatne wejście z korytarza do gabinetu. Szybko po sobie następujące uderzenia układały się w znajomy sygnał.

- To Paul Drake. Ciekawe, co go do nas sprowadza.

Wpuść go, Della.

W otwartych drzwiach stanął Paul Drake, szef agencji detektywistycznej, której biura mieściły się na końcu korytarza, tuż przy windzie.

- Wszyscy są tacy podekscytowani, a wy sobie spokojnie siedzicie? - wyszczerzył zęby w uśmiechu Drake.

- Podekscytowani? - zdziwił się Mason.

- W całym gmachu aż się roi od glin, a tylko wy dwoje jesteście zajęci prozaiczną działalnością kierowania nudną kancelarią prawną.

- Trafiłeś w sedno! - roześmiał się Mason. - Siadaj, Paul, i zapal papierosa. Co się stało? Byliśmy zajęci sporządzaniem akt.

- Mogłem się tego domyślić. - Drake usiadł na miękkim krześle zarezerwowanym dla klientów i zapalił papierosa.

- Co się stało? - powtórzył pytanie Mason.

- Policja goni za jakąś babką, która ukryła się gdzieś na tym piętrze. Nie przeszukali twojego biura?

Mason rzucił ostrzegawcze spojrzenie na Delię,

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Na pewno przeszukali.

- Della, zobacz, czy Gertie poszła już do domu. Della zajrzała do sekretariatu.

- Właśnie wychodzi, szefie.

- Zatrzymaj ją.

- Dobrze, jest dopiero przy drzwiach.

Gertie! - zawołała Della. - Czy możesz do nas zajrzeć na chwilę?

Gertie, gotowa już do wyjścia, zawróciła od drzwi.

- Słucham, panie mecenasie.

- Czy zaglądała do nas policja?

- Och, tak! Przepraszam, zupełnie wyleciało mi z głowy. Ktoś się włamał do jednego z biur na naszym piętrze.

Mason spojrzał na Delię.

- Czego chcieli?

- Chcieli wiedzieć, czy wszystkie osoby obecne w biurze są u nas zatrudnione, czy jest ktoś u pana w gabinecie i czy nie widzieliśmy jakiejś dziewczyny, złodziejki czy włamywaczki, już nie pamiętam.

- I coś im powiedziała? - głos Masona brzmiał zupełnie obojętnie.

- Powiedziałam, że poza panem w gabinecie jest tylko pana osobista sekretarka, że w biurze są tylko stali pracownicy oraz maszynistka zaangażowana do pilnej pracy zleconej.

- I co potem?

- Wyszli. A dlaczego?

- Och, nic. Po prostu głośno myślę, to wszystko.

- Może powinnam była pana

zawiadomić? Ale przecież wiem, że pan nie lubi, kiedy przeszkadzam w pracy.

- Nie, wszystko w porządku - uspokoił ją Mason. - Po prostu chciałem wiedzieć, co się stało, nic więcej. Dobranoc, Gertie! I baw się dobrze.

- Skąd pan wie, że mam randkę?

- Wyczytałem to w twoich oczach -

parsknął śmiechem Mason - Dobranoc, Gertie.,

- Tak - mruknął Drake - tak to wygląda.

Gdyby była w twoim gabinecie interesantka, policja obstawałaby przy rozmowie z tobą i zerknięciu na klientkę.

- Przeszukali całe piętro?

- Tak, przetrząsnęli wszystko. Lokal, do którego się włamano, znajduje się dokładnie naprzeciw toalety. Jedna ze stenografek wchodząc do toalety zauważyła młodą kobietę odwróconą do niej plecami i majstrującą przy zamku drzwi biurowych. Próbowwała najpierw jednego klucza, potem drugiego. W stenografce obudziło to podejrzenie, więc stała jak trusia, przyglądając się, co będzie dalej. Czwarty, a może piąty klucz pasował i dziewczyna wślizgnęła się do biura.

- Jakiego biura? - zainteresował się Mason.

- „Południowoafrykańskie Towarzystwo Importu i Eksploatacji Kamieni Szlachetnych”.

- I co dalej, Paul?

- Ta stenografka to całkiem cwana dziewczuszka. Zadzwoiła do administratora budynku, a potem stanęła przy windzie, bo zdecydowała, że jeżeli ta kobieta zjedzie na dół, to ona uda się w ślad za nią.

- To mogło być niebezpieczne - pokiwał

z dezaprobatą głową Mason.

- Wiem, ale to odważna smarkula.

- Rozpoznałaby tę kobietę?

- Nie, ale zauważyła, jak była ubrana.

Znasz przecież kobiety, Perry. Nie widziała jej twarzy, za to dokładnie zapamiętała kolor i krój kostiumu, odcień pończoch i pantofli, fryzurę, kolor włosów i tego rodzaju drobiazgi.

- Rozumiem - mruknął Mason, rzucając szybkie, ukradkowe spojrzenie na Delię. -

Przekazała ten opis i policji?

- Tak, oczywiście.

- I nie znaleźli jej?

- Nie, rozwiała się jak duch. Ale kierownik budynku dał im zapasowy klucz do biura „Towarzystwa Importu i Eksploatacji Kamieni Szlachetnych”. Cały lokal wyglądał, jakby cyklon po nim przeszedł. Widocznie poszukiwała czegoś w wielkim pośpiechu.

Szuflady wyciągnięte, papiery porozrzucane, wywrócone krzesła i stolik pod maszynę, maszyna na podłodze...

- A po dziewczynie ani śladu?

- Ani śladu po kimkolwiek. Dwaj pracownicy towarzystwa, Jefferson i Irving, zjawili się w kilka minut po

policji. Wrócili z lunchu i wprost ich zatkąło, kiedy zobaczyli, jakiego spustoszenia dokonano w biurze podczas ich krótkiej nieobecności.

- Ta dziewczyna prawdopodobnie zbiegła ze schodów na niższe piętro i dopiero tam wsiadła w windę - sugerował Mason.

Drakę zaprzeczył ruchem głowy.

- Administrator budynku wziął ze sobą stenografkę i stanęli na dole przy obu windach.

Obserwowali każdego, kto wysiadał. Kiedy przybyła policja, a wierz mi, że to trwało zaledwie minutę czy dwie, bo te ich radiowozy są szybkie jak błyskawice... więc kiedy przybyła policja, administrator poinformował ich o tym, co się stało. Policjanci udali się natychmiast na górę, a stenografkę i kierownika zostawili przy windach. Gliniarze nie byli specjalnie podejrzliwi, lecz na wszelki wypadek zajrzeli do każdego biura na piętrze, ot, po prostu dla kontroli.

- Sprawdzili w toaletach?

- No jasne. Natychmiast posłali tam kilka dziewczyn. To było pierwsze miejsce, za które się wzięli.

- Zauważyłem pewną prawidłowość, Paul. Jeżeli nie wychodzę naprzeciw przestępstwu, to przestępstwo przychodzi do mnie... pośrednio, oczywiście. A więc Jefferson i Irving zjawili się w kilka minut po policji?

- Zgadza się.

- A administrator był przy windach i czekał na tę dziewczynę?

- Znowu się zgadza.



- Znał lokal, do którego się włamała?

- Oczywiście. Powiedział policji, które to biuro i czym się zajmuje. Dał im nawet zapasowy klucz, żeby się mogli dostać do wewnątrz bez większych kłopotów.

- Yhm... A potem czekał przy windach razem ze steno-grafką, która widziała kobietę włamującą się do biura?

- Fakt.

- Czy to nie za dużo fady, żeby złapać nędznego złodziejaska?

- Nie powinienem mówić o moich klientach, Perry, i poza tobą nikomu bym tego nie powiedział, ale jak wiesz pracuję dla właścicieli budynku i mam pewne informacje. Otóż to

„Towarzystwo Importu Kamieni Szlachetnych”

oczekuje w najbliższym czasie przesyłki wartości pół miliona dolarów.

- Do diabła!

- Ruszyło cię, co? Wiesz, w jaki sposób dokonują teraz przesyłek? Ubezpiecza się je i wysyła „pocztą!”

- Jedna rzecz wydaje mi się dziwna -

rzekł w zamyśleniu Mason. - Jeżeli Jefferson i Irving przybyli tuż po policji, to czemu administrator, który obserwował w tym czasie windy, nie zatrzymał ich i nie zawiadomił, że w biurze jest policja i...

- Co się stało? - zapytał ze zdziwieniem Mason, kiedy Drake podskoczył niespodziewanie na krześle.

Detektyw bez słowa uderzył się

kilkakrotnie zaciśniętą pięścią w głowę.

- Co ty wyprawiasz?

- Próbuję sobie wbić trochę rozumu do tej mojej tępej łepetyny. Na Boga, Perry! Kierownik budynku sam mi opowiedział o tych wszystkich wydarzeniach, a takie proste pytanie nawet nie zaświtało mi we łbie. Muszę zatelefonować - i nie czekając na przyzwolenie połączył się z administracją.

- Mówi Paul Drake. Myślałem trochę o tym włamaniu do lokalu „Towarzystwa Importu Kamieni Szlachetnych”. Poinformowano mnie, że Irving i Jefferson, no wie pan, ci faceci, którzy prowadzą cały interes, przyszedli do biura w czasie, kiedy policja przeszukiwała pokoje.

W słuchawce coś zaskrzeczało.

- Rozumiem - przerwał Drake. - Pan stał

na dole, przy windach, to dlaczego nie powiedział

pan Irvingowi czy

Jeffersonowi, że policja jest w ich biurze...

Tym razem jemu przerwano. Słuchał

cierpliwie, a pod koniec zapytał:

- Chce pan, żebym się tym zajął, czy sam się pan tym zajmie?... Okay. To proszę do mnie zadzwonić, dobrze? Jestem teraz w biurze Perry Masona... Zaraz, zaraz. Centralka telefoniczna jest chyba wyłączana na noc. Będę czekał na telefon w moim...

- Chwileczkę, Paul - wstrzymała go Della Street. - Połączę nasz telefon z centralką, to będą mogli zadzwonić pod ten numer.

- W porządku - rzucił do słuchawki Drake. - Sekretarka Masona przełączy ten aparat na linię miejską. Dzwon pan, jak już coś będzie wiadomo, dobra?

Odłożył słuchawkę i siadając na krześle przeznaczonym dla klientów, wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Wybacz, że przypisałem sobie zasługę za twój pomysł, ale nie chcę stracić chleba.

Przecież nie mogłem mu powiedzieć, że takie proste pytanie nie przyszło mi do głowy, dopóki ty mi go nie podsunąłeś...

- Żadna zasługa. To było całkiem jasne.

- Oczywiście, że jasne. Właśnie dlatego walę się w łeb, że nie przyszło mi na myśl takie rozwiązanie. Kzecz polega na tym, że na początku wszyscy staraliśmy się odgadnąć, w jaki sposób ta dziewczyna rozplynęła się w powietrzu i chyba z tego powodu nie pomyślałem nawet, jak to się stało, że administrator nie zatrzymał Jeffersona i jego współpracownika, aby zawiadomić ich o włamaniu.

- Administrator mógł być

zdenerwowany.

- Zdenerwowany? Mało go szlag nie trafił! Znasz go, Perry?

- Tego nowego administratora?

Osobiście, nie. Rozmawiałem z nim telefonicznie, Della również. Nigdy go jednak nie spotkałem.

- To bardzo pobudliwy facet. Jeden z tych w gorącej wodzie kąpanych bubków, którzy wszystko muszą robić natychmiast. Trzeba jednak przyznać, że sprawnie odizolował ten budynek.

- O tak, rzeczywiście. Zdumiewająco dużo wysiłku włożyli w pościg za jedną dziewczyną.

Zadzwonił telefon.

- Prawdopodobnie do ciebie - Della nie ruszając się z krzesła skinęła głową na Drake'a, który natychmiast

podniósł słuchawkę.

- Hallo! Tak, jestem przy telefonie...

Aha, rozumiem. Oczywiście, tak się mogło stać, w porządku. Dziwne, że

pan ich nie zauważył... Rozumiem. Cóż, dziękuję. Pomyślałem, że powinniśmy to sprawdzić... W porządku. Nic dziwnego, że przy tym zamieszaniu nie przyszło to panu do głowy... Nie ma znaczenia. Zamierzałem pana o to wcześniej zapytać, ale po prostu zapomniałem, i dopiero teraz, przed pójściem do domu, postanowiłem sprawdzić... Okay. Dzięki.

Zobaczymy, co się da zrobić.

Drake odłożył słuchawkę i uśmiechnął

się szeroko do Masona.

- Ten facet teraz myśli, że pracuję nadprogramowo, wysilając mózg nad jego problemami.

- A co z tymi dwoma współnikami? -

zagadnął niecierpliwie Mason. - Jaką dał ci odpowiedź?

- Prawdopodobnie przeszli koło niego i wsiedli do windy, bo kierownik i stenografka zwracali uwagę na tych, którzy wysiadali.

W tym czasie, zaraz po lunchu, jest spory ruch przy windach. Administrator właśnie skończył rozmawiać z Jeffersonem przez telefon

- ciągnął po chwili milczenia Drake. - Jefferson powiedział, że widział go stojącego w holu na parterze z jedną z urzędniczek... chciał nawet zadać mu jakieś pytanie dotyczące budynku, ale zorientował się ze sposobu, w jaki administrator obserwował ludzi, że tamten czeka na kogoś.

Tak więc obaj współnicy przeszli obok niego i wsiedli do windy, która właśnie szła do góry.

- To brzmi prawdopodobnie - przytaknął

Mason. - Czy wiesz coś o Jeffersonie lub Irvingu?

- Nie za wiele; „Południowoafrykańskie Towarzystwo Importu i Eksploatacji Kamieni Szlachetnych” dopiero niedawno otworzyło biura w naszym budynku. Zajmują się głównie hurtowym handlem diamentami. Centrala znajduje się w Johannesburgu, ale mają filię w Paryżu. Transakcja wynajmu została przeprowadzona przez biuro paryskie. Napisali do kierownika domu, a on im przesłał plan piętra oraz wysokość czynszu. Podpisali kontrakt dzierżawny i wpłacili czynsz za sześć miesięcy z góry. Następnie przysłali z Południowej Afryki Davida Jeffersona, który zarządza tutejszą filią.

Jego asystent, Walter Irving, przyjechał z Paryża.

- Robią jakieś interesy?

- Jeszcze nie. To dopiero początek. O ile wiem, czekają na zainstalowanie sejfu wyposażonego w najnowocześniejsze urządzenia zabezpieczające. Ogłosili w gazecie, że poszukują pomocy biurowej i zakupili trochę mebli.

- Czy przywieźli ze sobą diamenty?

- Nie. Na nieszczęście dla nas, detektywów, tego rodzaju transakcji nie przeprowadza się już starym sposobem.

Kosztowności przekazuje się teraz ubezpieczoną przesyłką pocztową. Kamienie wartości pół miliona dolarów przesyła się jak paczkę brudnej bielizny. Spedytor płaci należność za odpowiednie ubezpieczenie i wlicza je do kosztów operacyjnych. Jeżeli kosztowności zaginą, towarzystwo ubezpieczeniowe wypisuje czek. Jest to niezawodny i prosty system.

- Aha, rozumiem - mruknął Mason w zamyśleniu. -

Ale w takim razie czego, do diabła, ta dziewczyna tam szukała? -- To jest pytanie za sześćdziesiąt cztery dolary.

- Na pewno nie było tam żadnych drogocennych kamieni?

- Na pewno. Dopiero kiedy zostanie dostarczona pierwsza przesyłka, założą system alarmowy, wstawią sejf gwarantujący bezpieczeństwo i inne tego rodzaju urządzenia.

To całe biuro jest teraz jak muszla bez perły.

Kiedyś to były czasy, Perry - ciągnął z rozmarzeniem Drake. - Posłaniec niósł pakiet drogocennych kamieni, a detektywów agencji zatrudniano jako asystę, specjalną ochronę, no i w ogóle. Teraz jakiś pracownik poczty, który nawet nie ma przy sobie rewolweru, przynosi paczkę wartości pół miliona, mówi „proszę tu podpisać”, a lalunie z sekretariatu grzecznie wpisują swoje nazwiska, wrzucają paczkę do sejfu i to wszystko.

Ten cały biznes opiera się na procentach.

Towarzystwa ubezpieczeniowe stanowią silną konkurencję. Jakby ci się podobało, gdyby takie towarzystwo ubezpieczyło twoich klientów od strat wynikających z wszelkiego rodzaju sporów prawnych? Twoi klienci płaciliby premię ubezpieczeniową, a potem potrącaliby ją jako koszty operacyjne i...

- Jednego taki system nie przewiduje, Paul - przerwał mu Mason. - Kiedy facet wędruje do komory gazowej, nie urządzi go nawet najwyższy czek ubezpieczeniowy.

- Do diabła, trafiłeś w dziesiątkę! -

zarechotał radośnie Drake, jakby to był najlepszy dowcip, jaki od dłuższego czasu usłyszał.

### **Rozdział III**

Po wyjściu Paula Drake'a adwokat milczał przez chwilę, a potem zwrócił się do Delii.

- Co ty o tym myślisz, Della?

- Obawiam się, że to zupełnie możliwe...

czas się zgadza i... Nieraz wydaje mi się, że za mało zwracamy uwagę na to, co mówi Gertie, ponieważ przyzwyczailiśmy się, że ona przesadza. Może tym razem nie przesadziła i ta dziewczyna była naprawdę przerażona... to jest całkiem prawdopodobne.

- Tak - zgodził się Mason - przyszła tutaj, kiedy zorientowała się, że ma odciętą drogę ucieczki. Nie było żadnego miejsca, gdzie mogłaby się ukryć. Musiała wejść do jakiegokolwiek biura. Wpadła do nas całkiem na ślepo, zastanawiając się, co takiego wymyślić, żebym zechciał udzielić jej natychmiastowej konsultacji. No i wtedy Gertie wygadała się, że czekamy na maszynistkę... Wiesz co, Della, rozejrzyj się po biurze. Ja też pójdę na małe zwiady.

- Czy mam zwrócić na coś specjalną uwagę?

- Obejrzyj dobrze maszynę, na której pisała i przeszukaj stolik pod maszynę. Potem idź do toalety i myszkujej po kątach. Może uda ci się coś znaleźć.

- Ależ, szefie! Przecież policja przeszukała tam każdy zakamarek!

- Nic nie szkodzi, zrób swoje. Zobacz, czy ona czegoś nie ukryła. Jestem pewien, że miała przy sobie coś, co ją parzyło w ręce i chciała to gdzieś ukryć, a potem, przy pierwszej okazji, odebrać. Ja idę po papierosy.

Przeszedł szybko korytarzem do windy, zjechał na dół, a następnie, powolnym już krokiem, skierował się do kiosku z papierosami, który mieścił się w holu. Stojąca za kontuarem wysoka blondynka o oczach lodowato niebieskich uśmiechnęła się bezosobowo.

- Halo - zagadnął ją Mason.

Widocznie tego rodzaju powitanie wzbudziło w niej podejrzenie, bowiem oczy dziewczyny stały się jeszcze bardziej zimne i ostrożne.

- Dobry wieczór - odpowiedziała chłodno.

- Chciałbym panią o coś zapytać.

- Sprzedajemy cygara, papierosy, gumę do żucia, cukierki, gazety i czasopisma.

- Och, niech mnie pani źle nie rozumie -

roześmiał się Mason.

- Ani pan mnie.

- Zajmuję już od dłuższego czasu biuro w tym budynku, ale panią widzę po raz pierwszy.

- Nic dziwnego, bo dotąd właścicielem był pan Car-son, a ja odkupiłam ten kiosk od niego... Och, dopiero teraz poznaję! Pan Perry Mason, słynny adwokat. Myślałam, że pan jest...

wie pan, wiele ludzi wyobraża sobie, że jeżeli dziewczyna prowadzi kiosk z papierosami, to prawdopodobnie ma coś więcej na sprzedaż.

- Proszę o wybaczenie - sumitował się Mason. - Powiniennem był przedtem się przedstawić.

- W czym mogę pomóc, panie

mecenasie?

- Prawdopodobnie w niczym. Chciałem zasięgnąć kilku informacji, ale pani jest tutaj nowa i chyba nie zna dostatecznie lokatorów budynku...

- Tak, ma pan rację. A poza tym nie mam pamięci ani do twarzy, ani do nazwisk.

Staram się zapamiętać chociaż stałych klientów, a i z tym mam sporo kłopotu.

- Na moim piętrze jest dwóch nowych przybyszy. Jeden nazywa się Jefferson, a drugi Irving.

- Och, ma pan na myśli tych ludzi z firmy importującej szlachetne kamienie?

- Tak. Zna ich pani?

- Nie, ale teraz wiem, którzy to są. Po południu było u nas straszne zamieszanie.

Podobno włamano się do biura tych panów i...

- Wskazano ich pani?

- Tak. Jeden z nich, chyba to był pan Jefferson, kupił papierosy, no i opowiedział mi, co się stało.

- Ale nie znała ich pani przedtem?

- Z widzenia? Mason skinął głową.

- Nie. Przykro mi, że nie mogę panu pomóc.

- Och, to nie ma znaczenia.

- A dlaczego pan pyta, panie mecenasie?

Czy jest pan zainteresowany tą sprawą?

- Pośrednio - uśmiechnął się Mason.

- Jaki pan tajemniczy. Wprawdzie nie rozpoznałam pana w pierwszej chwili, ale tyle słyszałam o panu, że mam takie uczucie, jakbyśmy się bardzo dobrze znali. Co to znaczy

„pośrednie zainteresowanie?”

- Nic, o czym warto by było mówić.

- Mój kiosk stoi w samym centrum, to świetne miejsce obserwacji. Jeżeli kiedykolwiek będą potrzebne panu jakieś informacje, proszę mnie zawiadomić. Sprawę mi wielką przyjemność, jeżeli moja pomoc na coś się przyda. Może na początku nie pójdzie mi łatwo, bo krótko tutaj pracuję, ale nauczę się rozpoznawać ludzi i... no... po prostu chcę, żeby pan pamiętał, że jeżeli cokolwiek mogę dla pana zrobić, to wystarczy jedno słowo.

- Dzięki - powiedział ciepło Mason.

- Czy chce pan, żebym porozmawiała jeszcze raz z Jeffersonem? Kiedy sprzedawałam mu papierosy, był bardzo uprzejmy i gawędził

ze mną przez cały czas. Wcale go nie zachęcałam, ale miałam uczucie... cóż, wie pan, jak to jest, panie mecenasie.

- Myśli pani, że on jest samotny i że wpadła mu pani

w oko? - zagadnął ją z uśmiechem Mason.

- Tego nie powiedziałam - i choć wyrzekła te słowa lekkim tonem, widać było, że komplement sprawił jej przyjemność.

- Ale chyba łatwo dałby się ośmielić?

- Chce pan, żebym spróbowała?

- A pani chce?

- Uzależniam to od pana.

Mason dyskretnie wsunął jej do ręki dwudziestodolarowy banknot.

- Niech się pani postara dowiedzieć, gdzie był administrator, kiedy Jefferson i Irving wrócili z lunchu.

- Dziękuję, panie mecenasie. Trochę mi głupio brać te pieniądze, bo znam odpowiedź na pana pytanie.

- O, słucham.

- Ci dwaj przyszli w czasie, kiedy administrator i jakaś młoda kobieta stali przy windach. Jeden z nich zbliżył się do nich, tak jakby chciał im zadać jakieś pytanie, ale gdy zobaczył, że administrator jest zajęty obserwowaniem wind, zawrócił. Nie zastanawiałam się wtedy nad tym, lecz później, kiedy wskazano mi **obu** mężczyzn, przypomniało mi się to drobne wydarzenie. Mam nadzieję, że ta informacja pana zadowala.

- Tak, dziękuję.

- To ja dziękuję, panie mecenasie.

Naprawdę, sprawi mi wielką przyjemność, jeżeli będę się mogła na coś panvj przydać i nie musi mi pan za każdym razem robią prezentu z dwudziestu dolarów...

- Dzięki, ale nigdy nie biorę czegoś za nic.

- To podobne do pana - odrzekła uśmiechając się promiennie.

Mason pojechał windą na górę.

Della Street w stanie tłumionego podniecenia czekała na niego w gabinecie.

- Dobry Boże! - wybuchnęła, zanim zdążył zamknąć za sobą drzwi. - Jesteśmy zamieszani w tę całą kabałę aż po uszy.

- W co jesteśmy zamieszani?

Della wyciągnęła rękę, na której leżało małe, kwadratowe pudełko z blachy.

- Co ty tam masz? - zainteresował się Mason.

- Spory kawałek na wpół zeschniętej gumy do żucia.

- Gdzie ją znalazłaś?



- Była przylepiona pod blatem biurka, przy którym pracowała Mae Wallis.

- Chciałbym to zobaczyć.

Della otworzyła pudełko, na dnie którego leżała duża bryłka gumy do żucia.

- W takim właśnie kształcie znalazłam ją pod spodem biurka.

- I co zrobiłaś?

- Odciełam starą żyletką. Dokładnie widoczne są odciski palców w miejscach, gdzie przyciskała gumę do biurka.

Mason spojrzał trochę kpiąco na Delię.

- Brawo, moja droga, zrobił się z ciebie szatański wprost detektyw. Mamy więc kilka odcisków palców.

- Waśnie.

- Chyba nie pokażemy ich policji, co?

- Nie, chyba nie.

- No, jeżeli nie zależy nam specjalnie na współpracy z policją, to należało zniszczyć odciski palców podczas usuwania gumy.

- Chwileczkę, szefie, jeszcze

wszystkiego nie widziałeś! - zawołała Della. -

Olbrzymi kawał gumy, prawda? Ta dziewczyna nie mogła mieć w ustach takiej ilości gumy na raz.

- Myślisz, że przyklejała ją na raty?

- Myślę, że przyklejała ją w jakimś celu.

Od razu mi to przyszło do głowy, kiedy zobaczyłam tę wielką kulę - odpowiedziała zdecydowanym tonem Della.

- Aha. A w jakim celu?

Della odwróciła pudełko do góry dnem nad biurkiem Masona i guma wypadła na bibularz.

- Tą stroną - wskazała palcem - była przyklejona do spodu biurka.

Mason spojrzał na popękaną w kilku miejscach gumę do żucia. Małe otworki iskrzyły się blaskiem.

- Dobry Boże! Ile tego jest?

- Nie wiem - wzruszyła ramionami Della. -

Nie chciałam dotykać. Ta guma jest w takim stanie, w jakim ją znalazłam. Ale i tak widać wystające części dwóch dużych brylantów.

Adwokat uważnie przyglądał się bryłce gumy do zucia.

- To stanowi dowód rzeczowy, Della.

Musimy bardzo uważać, żeby nic mu się nie przytrafiło.

Della z przejściem skinęła głową.

- Myślisz, że ta guma jest wystarczająco twarda i nie rozleci się?

- Wewnątrz jest jeszcze miękka, ale na powietrzu szybko stwardnieje.

Mason włożył bryłkę do blaszanego pudełka i przechylając je do tyłu i do przodu, tak, by nie dotykając bryłki móc ją obejrzeć ze wszystkich stron, zauważył:

- Te dwa odciski palców są wyjątkowo dobre. Trzeci jest już gorszy. Wygląda raczej na bok palca. Ale te dwa są doskonałe.,

Della przytaknęła.

- Najprawdopodobniej kciuk i palec wskazujący. Po której stronie biurka znajdowała się guma?

- Po prawej.

- W takim razie to powinny być odciski prawego

kciuka i prawego wskazującego palca.

- To co teraz zrobimy? - zaniepokoiła się Della. - Wezwiemy policję?

Mason wahał się przez chwilę.

- Chciałbym przedtem dowiedzieć się czegoś więcej o tej całej sprawie. Znalazłaś coś w toalecie?

- Przetrzęsnałam wszystko lepiej niż tuzin sprzątaczek. Grzebałam nawet w kontenerze na mokre ręczniki papierowe, no wiesz, takie wielkie metalowe pudło z ruchomą pokrywą, którą można przesuwac do przodu i do tyłu i z obu stron wpychać ręczniki.

- Tak, wiem. Znalazłaś coś?

- Ktoś wrzucił do zbiornika listy miłosne i musiał się chyba bardzo, ale to bardzo śpieszyć.

Ta dziewczyna nie zrobiła nic, żeby zabezpieczyć listy przed czyimś wścibstwem. Nawet nie przedarła ich na pół.

- Pokaż - zainteresował się gwałtownie Mason.

- Były w jednej paczce i mam je wszystkie. Upiekło mi się, bo największy ruch już minął. Wyobrazasz sobie, jak głupio bym się czuła, gdyby ktoś wszedł i złapał mnie na grzebaniu w zbiorniku na brudne ręczniki!

Mason zajęty przeglądaniem listów, mruknął coś pod nosem.

- Jakie wyciągnęłaś wnioski? - pozornie obojętnym tonem zapytała Della.

- Aha, wnioski - powtórzył z namysłem adwokat. - Albo, tak jak ty sugerujesz, osoba, która je zostawiła diabelnie się śpieszyła, albo zostały one specjalnie podłożone, ponieważ ten ktoś chciał mieć gwarancję, że listy zostaną zauważone i że odczytanie ich nie sprawi żadnych trudności. Innymi słowy, to mi jakoś dziwnie pachnie. Trudno przecież uwierzyć, że dziewczyna, która chce się pozbyć listów, jest tak nieostrożna, że wrzuca całą paczkę do zbiornika na brudne ręczniki... Oczywiście, mogły zostać podłożone w jakimś innym celu.

- A może mężczyzna? - zagadnęła Della Street. - Listy adresowane są do mężczyzny i...

- I znalezione w damskiej toalecie.

- Tak, słusznie.

Mason milczał przez chwilę, zajęty czytaniem jednego

z listów.

- Wiesz, Della, to bardzo dziwna korespondencja, a stylizacja wprost osobliwa.

Posłuchaj tylko:

*„Mój najdroższy Książę z Bajki!*

*Kiedy wczoraj odjeżdżałeś na Twoim rumaku, chciałam Ci powiedzieć wiele rzeczy, lecz pomyślałam o nich dopiero, gdy mnie już opuściliś.*

*Błyszcząca zbroja i wspaniały hełm sprawiły, że Twój obraz skojarzył mi się z jednym z Rycerzy Okrągłego Stołu i poczułam się oddalona od Ciebie jak istota z innego, gorszego świata... Prawdopodobnie nie wiesz tego, mój Książę z Bajki, lecz wyglądałeś bardzo przystojnie, siedząc z uniesioną przyłbicą na koniu, którego pochylony łeb i ciężko poruszające się boki pokryte były potem z wysiłku dźwigania Ciebie podczas ostatniej misji - niesienia pomocy młodej damie w niebezpieczeństwie. Słońce odbite w Twojej lśniącej zbroi..."*

Mason przerwał i spojrzawszy na Delię Street, parsknął krótkim śmiechem.

- Co to jest, do diabła?

- Spójrz na podpis, szefie.

Odwrócił dwie strony i przez kilka sekund przyglądał się podpisowi: „*Twoja wierna i oddana Mae*”.

- Zwróciłeś uwagę na pisownię? -

powiedziała Della. - M-A-E.

Mason zmarszczył brwi i mruknął:

- Brakuje nam tylko morderstwa, Della, żebyśmy się znaleźli w podbramkowej sytuacji.

- Niby dlaczego?

- Zatajenie przed policją dowodów rzeczowych.

- Chyba nie zamierzasz im powiedzieć o Mae Wallis? Adwokat zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie mam odwagi, Della. Nie zadaliby sobie najmniejszego trudu, aby mi uwierzyć.

Zdajesz sobie sprawę, w jakiej bym się znalazł

sytuacji? Starabym się wytłumaczyć, że podczas kiedy policja szukała po całym budynku kobiety, która włamała się do „Południowoafrykańskiego Towarzystwa Importu i Eksploatacji Kamieni Szlachetnych”, ja siedziałem niewinnie w gabinecie i nawet mi do głowy nie przyszło, że powinienem ich zawiadomić o maszynistce, która spadła jak z nieba w krytycznym momencie, sprawiała wrażenie przerażonej i rzekomo została przysłana z agencji panny Mosher, chociaż już wtedy wiedziałem, że w agencji nie mieli o niej zielonego pojęcia.

- Tak - uśmiechnęła się ironicznie Della.

- Biorąc pod uwagę twoje koneksje i reputację, nie zdziwiłabym się wcale, gdyby policja przyjęła to trochę sceptycznie.

- Bardzo sceptycznie - potwierdził ze złośliwym błyskiem w oczach Mason. - A ponieważ popadanie

w nałóg sceptycyzmu jest dla policjantów niezdrowe, musimy zadbać o to, żeby nie znaleźli się w kłopotliwej sytuacji.

## Rozdział IV

Trzy dni później, kiedy Mason otworzył

drzwi do swojego gabinetu, zastał Delię Street oczekującą go przy biurku, na którym leżał w idealnym porządku cały stos poczty.

- Szefie - powitała go od progu głosem pełnym napięcia - szukałam cię wszędzie. Siadaj i wysłuchaj mnie.

zanim ktokolwiek się dowie, że jesteś w biurze.

Mason powiesił w szafie kapelusz, usiadł

za biurkiem i spojrzawszy uważnie na Delię, powiedział łagodnie:

- Ale jesteś roztrzęsiona! Co znowu wyskoczyło?

- No, mamy morderstwo!

- Co to znaczy „mamy morderstwo”?

- Pamiętasz, co powiedziałaś przy tych diamentach? Że brakuje nam tylko morderstwa do pełnego kompletu.

Mason wyprostował się gwałtownie w krześle.

- Co się stało, Della? Dawaj fakty.

- Nikt dokładnie nie wie, a co chodzi, ale David Jefferson z „Południowoafrykańskiego Towarzystwa Importu i Eksploatacji Kamieni Szlachetnych” został zaaresztowany za morderstwo. Walter Irving, drugi pracownik tej firmy, czeka na ciebie w sekretariacie. Przyszedł

telegram z ich centrali w Południowej Afryce z zawiadomieniem,

że polecili tutejszemu

przedstawicielstwu wypłacenie tobie, szefuniu, dwóch tysięcy dolarów jako honorarium. Chcą, żebyś reprezentował Jeffersona.

- Morderstwo? - wrzasnął podniecony Mason. - Do diabła! A kim jest nieboszczyk?

- Nie wiem. W ogóle, poza dwoma faktami, mało wiem o tej całej sprawie.

Przyszedł do ciebie telegram, to fakt pierwszy, a drugi, że Walter Irving był już u nas trzy razy, bo

chce się z tobą skonsultować. Początkowo prosił, żebym zawiadomiła go natychmiast po twoim przyjściu, ale w końcu zdecydował, że będzie pewniejszy, jeżeli zaczeka w sekretariacie. Powiedział, że musi się z tobą zobaczyć bez zwłoki.

- Poproś go, Della. Może się wreszcie dowiemy, o co chodzi. Gdzie jest blaszane pudełko?

- W sejfie.

- A gdzie teraz stoi biurko, przy którym Mae Wallis pracowała?

- Kazałam je przesunąć z powrotem do biblioteki.

- Kto to zrobił?

- Portier wraz ze swoim pomocnikiem.

- Masz zapas gumy do żucia?

- Mam. A dlaczego?

- Pozuj kawałek i przylep bryłkę z diamentami pod spodem biurka, dokładnie w tym samym miejscu, w którym ją znalazłaś.

- Nie zapominaj o różnicy w

konsystencji, szefie. Tamta guma jest już sucha i twarda, a moja będzie wilgotna i...

- I wyschnie, jeżeli poleży trochę na powietrzu - przerwał Mason.

- A ile mamy na to czasu?

- To już zależy tylko od szczęścia -

wzruszył ramionami. - Poproś Waltera Irvinga, Della. Może wreszcie dowiemy się, o co chodzi.

Della energicznym krokiem ruszyła w stronę drzwi.

- I od razu przylep gumę-przypomniał

jej.

- Teraz? Kiedy Irving będzie u ciebie?

Mason skinął głową.

Po chwili Della wprowadziła do gabinetu Waltera Irvinga. Był to postawny, dobrze ubrany mężczyzna, w wieku około czterdziestu pięciu lat. Widocznie spotkanie z adwokatem poprzedziło wizytą u fryzjera, bowiem jego świeżo umyte włosy, lśniące paznokcie i gładka, białoróżowa twarz,

miały wygląd, który daje tylko golenie i masaż. Piwne oczy nie zdradzały żadnych uczuć, a sposób bycia znamionował

człowieka, którego nic na świecie nie może wyprowadzić z równowagi.

- Dzień dobry, panie mecenasie. Pan mnie chyba nie zna, ale ja pana widziałem kilka razy w windzie. Mówiono mi, że jest pan jednym z najbardziej sprytnych adwokatów od spraw kryminalnych w całym kraju.

- Dziękuję - Mason podał rękę swojemu gościowi. - "Adwokat od spraw kryminalnych" to bardzo niefachowe określenie. O wiele bardziej odpowiada mi nazwa „obrońcy karnego” - dodał sucho.

- Może być - zgodził się pośpiesznie Irving. - Otrzymał pan telegram od mojego Towarzystwa z Południowej Afryki?

- Tak.

- Upoważnili mnie do wypłacenia panu honorarium za obronę mojego współpracownika, Davida Jeffersona.

- Ten telegram jest dla mnie absolutną zagadką - odparł Mason. - O co chodzi?

- Zanim do tego przejdę - zastrzegł się Irving - chciałbym ustalić pewną sprawę, tak żeby potem nie było żadnych nieporozumień.

- Co pan ma na myśli?

- Pana honorarium.

- Taaak?

Irving zmierzył Masona pewnym siebie wzrokiem.

- Sprawy wyglądają trochę inaczej w Południowej

Afryce.

- Do czego właściwie pan zmierza?

- Całkiem proste - Irving rozparł się wygodnie w fotelu. - Jestem tutaj, żeby bronić interesów moich pracodawców,

„Południowoafrykańskiego Towarzystwa Importu i Eksploatacji Kamieni Szlachetnych”. To bardzo duża i bogata firma. Chcą, żebym wręczył panu czek na dwa tysiące dolarów, a ostateczną wysokość honorarium, zostawiają do pana decyzji. Ja nie robię interesów w ten sposób. Po tej stronie

Atlantyku adwokaci od spraw kryminalnych są skłonni zagarnąć tyle, ile im się tylko uda. Oni... och, do diabła, mecenasie, co będziemy sobie oczy mydlić? Moim pracodawcom wydaje się, że mają do czynienia z adwokatem w peruce i todze. Brak im zielonego pojęcia, jak się załatwia sprawy z adwokatem od spraw kryminalnych.

- A pan wie? - zapytał ironicznie Mason.

- Jeżeli nawet nie wiem, to pewne, jak dwa razy dwa cztery, że spróbuję się dowiedzieć.

Muszę dbać o interesy mojej firmy. Ile to będzie kosztowało?

- Pyta pan o całe honorarium?

- Tak.

- Odpowiem na pana pytanie, kiedy dowiem się, o co chodzi. Podstawowe fakty wystarczą.

- Fakty są całkowicie bzdurne. Policja urządziła nalot na nasz lokal. Dlaczego, nie wiem.

Znaleźli jakieś brylanty. Oczywiście, zostały podłożone. Ani Jefferson, ani ja nie widzieliśmy ich nigdy przedtem. Towarzystwo, dla którego pracujemy, dopiero niedawno otworzyło tutaj biuro. Niektórym ludziom nie bardzo się to podoba.

- Ile były warte te brylanty?

- W sprzedaży detalicznej około stu tysięcy dolarów.

- A co ma do tego morderstwo?

- Tego już nie wiem.

- I nie wie pan nawet, kto został

zamordowany?

- Przemysłnik o nazwisku Baxter.

- Czy to były jego brylanty... no te, które policja znalazła w waszym biurze?

- Skąd, do diabła, ja mam to wiedzieć? -

uniósł się Irving.

Mason spoglądał na niego w milczeniu przez kilka sekund, a potem zapytał:

- A skąd, do diabła, ja mam to wiedzieć?

Irving zachichotał.



- Drażliwy jestem od samego rana...

- Ja też. Może przejdziemy do faktów?

- Wszystko, co mogę stwierdzić z całą pewnością to to, że jesteśmy wmieszani w jakąś nieprawdopodobną historię. Jefferson nigdy nikogo nie zabił. Znam go dobrze od lat. Zresztą, mecenasie, niech pan popatrzy na to z innego punktu widzenia. W Południowej Afryce mieści się centrala wielkiego, cieszącego się znakomitą reputacją, suerkonserwatywnego towarzystwa, którego szefowie znają Jeffersona także od lat.

Kiedy tylko dowiedzieli się, że został

aresztowany, zadeklarowali gotowość wypłacenia każdej kwoty, jaka będzie potrzebna w celu zapewnienia mu możliwie najlepszej obrony.

- Niech pan zwróci uwagę - ciągnął dalej z naciskiem - że nie przesłali pieniędzy na obronę na konta Jeffersona, lecz wydali mi polecenie, żebym się osobiście zajął znalezieniem dla niego najlepszego obrońcy.

- I zaproponował pan właśnie mnie?

- Nie. Zrobiłbym to, ale ktoś mnie ubiegł.

Dostałem telegram upoważniający mnie do podjęcia z naszego konta bankowego sumy dwóch tysięcy dolarów i przekazania tych pieniędzy panu, po to, aby pan mógł poczynić natychmiast konieczne kroki prawne. A zatem - jeśli, otrzyma pan od mojego towarzystwa honorarium, to kto będzie pana klientem, mecenasie?

- David Jefferson.

- Przypuśćmy, że Jefferson proponuje panu zrobienie czegoś, co nie leży w jego interesie. Jak pan wtedy postąpi? Czy zastosuje się pan do jego instrukcji, czy też będzie pan działał w myśl dobrze pojętych interesów klienta?

- Dlaczego pan o to pyta?

- David chroni jakąś kobietę. Pozwoliłby już raczej siebie uznać za winnego, niżby ujawnił

jej tożsamość. Ten głupiec sądzi, że ona jest wspaniałą dziewczyną. A ja myślę, że to cwana oszustka, która knuje intrygę przeciwko niemu.

- Kim ona jest?

- Nie mam pojęcia. Gdybym wiedział, już dawno napuściłbym detektywów na jej trop.

Kłopot w tym, że wiem tylko o jej istnieniu, ale nawet nie znam jej nazwiska. Omotała Davida i dlatego będzie się starał ją chronić.

- Mężatka?

- Chyba nie, ale nie jestem tego pewny.

- A co z tym morderstwem?

- Ta sprawa wiąże się z przemysłem.

David Jefferson sprzedał Baxterowi, poprzez naszą centralę w Południowej Afryce, partię diamentów w surowym stanie. Baxter poprosił

Jeffersona o załatwienie obróbki i oszlifowania, a następnie o dostarczenie gotowych już brylantów do naszej paryskiej filii. Biuro paryskie nie znało historii tej transakcji. Po prostu, opierając się na instrukcjach centrali, dostarczono Baxterowi pakiet. Normalnie staramy się zebrać jakieś informacje o ludziach, z którymi prowadzimy interesy. Baxter zaaranżował całą operację pomiędzy naszymi dwoma biurami w ten sposób, że każde z nich myślało,

że to drugie przeprowadziło

rozpoznanie w sprawie stanu interesów klienta.

Baxter wykombinował diabelnie chytry plan.

Spreparował też sobie godne szacunku i zaufania dane osobiste.

- Jak pan się dowiedział o przemyśle? -

zapytał Mason nie spuszczać oczu z Irvinga.

- Jego współpracowniczka nie wytrzymała nerwowo i puściła farbę.

- Kto to jest?

- A taka tam dziewczyna, Yvonne Manco.

- Niech mi pan opowie o tej całej historii.

- Co, nie czytał pan w prasie?

Wydarzyło się to całkiem niedawno. Facet skoczył z pokładu statku, którym podróżował i zginął śmiercią samobójczą w falach oceanu.

- Tak, czytałem - skinął potakująco głową Mason. - Czy on się nie nazywał Munroe Baxter?

- Właśnie.

- Kiedy pan tylko wspomniał to nazwisko, od razu wydawało mi się znajome. Ale co to ma wspólnego z morderstwem?

- Zaraz panu naszkicuję cały obrazek -

Irving założył nogę na nogę i rozparł się wygodnie w fotelu. - Yvonne Manco, bardzo piękna młoda kobieta, udała się statkiem w podróż naokoło świata. Królowała podczas całego wojażu. Kiedy statek zatrzymał się w Neapolu, na pomoście czekał na nią Munroe Baxter, mężczyzna o typowym wyglądzie Francuza, ale o nazwisku, obywatelstwie i paszporcie amerykańskim. Zapoznaję pana z tymi wszystkimi szczegółami po to, żeby mógł

pan w pełni zorientować się w sytuacji.

- Niech pan mówi dalej.

- Podobno Munroe Baxter kochał się kiedyś w Yvonne Manco. Między pasażerami rozeszła się pogłoska, że jeszcze niedawno oboje tworzyli nierozłączną parę, ale zerwali ze sobą na skutek jakiegoś nieporozumienia. Ktokolwiek był

autorem tego scenariusza, zasługuje na pełne uznanie.

- A więc to był scenariusz?

- Jasne! Lipny jak banknot trzydolarowy.

- No i co dalej?

- Pasażerowie oczywiście zainteresowali się romantyczną sceną. No, bo jakżeż! Przez tłum przepchnął się jakiś mężczyzna, chwycił w objęcia Yvonne Manco, a ona zemdląła w jego ramionach. Piękny romans z posmakiem skandalu, kartka z przeszłości czarującej kobiety.

Ach, jakie wzruszające, co za emocja... i naturalnie, scena ta spowodowała lawinę plotek.

Mason skinął ze zrozumieniem głową.

- Statek zatrzymał się na dwa dni w Neapolu. Kiedy miał już odpłynąć, Munroe Baxter, nie zważając na otaczający go tłum, błagał Yvonne Manco, aby go poślubiła. Zszedł

ze statku jako ostatni i oparłszy się o słupek łkał

rozpaczliwie, roniąc krokodyle łzy.

- No i co dalej? - dopingował go Mason ze wzrastającym zainteresowaniem.

- Statek wypłynął na Morze Śródziemne i po krótkiej podróży, zatrzymał się w Genui. Na nabrzeżu czekał Munroe Baxter. Ponownie Yvonne zemdląła w jego ramionach, ponownie odmówiła poślubienia go i ponownie statek odpłynął.

- I tu zbliżamy się do wielkiego finału -

ciągnął sarkastycznym tonem Irving. - Kiedy statek mijał Gibraltar, ukazał się nad nimi helikopter. Jakiś mężczyzna schodził po sznurkowej drabince, huśtając się niebezpiecznie na ostatnich szczebelkach. Helikopter zniżył się trochę i Munroe Baxter skoczył na pokład obok basenu, gdzie w kuszącej pozie leżała w kostiumie kąpielowym Yvonne Manco.

- Romantyczne - uśmiechnął się Mason.

- I świetnie obmyślane - rzucił sucho Irving. - Kto mógł się oprzeć takim gwałtownym, dramatycznym zalotom?

Pasażerowie zmusili wprost Yvonne do wyrażenia zgody na małżeństwo. I tej nocy, na pełnym morzu, udzielił im ślubu kapitan statku.

Urządzono wielką uroczystość i całe bractwo szalało od dziobu aż po rufę. Znakomita robota.

- Tak, mogę to sobie wyobrazić -

skrzywił się ironicznie Mason.

- Zupełnie zrozumiałe - ciągnął po krótkiej pauzie Irving - że skoro Baxter wylądował na statku w tak dramatyczny sposób, nawet bez szczoteczki do zębów czy zapasowej chusteczki, celnikom nie przyszło do głowy, iż przemycił zaszyte w zamszowym pasku do spodni diamenty wartości trzystu tysięcy dolarów. Kto by pomyślał, przyglądając się temu gwałtownemu romansowi, że Yvonne Manco była już od lat kochanką Baxtera, współniczką w aferze przemytniczej, i że te całe zaloty stanowiły gigantyczną mistyfikację?

- Ach tak, rozumiem - szepnął

zaintrygowany Mason mrużąc lekko oczy.

- Scena została doskonale przygotowana.

Dla zafascynowanych pasażerów Munroe Baxter stanowił symbol zwariowanego Francuza, obywatela Stanów Zjednoczonych oczywiście, ale takiego który posiada typowo francuski temperament. - Irving pochylił się do przodu i w zamyśleniu potarł gładko wygolony podbródek.

- Tak więc, kiedy statek zbliżał się do portu i zabójczo wystrojona Yvonne Manco zatańczyła kilkakrotnie z przystojnym drugim oficerem, wydawało się całkiem naturalne, że Baxter, zalewając się łzami, urządził gwałtowną awanturę, groził samobójstwem, a potem pomknął do swojej kabiny i po burzliwej scenie z Yvonne, która groziła mu rozwodem, skoczył za burtę.

- Tak - powiedział Mason - pamiętam, że gazety zrobiły z tego wielką sensację.

- No, to była historia jak na zamówienie dla prasy - uśmiechnął się sarkastycznie Irving. -

Bo kto by pomyślał, że ten kochliwy Munroe Baxter, kiedy skakał do morza, miał przy sobie diamenty wartości trzystu tysięcy dolarów? Albo

- że jest znakomitym pływakiem i nie sprawi mu żadnej trudności dopłynięcie do łodzi, czekającej na niego w umówionym miejscu, i że później on i śliczna Yvonne podzielią się dochodem z mądrze opracowanego i doskonale wyreżyserowanego scenariusza? Jako aktorzy byli bezbłądnie! I wszystko po to, żeby wystawić celników do wiatru!

- I co, udało im się? – zagadnął z żywym zainteresowaniem adwokat.

- Jeszcze jak! Wszystko poszło jak w zegarku, poza jedną rzeczą... Munroe Baxter nie przybył na spotkanie z Yvonne. Daremnie czekała w odosobnionym motelu, który był

miejscem ich rendez-vous. A czekała, biedna, dość długo.

- Może Baxter uznał, że cały bochenek jest lepszy niż pół? - wtrącił Mason.

Irving potrząsnął przecząco głową.

- Wreszcie nasza śliczna Yvonne udała się do trzeciego współnika, który miał czekać w łodzi. Początkowo twierdził, że Baxter nigdy się nie zjawił, że prawdopodobnie chwyciły go kurcze, kiedy płynął pod wodą, no i poszedł na dno.

- Czy działo się to na wodach

terytorialnych Stanów Zjednoczonych?

- Statek właśnie zbliżał się do portu w Los Angeles.

- Zadnia?

- Nie, przed świtem. Widzi pan, to był

wycieczkowy statek i kapitan starał się jak najwcześniej wprowadzać go do portu, tak aby pasażerowie mieli możliwie najwięcej czasu na zwiedzanie...

- Przejdźmy do faktów - przerwał

Mason. - Baxter rzekomo się utopił. I co dalej?

- To, czego się dowiedziała Yvonne Manco, wzbudziło w niej straszliwy niepokój.

Podejrzewała, że współnik z łódki przytrzymał

głowę Baxtera pod wodą i zabrał sobie pasek z fortuną.

- Prawdopodobnie nie powiedziałaaby niczego - podjął znowu Irving - gdyby w tym czasie celnicy nie połapali się już w całej machlojce. Wyszło na jaw, że osiemnaście miesięcy przedtem Yvonne Manco i Baxter podróżowali jako małżeństwo na innym statku wycieczkowym. Celnicy wezwali śliczną Yvonne i zaczęli zadawać jej niedyskretne pytania na temat „męża”.

- I załamana Yvonne Manco wyśpiewała im całą historię? - ironizował Mason.

- Tak, panie mecenasie - potwierdził

Irving. - Opowiedziała im całą „historię wplątując w nią niestety Jeffersona, który pośredniczył w sprzedaży diamentów. Policja, oczywiście, natychmiast się nim zainteresowała i wczoraj po południu, na podstawie zeznania ułożonego pod przysięgą przez Yvonne Manco, wydano nakaz rewizji i przeszukano cały lokal.

- I znaleźli sto tysięcy dolarów w brylantach?

- Odzyskali sporą ilość brylantów o wartości mniej więcej jednej trzeciej tego, co został przemycone.

- A pozostałe dwie trzecie? Irving wzruszył ramionami.

- Zostały zidentyfikowane?

Irving ponownie wzruszył ramionami.

- Gdzie je znaleziono?

- Tam, gdzie ktoś je bardzo sprytnie podłożył. Może pan pamięta to całe podniecenie, kiedy odkryto jakiegoś intruza w biurze? Policja prosiła, żebyśmy sprawdzili, czy czegoś nie brakuje. Ale nigdy nie przyszłoby nam do głowy, żeby sprawdzić, czy nam czegoś nie podłożono!

- Gdzie znaleziono brylanty?

- W paczuszce przyklepionej plastrem do spodu biurka.

- A co mówi na ten temat David Jefferson?

- A co może powiedzieć? - zapytał

Irving bezradnie rozkładając ręce. - To było taką samą niespodzianką dla niego jak i dla mnie.

- Czy może pan ręczyć za prawdziwość tych faktów?

- Oczywiście, że mogę. Ale nie mogę ręczyć za romantyczne i zwariowane pomysły Davida. On zamierza chronić tę dziewczynę!

- Czy to ta sama dziewczyna, która dostała się do waszego lokalu?

- Tak sędzę. David dostałby napadu szału i słowa więcej by ze mną nie zamienił, gdyby się zorientował, że taka myśl przyszła mi w ogóle do głowy. Jeżeli w grę wchodzi kobiety, to nie można się zbliżać do niego bez jedwabnych rękawiczek. Mimo to, gdy przyjdzie do rozgrywki będzie pan musiał ujawnić tę dziewczynę. Ostrzegam jednak lojalnie, że David przestanie z panem współdziałać,

jeśli tylko odważy się pan wspomnieć o jej istnieniu.

Mason, zmarszczywszy czoło, przez chwilę zastanawiał się w milczeniu.

- No i co? - zniecierpliwiał się Irving.

- Niech pan wypisze czek na te dwa tysiące - odezwał się wreszcie adwokat. - Będzie to a conto pięciu tysięcy dolarów mojego honorarium.

- Pięć tysięcy dolarów honorarium? O

czym pan mówi?

- Dokładnie tyle, nie mniej i nie więcej.

- Włączając w to robotę detektywów?

- Nie. Koszty operacyjne wy

pokrywacie. Ja po prostu ustaląm honorarium.

- Niech to diabli! - wybuchnął Irving. -

Gdyby te typki z centrali nie wspomniały o dwóch tysiącach zadatku, nakłoniłbym pana do prowadzenia całej sprawy tylko za te dwa tysiące.

Mason spokojnie patrzył na Irvinga.

- Ech, stało się i nic już nie mogę na to poradzić - mruknął Irving i wyciągnąwszy z portfela czek wystawiony na nazwisko adwokata, położył go na biurku.

- Della, wypisz pokwitowanie - zwrócił

się Mason do sekretarki - i zaznacz na nim, że jest to zaliczka na poczet honorarium, wypłacona w imieniu Davida Jeffersona.

- Jak mam to rozumieć? - zdziwił się Irving.

- Całkiem po prostu: ten kwitek stanowi dowód, że za prowadzenie sprawy jestem odpowiedzialny jedynie przed moim klientem, a nie przed panem czy też waszym towarzystwem.

Irving przez chwilę przetrawiał ostatnie zdanie.

- Ma pan jakieś obiekcje? - zapytał z uprzejmym uśmiechem Mason.

- Nie. Przypuszczam, że chce mi pan dać w ten sposób do zrozumienia, że zwróci się pan nawet przeciwko mnie, jeżeli to będzie odpowiadało interesom Davida.

- Niczego nie chcę panu dać do zrozumienia. Po prostu informuję pana o tym.

Irving wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- W porządeczku, ma pan moją całkowitą zgodę. Pójdę nawet dalej. Jeżeli zacznie się robić gorąco, może pan liczyć na to, że zrobię wszystko, co tylko mogłoby wesprzeć pańską grę.

Mogę nawet przyjąć na siebie rolę brakującego świadka.

- Niech pan tylko nie próbuje kierować grą. Proszę to mnie zostawić.

Irving wyciągnął rękę.

- Chciałbym, żeby pan zrozumiał moje stanowisko, mecenasie.

- Lepiej będzie, jeżeli pan zrozumie moje

- zareplikował Mason.

## **Rozdział V**

Ledwie drzwi się zamknęły za Walterem Irvingiem, Mason spojrzał na Delię.

- No i co, szefie? - spytała z ożywieniem.

- Musiałem wziąć tę sprawę w celach samoobrony - uśmiechnął się Mason.

- Dlaczego?

- Bo inaczej zatrzymalibyśmy dla siebie istotną informację w procesie o morderstwo, nie mielibyśmy klienta, którego będziemy bronić, i sytuacja mogłaby się stać dosyć nieprzyjemna.

- A teraz jak jest?

- Teraz mamy klienta, którego będziemy bronić. Adwokat reprezentujący klienta w sprawie o morderstwo nie ma obowiązku dzielić się z policją swoimi domysłami, podejrzeniami czy wnioskami, zwłaszcza jeżeli ma powody przypuszczać, że tego rodzaju postępowanie będzie w sprzeczności z interesami jego klienta.

- A co z dowodami? - zagadnęła z niepokojem Della.

- Z jakimi dowodami?

- No, że w naszym biurze znalazła schronienie młoda kobieta, która podłożyła nam brylanty.

- Nie wiemy czy to o n a je podłożyła.

- A więc „że w naszym biurze znalazła schronienie...”



- Nie wiemy, czy to była ta sama kobieta.

- Musisz jednak przyznać, że logika na to wskazuje.

- Przypuśćmy, że to była zwykła maszynistka, która przypadkowo znalazła się w tym budynku. Pójdziemy do policji z naszymi podejrzeniami, policja poda całą historię do prasy i wtedy ona wytoczy nam proces o zniesławienie.

- Już rozumiem - powiedziała z zabawnym westchnieniem Della. - Obawiam się, że moje wysiłki przekonania ciebie, nie zdadzą się na nic.

- Masz rację, moja droga.

- A teraz, czy mogę zadać pytanie, panie mecenasie?

- Taak?

- Czy uważasz, że to był czysty przypadek, że wybrano właśnie ciebie jako obrońcę interesów Davida Jeffersona?

Mason w zamyśleniu pogładził się po podbródku.

- Czekam, szefie - domagała się odpowiedzi Della.

- Myślałem o tym - przyznał Mason. -

Oczywiście, musimy wziąć pod uwagę fakt, że jestem znanym obrońcą, a to, że mam kancelarię w tym samym budynku i na tym samym piętrze co i oni, sprawiło, że Irving miał możliwość usłyszeć o mnie, a tym samym mógł mnie polecić w swojej centrali.

- Twierdził przecież, że tego nie zrobił.

A nawet powiedział, że ktoś go uprzedził i zanim zdążył powiadomić centralę, dostał telegram z poleceniem przekazania ci tych dwóch tysięcy dolarów zadatku.

Mason skinął potakująco głową.

- I co ty na to? - nie ustępowała Della.

- Zostawmy to pytanie bez odpowiedzi.

- A co teraz robimy?

- Teraz - oświadczył z zadowoleniem adwokat - nasza sytuacja jest zupełnie jasna.

Proponuję, żebyś zaraz poszła do sklepu z przyborami fotograficznymi. Powiedz im, że potrzebny jest mi aparat do robienia zdjęć odcisków palców i przynieś również kamerę kasetową, wiesz, taką z

matówką. Konieczne będą także reflektorki. Cóż, spróbujemy sfotografować odciski palców pozostawione na tej gumie do żucia.

- I co dalej? - dopytywała się Della.

- Dalej? - odparł z namysłem Mason. -

Powiększymy zdjęcia tak, że obejmą one jedynie odciski palców, a gumy nie będzie widać.

- A potem?

- Potem? Mam nadzieję, że do tego czasu uda się odnaleźć właścicielkę linii papilarnych i wyjaśnić sobie parę rzeczy. Na razie idę do Paula na małą pogawędkę.

- Szefie - zapytała z niepokojem Della -

czy to nie jest ryzykowne?

- Oczywiście, że tak - uśmiechnął się zniewalająco adwokat.

- Czy nie lepiej, żebyś zostawił to wszystko w spokoju i zatroszczył się o własną skórę?

Mason potrząsnął głową.

- Bronimy interesów klienta, moja droga.

Opisz mi wygląd tej dziewczyny, najdokładniej, jak potrafisz.

- Chwileczkę - Della z zastanowieniem zmarszczyła czoło. - Wiek: dwadzieścia sześć, siedem lat, wzrost: pięć stóp trzy cale, waga: pięćdziesiąt cztery kilo. Włosy kasztanowe i piwne, pełne wyrazu oczy. Przystojna, zgrabna, elegancka.

- Naprawdę zgrabna? - zainteresował się Mason.

- I to jak!

- Co miała na sobie?

- Pamiętam dokładnie, bo wyglądała wprost szałowo. Pomyślałam wtedy, że bardziej przypomina zamożną interesantkę niż dziewczynę przyslaną przez biuro zatrudnienia...

- Nosiała pięknie skrojony kostium z szarej flaneli - ciągnęła z rozmarzeniem w oczach Della - granatowe pantofle z koziej skóry i mmm... zaraz, przypomniało mi się. Pantofle na czubkach ozdobione były misternie wykonanym białym szwem. Do tego miała odpowiednio dopasowaną torebkę w kształcie dużej koperty i białe rękawiczki. Chwileczkę, niech pomyślę...

Jestem pewna, że nie nosiła kapelusza tylko szylkretową przepaskę i była doskonale uczesana.

- Nie zdjęła żakietu podczas pracy -

dodała po chwili - nie jestem więc pewna, ale wydaje mi się, że nosiła bladoniebieski kaszmirowy sweterek. Miała odpięty tylko górny guzik żakietu, tak że za kolor nie mogę ręczyć.

Mason uśmiechnął się z rozbawieniem.

- Och, babeczki, babeczki! Jesteście bardzo spostrzegawcze, szczególnie jeżeli chodzi o inne kobiety. Doskonale zapamiętałaś nawet drobnostki. Wypisz mi to na maszynie, dobrze?

Weź czystą kartkę papieru, bez nagłówka firmowego kancelarii.

Mason czekał z nie zapalonym

papierosem w ręku, aż Della skończy pisać na maszynie. Zanim wstała od biurka, miał już dla niej następne polecenie.

- Dobra. Idź zaraz i przynieś sprzęt fotograficzny, o którym mówiłem. Kup również spory zapas filmów, lampek błyskowych, statyw i wszystko, co się może do tej roboty przydać.

Tylko im nie zdradź, do czego jest nam to wszystko potrzebne.

- A czy nie zdradzimy się przez samo kupno tego rodzaju sprzętu?

- Powiedz właścicielowi, że zamierzam przesłuchać świadka oskarżenia i przedtem chcę się dokładnie zapoznać z funkcjonowaniem kamery.

Della skinęła głową.

Mason wziął z jej rąk maszynopis i poszedł z nim do agencji detektywistycznej Drake'a.

- Paul jest u siebie? - zapytał

uśmiechając się do dziewczyny obsługującej centralkę.

- Tak, panie mecenasie. Czy mam go zawiadomić, że chce się pan z nim zobaczyć?

- A jest ktoś u niego?

- Nie.

- To sam mu powiem - zdecydował

Mason i otworzywszy drzwi pomaszerował

długim, oszklonym z obu stron korytarzem, z którego prowadziły wejścia do maleńkich biur.

Zatrzymał się przed nieco większym lokalem!

pchnął drzwi z wizytówką w mosiężnej oprawie:

„Paul Drake” i wszedł do środka.

- Cześć - powitał go Drake. - Właśnie na ciebie czekałem.

Mason uniósł ze zdziwieniem brwi.

- Nie udawaj niewiniątka - obruszył się Drake. - Kierownictwo

„Południowoafrykańskiego Towarzystwa Importu i Eksploatacji Kamieni Szlachetnych”

bardzo się tobą interesuje. Ich urzędnik dzwonił

do administratora budynku i pytał o ciebie.

- Czy wymienił moje nazwisko, czy też poprosił go, żeby zarekomendował im jakiegoś adwokata?

- Wymienił nazwisko. Chcieli wiedzieć o tobie wszystko.

- I co im powiedział?

- Nie zalegasz z komornym? -

zażartował z poważną miną Drake.

- O co, do diabła, chodzi, Paul?

- Wiem tylko, że to sprawa o

morderstwo, a z zachowania policji wnioskuję, że ktoś zaczął się spowiadać.

- Oczywiście - mruknął Mason. - Głowę dam, że to taka spowiedź, która odbija piłeczkę dalej, zdejmując w ten sposób winę z osoby klęczącej u konfesjonału.

- Być może - zgodził się Drake. - Co robimy?

- Bierzemy się do roboty.

- A konkretnie?

- Po pierwsze, trzeba znaleźć tę dziewczynę.

- Okay, ale muszę mieć jakieś dane.

Mason wręczył mu rysopis sporządzony przez Delię.

- Dobrze sobie - roześmiał się Drake. -

Mogę zejść na dół, stanąć na rogu ulicy podczas pory lunchu i w przeciągu dziesięciu minut wybrać ci sto dziewczyn odpowiadających temu opisowi.

- Przeczytaj jeszcze raz - Mason wskazał

ręką na maszynopis. - Ona wygląda dużo lepiej niż przeciętna urzędniczka.

- Gdyby wyglądała przeciętnie, to wybrałbym ci tysiące.

- Dobra, musimy to jakoś zawęzić.

- Jak?

- Ta dziewczyna jest biegłą maszynistką

- oświadczył Mason. - Najprawdopodobniej ma gdzieś dobrą pracę jako sekretarka.

- Albo - zmitygował go Drake - była kiedyś znakomitą sekretarką, a potem wyszła za mąż.

Mason uznał słuszność tej uwagi potakującym skinieniem głowy.

- Ma również doświadczenie prawnicze -

dodał.

- Skąd wiesz?

- Na to pytanie nie mogę ci

odpowiedzieć.

- W porządku. Co mam zrobić?

- Otworzysz lipne biuro. Zadzwoisz do Stowarzyszenia Sekretarek, które zajmuje się wynajdywaniem personelu dla kancelarii adwokackich, następnie zamieścisz ogłoszenie w dzienniku prawniczym i gazetach, że potrzebna ci jest młoda, atrakcyjna maszynistka. Nie wiem, czy ona zna stenografię. Dlatego musisz dodać, że znajomość stenografii jest pożądana, ale niekonieczna. Pensja dwieście dolarów tygodniowo...

- Na Boga! - przerwał Drake. - Zaleje cię potop, Perry. Równie dobrze możesz poprosić całemiasto, żeby zgromadziło się w twoim biurze.

- Poczekaj chwilę! To jeszcze nie wszystko.

- Chyba żartujesz?

- Nie. W ogłoszeniu podasz, że od kandydatki będzie wymagane zdanie egzaminu fachowego. Musi pisać bezbłędnie i bardzo szybko, podaj najwyższą ilość słów na minutę.

Oczywiście, tego rodzaju maszynistka na pewno jest gdzieś zatrudniona. Jeżeli chcemy, aby zainteresowała się naszym ogłoszeniem, musimy zaoferować jej wyjątkowo atrakcyjne warunki pracy. Najprawdopodobniej trudno jej się będzie zwolnić w godzinach porannych, nadmien więc w ogłoszeniu, że biuro będzie czynne od południa do siódmej wieczorem.

- Chcesz, żebym wynajął umeblowany lokal?

- Tak.

- Lepiej od razu załatw zamianę dywanu

- mruknął ponuro Drake - bo ten, który się tam znajduje, zostanie wytarty do ostatniej nitki przez hordę kandydatek... Skąd, do diabła, mam wiedzieć, która z nich będzie tą właściwą dziewczyną?

- Właśnie do tego zmierzam - uspokoił

go Mason. - Przyjrzyj się dobrze każdej z nich.

Nie znajdzie się wiele takich, które potrafią pisać w tempie, jakiego będziesz wymagał. Nie wolno ci robić żadnych ustępstw w sprawie kwalifikacji. Posadź przy drugim biurku dobrą sekretarkę, to ci pomoże je przesiać. Jeżeli któraś z kandydatek sięgnie po gumkę, natychmiast wykreśl ją ze swojej listy. Poszukiwana przeze mnie dziewczyna trzaska na maszynie jak karabin maszynowy.

- Okay. A co potem?

- Przeprowadź wywiad z kandydatkami, które pozostaną po zdanym bezbłędnie egzaminie. Przyjrzyj im się uważnie i sprawdź, czy ich wygląd zgadza się z rysopisem, jaki ci dałem. No, a potem poproś o prawo jazdy. Taka dziewczyna musi mieć samochód. I na tym właśnie polega cały trick.

- Na czym, u licha?

- Przyślę ci jeszcze dzisiaj po południu prawy kciuk... to znaczy zdjęcie prawego kciuka... Może nie najlepszy odcisk palca na świecie, ale na pewno będziesz go mógł

rozpoznać. Wydaj polecenie twojej sekretarce, aby w czasie, kiedy będziesz oglądał prawo jazdy, wezwała cię pod jakimś pretekstem do drugiego pokoju. Przepróś i powiedz, że musisz zamienić kilka słów z inną kandydatką lub że wzywają cię do telefonu. Oczywiście, za-bierz ze sobą prawo jazdy dziewczyny, z którą rozmawiałeś i szybko sprawdź odcisk palca. Większość z nich będziesz mógł

wyeliminować na pierwszy rzut oka. Niektórym trzeba będzie się dokładniej przyjrzeć. Ale jeśli natrafisz na właściwy odcisk, to go natychmiast rozpoznasz.

- I co mam wtedy zrobić?

- Przepisać nazwisko i adres z prawa jazdy. W ten sposób nie będzie ci mogła podać lipnych danych. I natychmiast do mnie zadzwoń.

- I co jeszcze? - Drake z zafrasowaniem podrapał się w głowę.

- Myślę... nazwijmy to przecuciem... że ta dziewczyna ma na imię Mae - powiedział z całym spokojem Mason. - Jeżeli znajdziesz dziewczynę, która odpowiada rysopisowi, trzaska na maszynie jak karabin maszynowy i do tego na imię ma Mae, zacznij dokładnie wszystko sprawdzać.

- Kiedy będziesz miał zdjęcie kciuka?

- W godzinach popołudniowych. A odcisk prawego kciuka musi być w każdym prawie jazdy.

- Możesz mi powiedzieć, o co tu chodzi?

- Drake popatrzył z nie ukrywanym zaciekawieniem na przyjaciela.

- Lepiej będzie dla ciebie żebyś nic nie wiedział - Uśmiechnął się Mason, potrząsając przecząco głową.

- Jedna z tych twoich spraw, co? - głos Drake'a nie zdradzał specjalnego entuzjazmu.

- Nie, nie o to chodzi. Po prostu próbuję się choć trochę zabezpieczyć...

- Wolałbym,

żebyś się solidnie

zabezpieczył, a nie trochę, bo jeżeli wpadniemy w tarapaty, to twoje „trochę” zda się psu na budę.

## **Rozdział VI**

Mason siedział w rozmównicy

więziennej przyglądając się uważnie Jeffersonowi. Był to wysoki mężczyzna, którego rezerwa i opanowanie przywodziły na myśl typowego Anglika. Adwokat próbował naruszyć jego kamienny spokój.

- Jest pan oskarżony o morderstwo -

powiedział brutalnie.

David Jefferson spojrzał na niego zimno.

- W innym wypadku nie byłoby mnie tutaj, prawda?

- Co pan wie o tej sprawie?

- Właściwie nic. Znałem Baxtera, to znaczy, zakładam, że jest to ten sam człowiek.

- Gdzie go pan poznał?

- Przyszedł kiedyś do naszej centrali, powiedział, że zajmuje się hurtowym kupnem kamieni szlachetnych i chciałby nabyć dużą partię diamentów. Sprzedaż diamentów w stanie surowym jest sprzeczna z założeniami naszego towarzystwa, o ile nie są to oczywiście diamenty przemysłowe.

- A Baxter chciał je nabyć w stanie surowym?

- Tak.

- Czy zawiadomiono go, że tego rodzaju transakcja jest nie do przeprowadzenia?

- No tak, oczywiście, ale staraliśmy się być bardzo taktowni, panie mecenasie. Baxter zapowiadał się na znakomitego klienta i do tego płacił gotówką.

- Cóż więc zrobiliście?

- Pokazaliśmy mu kilka diamentów po obróbce i oszlifowaniu. Nie chciał ich.

Powiedział, że sfinalizowanie transakcji, którą właśnie przeprowadza, uzależnione jest od zakupu diamentów w stanie surowym, to znaczy takim, w jakim przychodzą prosto z kopalni, i że zobowiązał się swoim klientom, że będzie osobiście nadzorował obróbkę i szlifowanie kamieni.

- Dlaczego?

- Tego nie powiedział.

- Nie pytałeś go o to?

- Widzi pan, w naszym kierownictwie większość stanowią Anglicy i całe towarzystwo prowadzone jest na sposób angielski - odparł

flegmatycznym tonem Jefferson. - Staramy się zadawać jak najmniej osobistych pytań. Nie jesteśmy wścibscy, panie mecenasie.

- No i co w końcu zrobiono?

- Uzgodniliśmy, że Baxter wybierze diamenty, a my prześlemy je do naszej filii paryskiej z poleceniem obróbki i szlifowania, a następnie dostarczenia ich panu Baxterowi.

- A więc to już nie były surowe diamenty lecz brylanty. Jaką wartość przedstawiały?

- Hurtem czy detalicznie?

- Hurtem.

- Dużo mniejszą niż ich cena detaliczna.

- O ile mniejszą?



- Na to nie mogę udzielić odpowiedzi.
- Dlaczego nie?
- Bo tego rodzaju informacja jest ściśle strzeżoną tajemnicą handlową.
- Jestem pana obrońcą.
- Wiem.

- Czy pan nie jest czasem Anglikiem? -

zapytał ironicznie Mason.

- Nie.

- Amerykanin?

- Tak.

- Jak długo pracuje pan dla angielskiego towarzystwa?

- Pięć czy sześć lat.

- Zrobił się z pana typowy Anglik.

- Jest pewien sposób bycia, panie mecenasie, którego oczekuje się w sferach handlowych od reprezentantów takiego towarzystwa jak nasze.

- Jest pewien sposób bycia, panie Jefferson, którego sąd przysięgłych spodziewa się po obywatelu amerykańskim - odgryzł się ostro Mason. - Jeżeli sędziowie zaczną podejrzewać, że ich ziomek zgrywa się na Brytyjczyka, to istnieje prawdopodobieństwo, że będzie pan gorzko żałował swojego wyuczzonego akcentu i pełnej rezerwy obojętności.

Jefferson lekceważąco wydał wargi.

- Miałbym głęboką pogardę dla sędziów, którzy pozwoliliby tego rodzaju osobistym uprzedzeniom wpłynąć na obiektywną ocenę ich sądu.

- Złamałoby im to serca - głos Masona wezbrał sarkazmem.

Jefferson spojrział na niego chłodno.

- Myślę, że lepiej będzie, jeżeli zrozumiemy się od samego początku, panie mecenasie. W moim postępowaniu kieruję się pewnymi stałymi zasadami i raczej dałbym się zabić, niż od nich odstępiał.

- W porządku - rzucił Mason. - Niech pan robi, co pan chce. Pana pogrzeb, nie mój.

Czy widział pan ponownie Baxtera?

- Nie, nie widziałem. Dalszy ciąg transakcji został przeprowadzony przez naszą filię paryską.

- Przez Irvinga?

- Nie, chyba nie, panie mecenasie.

Myślę, że załatwiał to ktoś inny.

- Czytał pan w prasie o przybyciu statku do portu i rzekomym samobójstwie Baxtera?

- Tak, czytałem.

- Czy przekazał pan swoje uwagi na ten temat odpowiednim władzom?

- Nie, naturalnie, że nie.

- Czy było panu wiadomym, że Baxter nosił przy sobie małą fortunę w brylantach?

- Zakładałem, że transakcja rozpoczęta w centrali została sfinalizowana przez naszą filię paryską i że dostarczono mu brylanty. Nie miałem oczywiście żadnego sposobu, żeby dowiedzieć się, co on z nimi uczynił.

- I niczego pan nie sugerował

odpowiednim władzom?

- Jasne, że nie. Nasze transakcje handlowe są ściśle poufne.

- Ale rozmawiał pan na temat śmierci Baxtera ze swoim współnikiem, Irvingiem?

- Nie współnikiem, panie mecenasie.

Irving jest przedstawicielem towarzystwa, moim bliskim przyjacielem, ale...

- Dobrze, pana współpracownikiem -

poprawił się Mason.

- Tak, rozmawiałem z nim na ten temat.

- Domyślał się czegoś?

- Niczego, ale ta cała sytuacja i okoliczności z nią związane wzbudziły w nim pewne podejrzenia.

- A nie przyszło panu do głowy, że ta historia mogła być częścią sprytnie uknutego planu przemytu?

- Wolę się nie rozwodzić nad tym stwierdzeniem, panie mecenasie. Mogę tylko tyle powiedzieć, że istniały pewne podejrzane okoliczności w związku z tą całą transakcją.

- I rozmawiał pan na ten temat z Irvingiem?

- Tak jak kolega z kolegą pracującym w tej samej instytucji. Wolę jednakże nie powtarzać zbyt szczegółowo tego, co wówczas mówiłem.

Musi pan pamiętać, panie mecenasie, że nie występuję teraz jako osoba prywatna, ale jako przedstawiciel towarzystwa.

- Może pan przebywać w naszym kraju w charakterze przedstawiciela takiej czy innej firmy - zmrużył ironicznie oczy Mason - ale charakter, w jakim pan siedzi w więzieniu, jest całkowicie prywatny.

- Oczywiście - powiedział obojętnym głosem Jefferson.

- O ile się orientuję, policja znalazła brylanty w pana biurze - ciągnął indagację Mason.

Jefferson skinął głową bez słowa.

- Skąd się tam wzięły?

- Nie mam pojęcia, panie mecenasie.

Przebywam w biurze mniej więcej około sześciu godzin na dwadzieścia cztery. O ile wiem, administracja przysłała sprzątaczkę z zapasowym kluczem. Portier również ma klucz. Rozmaici ludzie kręcą się po biurze. Policja nawet powiedziała mi, że ktoś się próbował do nas włamać czy też nawet już się włamał...

- Dziewczyna - stwierdził Mason, nie spuszczając wzroku ze swojego rozmówcy.

- Młoda kobieta, tak mi właśnie powiedziano.

- Czy nie domyśla się pan, kim ona jest?

- Nie, oczywiście, że nie.

- Czy przyjaźni się pan z jakąś młodą kobietą? Jefferson zawahał się.

- No więc? - nie ustępował Mason.

Jefferson spojrzał mu prosto w oczy.

- Nie - odpowiedział opanowanym głosem.

- Nie jest pan zaprzyjaźniony z żadną młodą kobietą?

- Nie.

- A może pan się stara kogoś osłonić?
- Dlaczego miałbym kogokolwiek osłaniać?
- Nie pytam dlaczego. Pytam, czy pan kogoś osłania?

- Nie.

- Orientuje się pan chyba, że sprawa może przyjąć poważny obrót, jeżeli będzie pan próbował fałszować jakiegokolwiek fakty?

- Czyż nie obowiązuje w tym kraju reguła

- odparował Jefferson - że prokurator musi dowieść winy oskarżonego ponad wszelką wątpliwość?

Mason skinął głową.

- Nie mogą tego zrobić - w głosie Jeffersona brzmiała nuta absolutnej pewności.

- Prawdopodobnie nie będzie pan już miał

więcej okazji, żeby mi wszystko opowiedzieć -

ostrzegł go Mason.

- Powiedziałem to, co wiem.

- Nie istnieje żadna dziewczyna w pana życiu?

- Nie.

- I nie pisał pan listów z Południowej Afryki do żadnej

młodej kobiety?

I znowu Jefferson ledwo dostrzegalnie zawahał się, a potem spojrzał Masonowi prosto w oczy.

- Nie.

- Policja powiedziała panu, że jakaś młoda kobieta włamała się do waszego biura?

- Tak. Ktoś, kto otworzył drzwi kluczem.

- Czy dał pan swój klucz jakiejś kobiecie?

- Nie. Oczywiście, że nie.

Mason milczał przez kilka sekund, a kiedy się odezwał, jego głos brzmiał rzeczowo i lakonicznie.

- Jeżeli jest ktoś, kogo pan próbuje ochronić, proszę mi powiedzieć, niczego przede mną nie ukrywając. W miarę możliwości będę się również starał ochronić tę osobę. Niech pan nie stawia się w sytuacji, która zmusi pana do oszukiwania własnego obrońcy. Czy zdaje pan sobie sprawę, do czego to może doprowadzić?

- Tak, zdaję sobie sprawę.

- I nikogo pan nie chroni?

- Nikogo.

- A jednak prokurator okręgowy ma jakieś dowody przeciwko panu, bo inaczej nie angażowałby się w tę sprawę.

- Przypuszczam, że prokurator okręgowy może się mylić tak samo, jak przeciętny obywatel.

- Czasem jeszcze bardziej - uśmiechnął

się ironicznie Mason. - Nie jest pan zbyt skory do pomocy, panie Jefferson - dodał po chwili.

- W jaki sposób mogę być panu

pomocny, mecenasie? Przypuśćmy, że pan przyjdzie jutro rano do swojej kancelarii i zastanie tam policję. Przypuśćmy, że powiedzą panu, iż odkryli w pana biurze przedmioty pochodzące z kradzieży. Przypuśćmy, że zwróciłbym się do pana z prośbą o opowiedzenie mi całej historii. Cóż mógłby mi pan powiedzieć?

- Postarałbym się udzielić odpowiedzi na pana pytania.

- Odpowiedziałem na pana pytania.

- I nadal pan twierdzi, że nie przyjaźni się z pewną młodą kobietą zamieszkałą w naszym mieście.

- Tak. Nadal tak twierdzą. Mason wstał z krzesła.

- Cóż, wszystko zależy od pana.

- Wręcz przeciwnie mecenasie, wszystko zależy od pana.

- Tak. Ma pan chyba rację - mruknął

Mason dając znak strażnikowi, że rozmowa została zakończona.

## **Rozdział VII**

Mason otworzył z zatrasku boczne drzwi do gabinetu. Della Street przerwała pracę i przyglądając mu się bacznie zapytała:

- Jak poszło, szefie?

Adwokat machnął ręką, jakby się od czegoś opędzał.

- Nic nie mówi?

- Mówi - skrzywił się Mason. - Ale nie ma w tym wiele sensu. On osłania jakąś kobietę.

- Dlaczego?

- Właśnie! To jest sprawa, którą musimy jak najszybciej zbadać. Masz kamery, Della?

- Tak. Sprzęt fotograficzny, lampy błyskowe, statyw, wszystko co trzeba.

- Otwieramy zakład fotograficzny -

zażartował Mason. - Powiedz Gertie, że nie wolno nam przeszkadzać.

Della, ująwszy słuchawkę telefonu łączącego gabinet z sekretariatem, zawahała się przez chwilę.

- Hm... Gertie zrobi z tego wielką historię! Mason zmarszczył w zamyśleniu czoło.

- Obawiam się, że masz rację. Ta romantyczka zaraz zacznie snuć fantastyczne domysły, których później nie wybiję się jej z głowy, nawet młotkiem.

- Słusznie. Nic jej nie mów, że ja już jestem w gabinecie - zdecydował szybko adwokat. - Chodźmy do biblioteki i... Della, czy będziesz mogła pomóc mi przechylić biurko na jedną stronę?

- Mogę spróbować.

- Dobrze. Pójdziemy do biblioteki i zamkniemy drzwi na klucz.

- A jeżeli Gertie będzie mnie

potrzebowała? Czy nie lepiej powiedzieć jej, co robimy, tak żeby mogła...

Mason potrząsnął przecząco głową.

- Nie chcę, żeby ktokolwiek o tym wiedział. Della zrobiła ręką gest, jakby wrzucała coś do kosza na śmieci.

- Mogę się pożegnać z dobrą opinią!

- Potrzebna mi jest twoja pomoc tylko do przechylenia biurka i rozstawienia reflektorów.

Zamkniemy drzwi z biblioteki do sekretariatu, a drzwi do gabinetu zostawimy otwarte.

- To wszystko bardzo pięknie, ale co będzie, jeżeli ona przyjdzie w jakiejś sprawie do sekretariatu?

- Cóż, jeżeli drzwi będą otwarte, to zobaczy, że coś fotografujemy - rozłożył

bezradnie ręce Mason.

- Jej ciekawość jest równie

niebezpieczna, jak jej romantyzm - zakpiła Della.

- Czy lubi paplać?

- Chciałabym znać odpowiedź na to pytanie, szefie. Na pewno opowiada wszystkemu swojemu chłopcu, bo nawet pod lufą rewolweru nie potrafiłaby zachować milczenia. Ale nie sądzę, żeby paplała z kimś innym.

- No cóż, zaryzykujemy Della. Chodź.

Trzeba przechylić biurko i ustawić reflektorki.

- To jest tabelka zawierająca wszystkie dane odnośnie czasu naświetlania. Powiedziałam ekspedientowi w sklepie fotograficznym, że chcemy skopiować jakieś dokumenty. Czas naświetlania trzeba odpowiednio zmienić, jeśli zdjęcia dokonuje się z małej odległości.

Sugerował, żeby do tego typu fotografii użyć klisz kasetowych i aparatu, w którym reguluje się ostrość obrazu na matówce. Aparat do robienia zdjęć odcisków palców jest wyposażony we wszystko co potrzebne, łącznie z lampą błyskową i...

- Rozumiem - przerwał jej fachowe wywody Mason. - Chcę sfotografować tę bryłkę gumy do żucia pod spodem biurka, w tym samym miejscu, w którym ją znalazłaś, a potem zbliżenia ukazujące odciski palców. Jeżeli kamera nie spisze się tak, jak trzeba, to możemy polecić temu fotografowi zrobienie powiększeń ze zdjęć odcisków palców, które zrobimy.

- Aparat do odcisków palców wydaje się prawie... - przerwała nagle.

- Niezawodny? - roześmiał się Mason.

- Tak przynajmniej powiedział ten facet w sklepie - oburzyła się Della.

- Dobrze, dobrze, chodźmy już. Zrobimy mnóstwo zdjęć w różnym czasie naświetlania.

Dużo kupiłaś filmów?

- O Boże, i to ile! Wiedziałam, że będziesz chciał mieć pewność, że robota jest dobrze wykonana i kupiłam tyle filmów, że wystarczy nam na każdą ilość zdjęć w różnym czasie naświetlania.

- Świetnie - pochwalił ją Mason.

Della Street chwyciła z jednej strony biurko, a Mason z drugiej.

- Musimy odsunąć je od ściany -

zdecydował. - Przechyl trochę, Della. Uważaj, bo zrobi się ciężkie, zanim oprzemy je o podłogę.

Czy naprawdę możesz...

- Nie przesadzaj, szefie, oczywiście, że tak. Wcale nie jest takie ciężkie.

- Szuflady są pełne papierów i ta maszyna... poczekaj, zdejmę ją. Wyciągnij jeszcze trochę rzeczy i będzie lżej.

- Nie trzeba. Dam sobie radę. Ostrożnie postawili biurko na podłodze.

- W porządku - mruknął Mason. - Pomóż mi ze światłami i statywem. Osadzimy kamerę i wyregulujemy ostrość.

- Mam szkło powiększające. W sklepie twierdzili, że przy nastawianiu ostrości do zbliżeń będzie bardzo pomocne.

- Mądra dziewczyna - uśmiechnął się ciepło Mason. - Zobaczymy, co się da zrobić.

Potrzebne nam jest niejednolite, pochodzące z kilku źródeł oświetlenie, a ponieważ fale świetlne zmieniają się proporcjonalnie do odległości, rozstawimy odpowiednio reflektorki.

Mason najpierw zrobił serię zdjęć aparatem do odcisków palców, potem włączył i ustawił reflektorki, przytwierdził do statywu kamerę kasetową i nastawił obiektyw. Odmierzył

dokładnie centymetrem ustawienie reflektorków i wsunąwszy kasetę do kamery, przyjrzał się uważnie bryłce gumy do żucia.

- Mm, doskonale wyjdzie - ucieszyła się Della Street. - Skąd wiedziałeś, szefie, w jaki sposób rozstawić światła, żeby uzyskać tak wyraźny obraz linii papilarnych?

- Przesłuchiwałem w sądzie fotografów, przeczytałem też sporo książek związanych z tą dziedziną. Prawnik musi wiedzieć trochę na każdy temat. Nie zauważyłaś na półce dziełka Scotta pod tytułem „Fotografia jako dowód rzeczowy”? - Mason wskazał na książkę oprawioną w czerwoną skórę.

- Racja. Widziałam cię kilkakrotnie zaczytanego w tej książce. Aha, już sobie przypominam. Wykorzystałaś te wiadomości niedawno w sprawie wypadku samochodowego, prawda?

- Yhm. Zdziwiające wprost, ile trzeba przeczytać, żeby trochę zorientować się w dobrej fotografice. Taak... Zacznę od ustawienia przesłony na fil przy czasie naświetlania jedna piąta sekundy. Następnie wykonamy zdjęcia przy jednej dziesiątej sekundy i jednej sekundzie naświetlania. Później posłużę się wężykiem i zrobię zdjęcia na czas, naświetlając dwie sekundy. Całą tę procedurę powtórzę z przesłoną nastawioną na f 16 i jeszcze raz przy przesłonie f22.

- Doskonale - przytaknęła skwapliwie Della. - A ja będę notować dane odnośnie każdego negatywu.



Mason zaczął robić zdjęcia; wciąż wyciągał nowe klisze i zdzierał z nich opakowania, które wrzucał do kosza.

- Ooo! - zaniepokoiła się Della.- Telefon.

Gertie mnie wzywa.

Pomknęła do gabinetu, a Mason dalej robił spokojnie zdjęcia. Wróciła po kilku chwilach.

- Walter Irving prosił,

żebyś

skontaktował się z nim natychmiast po przyjściu do biura.

Mason skinął głową.

- Gertie pytała, czy już jesteś, a ja łągałam jak najęta.

- Okay, Della. Irving mówił, o co mu chodzi?

- Tak. Chce wiedzieć, czy ci się udało wyciągnąć coś z Jeffersona na temat młodej kobiety zamieszanej w tę sprawę.

Przez kilka minut Mason pracował w milczeniu.

- Jak tylko tutaj skończymy - powiedział

wreszcie - zawiadam Paula Drake'a, że chcę, aby śledzono Irvinga.

- Podejrzewasz go?

- No... nie, ale podstawową dewizą naszej kancelarii jest ochrona klienta i do diabła ze wszystkim innym.

- A co porabia klient?

- Obstaje przy swoim. Mówi, że nic nie wie o kobiecie, która włamała się do biura, nie zna tutaj żadnej dziewczyny, z nikim nie korespondował i tak dalej, w tym duchu.

- A sądzisz, że korespondował?

- Mae Wallis z pewnością nie złożyła przypadkowej wizyty w ich biurze.

- Jesteś pewien, że to ona?

- Tak, lecz nie ogłoszę tego oficjalnie i wobec policji - zaprzeczę. Bo niby skąd wzięły się brylanty w gumie do żucia?

- Szefie, dlaczego miałyby podłożyć brylanty wartości stu tysięcy dolarów, a zatrzymać tylko kilka i potem ukryć je w - bryłce gumy do żucia?

- Mogę ci na to dać odpowiedź -

powiedział Mason z wyrazem lekkiego rozbawienia na twarzy - ale może nie będzie to odpowiedź właściwa.

- Mów - rzuciła Della.

- Przypuśćmy, że dano jej pewną ilość brylantów z poleceniem podłożenia ich w ustalonym miejscu. Na pewno miała je w swojej torebce, zawinięte w bibułkę. Musiała pracować w pośpiechu i prawdopodobnie coś ją zaniepokoiło, coś co wzbudziło jej podejrzenie.

Zorientowała się, że ją wykryto.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Ponieważ porzuciła wszystko w biurze, chcąc sprawić wrażenie, że czegoś szukała. Gdyby było inaczej, to wślizgnęłaby się cicho, podłożyła co trzeba i związała.

- Myślisz, że przy dużym napięciu nerwowym, mogła nie zauważyć, że dwa brylanty zawieruszyły się w jej torbie i później wsadziła je w gumę do żucia?

- Myślę, że jest to jedna z możliwych wersji. Kiedy już zainstalowała się u nas w biurze jako maszynistka, miała chwilę wytchnienia. Otworzyła torebkę, żeby sprawdzić, czy niczego nie przeoczyła, i znalazła w niej dwa drogocenne kamyczki. Wiedziała oczywiście, że policja jest w gmachu, a zatem istnieje realna możliwość, że mogą ją zatrzymać, przesłuchać, a może nawet przeprowadzić rewizję osobistą.

Umieściła więc brylanty pod blatem biurka.

- Wydaje mi się, że te listy z „Księciem z bajki” wiążą się jakoś z tą sprawą.

- Ja też tak sądzę - zgodził się Mason. -

Prawdopodobnie po podłożeniu brylantów w biurze umyślnie podrzuciła listy w toalecie.

- Tak, mogła to zrobić - potwierdziła Della Street. - Słyszysz? Znowu telefon.

Pobiegła do gabinetu, a Mason aż do jej powrotu zajmował się nadal robieniem zdjęć.

- No i co? - zapytał.

- Zawiadamiam - mrugnęła filuternie do niego Della - że Gertie zaczyna coś podejrzewać.

- Tak?

- Tak. Chce wiedzieć, dlaczego tyle czasu zabiera mi odbieranie telefonu.

- Co jej powiedziałaś?

- Powiedziałam, że przepisuję coś na maszynie i nie chciałam przerywać w środku zdania.

Mason zgasił reflektorki.

- W porządku, Della, kończymy. Mamy już dosyć zdjęć. Powiedz Drake'owi, żeby któryś z jego ludzi śledził

Waltera Irvinga.

## **Rozdział VIII**

Kilka dni później Mason przeglądał

gazety leżące na biurku.

- Widzę, że wielka ława przysięgłych wniosła akt oskarżenia przeciwko Davidowi Jeffersonowi o popełnienie morderstwa pierwszego stopnia.

- Sąd przysięgłych? Dlaczego?

- Prokurator okręgowy może wdrożyć postępowanie przeciwko oskarżonemu w dwojaki sposób: sam zaskarżyć lub też spowodować wniesienie skargi przez zaprzysiężonego świadka. Wówczas trybunał

przystępuje do wstępnego przesłuchania, podczas którego oskarżony ma prawo do zadawania pytań świadkom. W przypadku gdy sędzia wyda orzeczenie nakazujące stawienie oskarżonemu, prokurator okręgowy wnosi oskarżenie z urzędu i sprawa przekazana zostaje do rozpatrzenia sądowi przysięgłych.

Jednak prokurator okręgowy może, o ile chce, przedstawić świadków, wielkiej ławie przysięgłych. Wtedy wielka ława przysięgłych wydaje decyzję w sprawie aktu oskarżenia, a oskarżonemu zostaje doręczony odpis zeznań świadków. W tym wypadku obrońca nie ma możliwości przesłuchania świadków, dopóki nie staną przed Trybunałem.

- Jeżeli chodzi o sprawę przeciwko Davidowi Jeffersonowi - perorował z przejęciem Mason zapominając, że ma przed sobą tylko jednego słuchacza - wygląda na to, że głównym świadkiem przed wielką ławą przysięgłych była Yvonne Manco, która opowiedziała wzruszającą historię o tym, jak jej ukochany, Munroe Baxter, został sprzątnięty przez jakichś bandziorów, pragnących zrabować brylanty, które przemycił.

Jest również oświadczenie oficera policji stwierdzające, że spora część tych brylantów została odnaleziona w biurze zajmowanym przez Davida Jeffersona.

- Czy takie zeznanie jest wystarczające do uzasadnienia aktu oskarżenia? - zaniepokoiła się Della.

Mason wyszczerzył zęby w ironicznym uśmiechu.

- Nie, samo tego rodzaju zeznanie nie wystarczyłoby dla uzyskania wyroku skazującego w sądzie.

- Zamierzasz poddać w wątpliwość wartość przedstawionych dowodów?

- Ależ nie - wzruszył ramionami Mason.

- Z jakiegoś powodu Hamilton Burger, nasz prokurator okręgowy, staje wprost na głowie, aby doprowadzić jak najszybciej do procesu i ja zamierzam w pełni z nim współpracować w tym zakresie.

- Czy nie byłoby lepiej odwlec trochę tę całą sprawę, zanim...

Mason potrząsnął przecząco głową.

- Czemu nie, szefie?

- Chodzą

słuchy,

że prokurator

okręgowy ma świadka, którym zamierza nas zaskoczyć. Jest tym tak pochłonięty, że łatwo może przeoczyć fakt, iż nie ma corpus delicti.

- O co ci chodzi?

- Ciało Munroe Baxtera nigdy nie zostało odnalezione.

- A czy jest to konieczne w tego rodzaju sprawie?

- Nie, nie jest konieczne. Utało się przekonanie, że termin „corpus delicti” oznacza

„zwłoki ofiary”, tymczasem oznacza on dowód rzeczowy, świadczący o popełnieniu zbrodni.

Pozostaje jednak konieczność udowodnienia, że morderstwo zostało dokonane. Można tego dowieść w oparciu o różne dowody, choć oczywiście najlepszym są zwłoki ofiary.

- Jak szybko sprawa wejdzie na wokandę?

- Tak szybko, jak tylko znajdziemy wolną kartkę w kalendarzu. A że i prokurator okręgowy, i obrona chcieliby jak najszybciej rozpocząć proces, nie będzie z tym trudności.

Ciekawe, jak Paul Drake daje sobie radę z tą zabawą w biuro?

- Och, powinieneś to zobaczyć, szefie.

Rozkręcił wszystko na medal! W gazetach ukazało się ogłoszenie, że poszukiwana jest sekretarka z prawniczym doświadczeniem, pisząca bardzo biegle na maszynie. Płaca na początku - na początku, zwracam twoją uwagę -

wynosi dwieście dolarów tygodniowo. Z tekstu ogłoszenia wynika, że adwokat poszukujący maszynistki, jest zaangażowany w sprawy o międzynarodowym znaczeniu i w związku z tym istnieje perspektywa wyjazdów zagranicznych oraz kontaktów z ważnymi osobistościami. Taka praca to marzenie każdej sekretarki.

- A jak wygląda lokal, w którym przesiewa kandydatki? - na twarzy Masona pojawił się wyraz lekkiego rozbawienia.

- Och, imponująco! Jest wyposażony w biurka, maszyny do pisania, książki prawnicze, grube dywany, a wszystko wokół przesiąknięte taką spokojną dystynkcją, że można pomyśleć, iż nawet portier zarabia tyle, ile prezes towarzystwa akcyjnego.

- Mam nadzieję, że nie przesadził -

zaniepokoił się Mason. - Lepiej będzie, jeśli tam zajrzę.

- Nie, mogę cię zapewnić, że nic nie zostało przesadzone. Atmosfera konserwatyzmu i prestiżu spowija jak mgła każdy zakątek biura.

Szkoda żeś nie widział tych młodych kobiet!

Kandydatki do posady przychodzą z gumą do żucia w ustach i głupim uśmiechem na twarzy.

Liczą na to, że mimo braku kwalifikacji, stanie się cud. Po kilku sekundach przebywania w biurze dyskretnie wyjmują gumę, ściszą głos do szeptu i oglądają spod rzes dystygowane urządzenie.

- A jak on wyławia dziewczyny, którym brak kompetencji?

- Kandydatki proszone są o zajęcie miejsca przy maszynach, sporo ich tam nastawiał, i podanie nazwisk, adresów oraz kwalifikacji. Oczywiście, dobra maszynistka orientuje się po kilku uderzeniach w klawisze, czy dana osoba ma pełne kwalifikacje, średnie czy słabe. Tylko dziewczęta, które potrafią walić w maszynę jak z karabinu maszynowego, przechodzą przez to sito, nad którym czuwa jedna z najlepszych pracowniczek Drake'a.

- Yhm - mruknął Mason - to jest całkiem...

Ostry dzwonek telefonu przerwał mu w połowie zdania.

- Wielki Boże! - zawołała z

podnieceniem Della. - To

na pewno Paul. Tylko on zna nasz zastrzeżony numer. Mason chwycił gwałtownie słuchawkę.

- Znacząłoby to, że ma tego rodzaju wiadomości, których lepiej nie przekazywać przez centralkę.  
Hallo...

hallo Paul!

Do jego uszu dobiegł podniecony głos Drake'a. Mówił szybko i cicho, tak jakby obawiał się, że ktoś w pokoju obok może go usłyszeć.

- Hallo, Perry. Hallo, Perry. Tu Paul.

- Tak. O co chodzi?

- Mam tę dziewczynę.

- Jesteś pewien?

- Tak.

- Kim ona jest?

- Nazywa się Mae W. Jordan. Mieszka na ulicy Caba-chon, pod numerem siedemset dziewięćdziesiąt dwa. Zatrudniona jest w kancelarii prawnej, ale nie chce powiedzieć gdzie. Wiem tylko, że obowiązuje ją dwutygodniowe wypowiedzenie. Bardzo jej zależy na tej nowej pracy i bracie, gdybyś ty widział jak ona wali w maszynę! Ale tempo to jeszcze nic!

Pisze bezbłędnie.

- A co znaczy to „W” przed nazwiskiem?

Wallis?

- Nie wiem jeszcze. Chciałem od razu zawiadomić cię, że mamy tę dziewczynę.

- Jesteś pewien, że to ta właściwa?

- Tak. Odciski palców się zgadzają. Mam właśnie przed sobą jej prawo jazdy.

- Adres się zgadza?

- Yhm. Ulica Cabachon siedemset dziewięćdziesiąt dwa, ten sam adres podany w prawie jazdy.

- Okay, Paul. Zrób tak: powiedz jej, że twoim zdaniem ona nadaje się do tej roboty i w związku z tym zaaranżowałeś spotkanie z samym wielkim szefem na godzinę szóstą dzisiaj wieczorem. Niech przyjdzie punktualnie.

Punktualnie. Rozumiesz?

- Jasne - warknął Drake. - Czy powiedzieć jej coś na temat pracy?

- Nie. Postaraj się dowiedzieć wszystkiego, co tylko możesz. Bądź

zainteresowany, ale nie ciekawski.

- Chcesz, żeby ją ktoś śledził?

- Jeżeli jesteś pewny jej adresu, to obejdziemy się bez tego - zdecydował Mason.

- To może postaram się dowiedzieć, gdzie ona pracuje?

- Nie. Mamy jej imię, nazwisko, adres, i to nam wystarczy. Jest sprytna, bardzo spostrzegawcza i możliwe, że zamieszana w morderstwo. Bez wątpienia istnieje powiązanie pomiędzy nią a tą diamentowo-przemysłową aferą. Widzisz Paul, za dużo pytań...

- Rozumiem - przerwał Drake. - Każę jej przyjść o szóstej i zadzwonię do ciebie za piętnaście, dwadzieścia minut.

- Nie - rzekł lakonicznie Mason. - Jak tylko skończysz rozmowę z tą dziewczyną, wskocz w samochód i przyjedź tutaj. Nie masz po co dłużej czekać. Znaleźliśmy to, czego szukaliśmy. Jutro możesz zlikwidować biuro.

Wycofaj ogłoszenie z gazet i powiedz innym kandydatkom, że posada została już zajęta.

Zacznijmy ograniczać wydatki.

- Okay - zachichotał Drake.

Mason odwiesił słuchawkę i uśmiechnął

się do Delii.

- No, mamy naszą maszynistkę. Mae W.

Jordan, ulica Cabachon siedemset dziewięćdziesiąt dwa. Zapisz to Della i schowaj kartkę, ale tak, żeby nikt jej nie mógł znaleźć.

## **Rozdział IX**

Paul Drake rozparł się nonszalancko w fotelu stojącym naprzeciwko biurka Perry Masona. Uśmiechał się z satysfakcją, jak człowiek, który wie, że dobrze wywiązał się z powierzonego mu zadania.

- No, udało się Perry, choć zaczynaliśmy prawie od zera, a poszlaki były więcej niż wątłe.

Mason spojrzał porozumiewawczo na Delię.

- Dobra robota, Paul.

- Ale co cię na to naprowadziło, Perry?

- Och, po prostu przeczucie - załatwił się krótko z pytaniem Mason,  
- Jak na przeczucie to miałeś całkiem dobry odcisk kciuka - mruknął z ironią Drake.  
- Czysty przypadek - głos Masona brzmiał obojętnie.  
- Dobra, jeżeli nie chcesz mi powiedzieć, to mogę pytać do jutra, a i tak mi nie powiesz -  
wzruszył ramionami Drake. - Słyszałem, że oskarżyli Jeffersona.

- Zgadza się.

- Prokurator okręgowy twierdzi, że istnieją w tej sprawie pewne okoliczności, które przemawiają za szybkim rozpoczęciem procesu, bo inaczej materiały dowodowe mogą zostać rozproszone...

- Yhm - wymijająco mruknął Mason.

- Czy chcesz zyskać na czasie i starać się o odroczenie?

- A niby dlaczego?

- No, bo zwykle obrońcy zależy na czymś zupełnie przeciwnym niż prokuratorowi.

- To nie jest zwykła sprawa, Paul.

- Mnie się też tak wydaje.

- Dowiedziałeś się czegoś o Irvingu? -

zagadnął Mason.

Drake wyciągnął notatnik z kieszeni.

- Pełne imię i nazwisko brzmi Walter Stockton Irving. Pracował około siedmiu lat w paryskiej filii „Południowoafrykańskiego Towarzystwa Importu i Eksploatacji Kamieni Szlachetnych”. Lubi ten kontynent; ceni sobie swobodniejsze zasady moralności i powolniejszy tryb życia. Wielki amator wyścigów konnych.

- Do diabła! Jesteś pewien?

- Aha. Oczywiście, na tamtym

kontynencie te sprawy wyglądają inaczej niż u nas.

- Hazardzista?

- No, to trochę za mocne określenie. Od czasu do czasu wpada do Monte Carlo i przepuszcza w



kasynie jakąś sumkę pieniędzy, ale najbardziej lubi spacerować z kociakiem uwieszonym u jego ramienia, wywijając laseczką i zerkając przez lornetkę, no... cieszy się przywilejami „dżentelmena”. To ostatnie słowo umieszczam w cudzysłowie.

- A wiesz Paul, że to mnie bardzo interesuje.

- Tak też myślałem.

- A co on robi u nas?

- Po prostu czeka, aż tutejsza filia będzie gotowa do rozpoczęcia handlowej działalności.

Wolny czas spędza bardzo spokojnie, lecz jestem pewien, że na jego obecny tryb życia wpłynęło oskarżenie o morderstwo przeciwko Jeffersonowi. Nawiązał jednak z kimś kontakt.

- Z kim? - zainteresował się gwałtownie Mason.

- Z francuskim kociakiem, Marline Chaumont.

- Gdzie ona mieszka?

- W jednym z tych małych domków przy Ponce de Leon Drive, numer osiem tysięcy dwieście pięćdziesiąt siedem.

- Sama?

- Nie, z bratem którym się opiekuje.

- Co mu jest?

- Podobno chory umysłowo. Zwolniono go ze szpitala, żeby siostra mogła się nim zająć. I choć przedsięwzięła wszelkie środki ostrożności, by się uchronić przed wścibstwem sąsiadów, jeden z nich ma pewne podejrzenia. No, ale jak dotąd to wszystko.

- Niebezpieczny?

- Kto? Brat? Nie, teraz jest nieszkodliwy.

Słyszałeś chyba o operacji mózgu zwanej labotomią?

- Tak, naturalnie. Jeszcze do niedawna stosowano ten zabieg w wypadkach beznadziejnej i gwałtownej w objawach choroby umysłowej lub na kryminalistach. Ale, jak się orientuję, wstrzymano już tego rodzaju operacje.

- Po takim zabiegu człowiek podobno wegetuje jak roślina, prawda?

- Cóż, doktorzy mają różne zdania na ten temat - Mason zmarszczył z zastanowieniem czoło. - Ale

Jestem prawie pewien, że tego rodzaju operacje nie są już praktykowane.

- A jednak ten facet miał właśnie taką operację. Przeżył, ale jest kompletnym tumanem.

A wracając do tego, co mówiłem poprzednio, to Marline знаła Irvinga już w Paryżu. Podobno ta mała, kiedy wyzwala się od obowiązków i wskakuje w piękne szmatki, wygląda szalowo.

- A teraz?

- Teraz jest poświęcającą się siostrą.

Wiesz, Perry, co mi się podoba u Francuzów?

Jeśli nie mają niczego na głowie, to bawią się do upadłego, ale jak już podejmują jakieś obowiązki, to wypełniają je rzetelnie.

- Kiedy przyjechała do Stanów?

- Opierając się na tym, co mówiła przy zakupach właścicielom sklepów, to rok temu.

Nie udało nam się jeszcze tego sprawdzić.

Niedawno, kiedy dowiedziała się, że brat z nią zamieszka, przeniosła się w te okolice. Do tego czasu wynajmowała mieszkanie. Ale dom czynszowy nie jest odpowiednim miejscem dla umysłowo chorego. Marline szybko zdała sobie z tego sprawę i podnajęła bungalow.

- Mieszka sama z bratem?

- Tak, gosposia przychodzi na kilka godzin dziennie.

- A Irving często tam zagląda?

- O ile mi wiadomo, był u niej dwa razy.

- Starał się wyciągnąć Marline do miasta?

- O co on się starał, to już inne pytanie - zarechotał Drake. - Wygląda na to, że Marline jest bardzo przywiązana do brata, a przy tym wielka domatorka. Kiedy mój pracownik śledził Irvinga po raz pierwszy, zobaczył

Marlinkę, jak otworzyła drzwi i czule przywitała swego gościa. Irving pozostał u niej około godziny, a gdy wychodził, wyglądało na to, że stara się przekonać Marline, aby mu towarzyszyła. Zatrzymał się w drzwiach i mówił

coś do niej, a ona uśmiechała się, lecz przez cały czas potrząsała przecząco głową.

- Tak więc Irving poszedł sobie - ciągnął

Drakę - ale wrócił tego samego wieczora.

Widocznie Marline namówiła go, żeby przypilnował jej brata, bo wyszła i wróciła dopiero po godzinie czy dwóch.

- Pojechała samochodem?

- Autobusem.

- Nie ma samochodu?

- Widocznie nie.

- Dokąd się udała?

- Do licha, Perry! Nie powiedziałeś mi przecież, że chcesz, żeby ją śledzono? Może posłać tam kogoś?

- Nie - rzekł z zastanowieniem Mason. -

Chyba nie, Paul. Ale ta historia bardzo mnie interesuje. Co się wydarzyło od tego czasu?

- Prawdopodobnie Irving zdał sobie sprawę, że na próżno usiłuje odciągnąć Marline od jej obowiązków lub

też kłopoty, w jakich znalazł się Jefferson, działają na niego przygnębiająco. O ile nie jest w biurze, siedzi samotnie w mieszkaniu.

- Adres?

- Alta Loma Apartments.

- Dowiedziałeś się jeszcze czegoś, Paul?

- Słyszałem, że prokurator okręgowy uzbroił się jak na grubego zwierza. Tak pragnie dobrać ci się do skóry, że aż biega w kółko z podniecenia. Powiedział kilku zaprzyjaźnionym

reporterom, że na tego rodzaju sprawę czekał już od lat. Peny, czy wszystko jest w porządku?

- Co masz na myśli?

- Czy nie mają nic przeciw tobie?

- Jasne, że nie.

- Nie masz czegoś na sumieniu? Mason zaprzeczył.

- Prokurator Burger zachowuje się tak, jak gdyby cię wreszcie miał w garści.

Przypomina mi dziecko z nową zabawką pod choinką, a nawet z całą furą zabawek.

- Bardzo mnie cieszy, że on jest taki szczęśliwy - kwaśno uśmiechnął się Mason. -

Opowiedz mi lepiej o Mae Jordan, Paul.

- Nie wiem nic więcej, niż ci powiedziałem przez telefon. Przyjdzie o szóstej, tak jak chciałeś.

- Jesteś pewien, że ma jakąś pracę?

- Tak.

- Jakie zrobiła na tobie wrażenie?

- Sympatyczna

i kompetentna.

Kulturalny głos, przyjemna powierzchowność i

wydaje się, że zawsze wie, co robi. Poza tym

znakomicie pisze na maszynie. A stenografię ma tak opanowaną, że trudno byłoby znaleźć kogoś lepszego.

- Zadowolona ze swojej obecnej pracy?

- Chyba nie. Nie wiem, o co tu chodzi, ale wygląda na

to, że chce jak najszybciej wydostać się ze środowiska, w którym obecnie przebywa.

- Zawiedziona miłość?

- Może.

- Na to wygląda - powiedział powoli Mason.

- Może ci się uda dowiedzieć czegoś na ten temat dzisiaj wieczorem, Perry.

- O właśnie, dobrze żeś mi przypomniał.

Kiedy przyjdzie wieczorem do biura nie podawaj mojego nazwiska. Nie przedstawiaj nikogo. Po prostu powiedz, że ja jestem tą osobą, u której ma pracować.

- A co, istnieje możliwość, że cię rozpozna? - zapytał z chytrym błyskiem w oczach Drake.

- Nie wydaje mi się, żebym ją kiedykolwiek w życiu widział - powiedział

Mason, zerknąwszy przelotnie na Delię.

- To nic nie znaczy, twoje zdjęcia ukazują się często w prasie.

- Cóż, jeżeli mnie nawet rozpozna, nie robi to wielkiej różnicy, bo poza wstępnymi pytaniami, nie będę z nią mówił na temat pracy.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że ona od razu po wejściu zorientuje się, że ta cała historia z nową pracą jest jedną wielką lipą?

- Yhm, mam nadzieję, że nie tak od razu

- powiedział przeciągle Mason. - Ale zorientuje się po pierwszych pytaniach. Jak długo będzie mówić, nie będę jej przerywał.

- To nie potrwa długo - wzruszył

ramionami Drake. - Odpowiada na pytania, ale nie udziela żadnych informacji z własnej inicjatywy.

- Dobra, Paul. Zobaczymy się kilka minut przed szóstą.

- Pamiętaj - ostrzegł go Drake - że mogą być kłopoty.

- Dlaczego?

- Ta dziewczyna robi wszystko, żeby znaleźć pracę, która zapewni jej podróżę. Chce uciec od przeszłości. W chwili, kiedy zorientuje się, że jest ci po prostu potrzebna jako świadek, odmówi współpracy.

- Tak? I co zrobi?

- Och, sądzę, że jest zdolna do wszystkiego.

- To znakomicie!

- Mówisz poważnie?

- Tak. Chciałbym wiedzieć, co ona robi, kiedy wpada we wściekłość. Nie łudź się co do tej dziewczyny, Paul. Jest zamieszana w bardzo wredną historię.

- Marginesowo czy głęboko?

- Prawdopodobnie aż po same uszy. Po chwili ciszy Mason zmienił temat.

- Jesteś pewien, że Marline Chaumont znała Waltera Irvinga w Paryżu?

- Wszystko na to wskazuje. Ogromnie się ucieszyła na jego widok. Kiedy otworzyła mu drzwi, wystarczyło jej jedno spojrzenie, a już wisiała na jego szyi. Typowa Francuzka.

- I Irving już tam więcej nie przychodzi?

Drakę potrząsnął przecząco głową.

- Jak myślisz, co ona by zrobiła, gdybym wstąpił do niej na pogawędkę dzisiaj po południu?

- Albo będzie chciała rozmawiać, albo nie.

- Powie Irvingowi, że ją odwiedziłem?

- Prawdopodobnie.

- Cóż, spróbuję szczęścia, Paul, i wybiorę się z wizytą do Marline Chaumont.

- Proponuję, żebyś mnie zabrał ze sobą. –

Della Street uśmiechała się filuternie, lecz jej głos brzmiał bardzo stanowczo.

- Jako przyzwoitkę czy też jako sekretarkę, która

będzie skrzętnie notowała każde słowo?

- Potrafię działać skutecznie w obu przypadkach.

- To wszystko wina francuskiego temperamentu - zarechotał Drakę. - Nasze dziewczyny boją się go więcej niż diabeł

święconej wody! Konkurencja, mój drogi, ot co...

## **Rozdział X**

Perry Mason jechał powoli wzdłuż Ponce de Leon Drive.

- To tutaj - wskazała ręką Della Street. -

Ten biały bungalow z zielonymi okiennicami.

Mason przejechał koło domku, przyjrzał

mu się uważnie i przy następnym skrzyżowaniu zawrócił w stronę, z której przyjechał.

- Co jej zamierzasz powiedzieć? -

zapytała niespokojnie Della.

- To zależy od tego, jakie zrobi na mnie wrażenie.
- I jakie my na niej zrobimy?
- Chyba tak.
- Szefie, czy to nie jest trochę niebezpieczne?
- A niby z jakiego powodu?
- Na pewno powie Irvingowi.
- Co mu powie?
- Że wypytywałeś się o niego.
- Sam mu to powiem.
- Tak, ale wtedy od razu się zorientuje, że jest śledzony z twojego polecenia.
- Jeżeli nawet znał pannę Chaumont w Paryżu, to i tak nie będzie wiedział, jak na to wpadliśmy. Chciałbym trochę nastraszyć pana Irvinga. Jest zbyt pewny siebie.

Mason przeskoczył trzy stopnie

prowadzące na frontowy ganek i nacisnął

dzwonek. Po chwili drzwi zabezpieczone grubym mosiężnym łańcuchem otworzyły się na dwa centymetry.

Mason uśmiechnął się do błyszczących czarnych oczu, obserwujących go zza łańcucha.

- Chcielibyśmy rozmawiać z panną Chaumont.
- To właśnie ja.
- Przyjechała pani z Paryża?
- Mais oui. Mieszkałam w Paryżu, oui. A teraz mieszkam tutaj.
- Czy mógłbym pani zadać kilka pytań?
- Na jaki temat?
- Na temat Paryża.
- Ach, Paryż! Z przyjemnością. To jest dopiero miasto!

- Przyzna pani, że to jednak trochę głupio rozmawiać przez drzwi - zauważył Mason rzeczowym tonem.

- Czy monsieur słyszy mnie dobrze?

- O, tak.

- I ja też pana słyszę.

Mason uśmiechnął się z rozbawieniem.

Teraz, kiedy jego oczy przyzwyczyły się do półmroku, mógł dojrzeć owal twarzy, i zarys zgrabnej sylwetki.

- Czy było pani znane w Paryżu

„Południowoafrykańskie Towarzystwo Importu i Eksploatacji Kamieni Szlachetnych”?

- Dlaczego pan o to pyta?

- Ponieważ mnie to interesuje.

- Kim pan jest?

- Nazywam się Perry Mason. Jestem adwokatem

- Och, pan jest Perry Mason?

- Tak.

- Czytałam o panu.

- Bardzo mnie to cieszy.

- O co panu chodzi, panie mecenasie?

- Chcę wiedzieć, czy utrzymywała pani w Paryżu jakieś kontakty z towarzystwem, o którym wspomniałem?

- Słyszałam o tym towarzystwie, oui.

- I znała pani ludzi pracujących w filii paryskiej?

- Ależ Oczywiście, monsieur. Nie można przecież przyjaźnić się, tak jak pan to powiedział, z towarzystwem, non. Można przyjaźnić się z ludźmi, z kilkoma ludźmi tam pracującymi, oui. Ale z towarzystwem, non.

- Czy Waltera Irvinga poznała pani w Paryżu?



- Oczywiście. To mój przyjaciel. Teraz jest tutaj.

- Przebywała pani często w jego towarzystwie?

- Ależ tak. A co w tym złego?

- Nic, nic - uspokoił ją pośpiesznie Mason. - Poprostu staram się zrozumieć sytuację.

Czy zna pani Davida Jeffersona?

- David Jefferson jest z centrali południowoafrykańskiej. Nie, jego nie znam.

- A znała pani innych ludzi z tej centrali?

- Dwukrotnie, kiedy przyjechali jacyś ludzie z wizytą do Paryża, proszono mnie o pomoc w... jak to tutaj się nazywa... w podejmowaniu gości. Ubrałam się w wydekoltowaną suknię i mrugałam wyzywająco oczami, jak... zaraz, zaraz... wy to nazywacie...

jak strażak na randce... oui?

- A kto panią przedstawił tym ludziom?

- Mój przyjaciel, Walter.

- Walter Irving?

- Tak.

- Chciałbym się czegoś więcej

dowiedzieć o panu Irvingu.

- Jest bardzo miły. Czy to on podał panu mój adres?

- Nie. Odnaleźli panią ludzie, którzy dla mnie pracują. Mają swoje biuro w Paryżu.

- I paryskie biuro mnie odnalazło?

Monsieur, to nie możliwe!

Mason uśmiechnął się lekko.

- A jednak jestem tutaj.

- I ja jestem tutaj... Ale... człowiekowi na pana stanowisku, nie należy... jak wy mówicie?...

zaprzeczać.

- Jakim człowiekiem jest Walter Irving?

- Walter Irving ma wielu przyjaciół. Jest bardzo miły. Ma... jak to się nazywa?... za dużą serce. Ta duża serca, ona zawsze pakuje go w kłopoty. Walter oddałby wszystko... nawet koszulę z grzbietu. Kiedy komuś wierzy, to naprawdę wierzy. Nieraz ludzie... oni to wykorzystują. Pan jest jego przyjacielem, oui?

- Chciałbym się czegoś dowiedzieć o nim.

- A ta kobieta to pana żona?

- Moja sekretarka.

- Och, przepraszam tysiąckrotnie.

Sprawiacie wrażenie... no... jednej osoby.

- Pracujemy razem już od długiego czasu.

- Rozumiem. Czy mogę panu powiedzieć coś jako przyjacielowi Irvinga?

- Czemu nie?

- Ten David Jefferson... niech pan na niego uważa.

- Co pani ma na myśli?

- No, że to właśnie na niego trzeba uważać. Jest bardzo przebiegły i bardzo gładki.

On... on ma zwariowane pomysły w głowie.

- Co pani o nim wie?

- Co wiem, monsieur? Wiem bardzo mało. Tylko że kobieta ma intuicję. Kobieta może powiedzieć. Walter, tego znam dobrze. On jest duży. On jest uczciwy. Przypomina psa.

Wszystkim wierzy. Ale Walter lubi, wy to nazywacie, popisywać się, lubi grać dla efektu.

Lubi się

dobrze ubierać i pokazywać z ładną kobietą pod ramię. Lubi tłumy... Lubi... -

przerwała wybuchając głośnym śmiechem.

- On jest bardzo prosty jak na takiego, który jest wcale niegłupi - ciągnęła po chwili. -

Dbą o to, żeby za dziewczyną, z którą wychodzi, oglądali się ludzie. Więc kiedy wypuszczam się gdzieś z Walterem, zakładam

sukienkę... pana sekretarka już wie, o co mi chodzi. Taką, która uwydatnia kształty, oui?

Della skinęła głową.

Marline znowu się roześmiała, lecz tym razem bardzo zalotnie.

- I wtedy Walter jest bardzo szczęśliwy.

Uważam, panie mecenasie, że ten Jefferson...

- Myślałem, że pani nie zna Jeffersona -

przerwał jej Mason.

- Ludzie mówią, a ja słucham. A teraz, wybaczy mi pan, oui? Mam brata, który jest chory na... na głowę. Jak będzie miał spokój, to może mu się polepszy. Jesteście mili ludzie i zaprosiłabym was, ale on może się podniecić... o non.

- Dziękujemy bardzo - skłonił lekko głową Mason. - Czy Walter Irving wie, że przebywa pani teraz u nas w mieście?

- Czy wie, że jestem tutaj? Oczywiście, że wie... Odnalazł mnie tutaj. Ten Walter Irving jest bardzo chętny do wszystkiego, a w towarzystwie wesoły. Gdyby nie chory brat, włożyłabym suknię, mademoiselle wie jaką -

mrugnęła łobuzersko do Delii - wydekoltowaną, obcisłą i polatałabym z Walterem po nocnych lokalach. Bardzo by go to cieszyło, a i mnie też.

Ale mam swoje obowiązki. Muszę siedzieć w domu. Panie mecenasie, proszę... niech pan słucha Marline Chaumont. Ten David Jefferson jest bardzo zimny, bardzo ugrzeczniiony i zdrażliwy jak wąż.

- Jeżeli zobaczy pani Waltera Irvinga, powie mu pani, że tutaj byłem?

- Woli pan, żebym nie powiedziała?

- Nie wiem - zawahał się Mason. - Po prostu chcę się upewnić.

- Zrobię z panem targ... znowu źle powiedziałam... ugodę, tak? Pan nie powie Walterowi Irvingowi, co ja mówiłam o Davidzie Jeffersonie, a ja nie powiem Walterowi, że pan jest... był tutaj. Mamy wspólny sekret, oui? Ale jeżeli ten David Jefferson zrobił złe rzeczy, to proszę, niech pan dopilnuje, żeby nie ciągnął

mojego przyjaciela, Waltera, za sobą, oui?

- Myśli pani, że Jefferson zrobił coś złego?

- Tak mówią rozmaici ludzie.

- Ale towarzystwo wydało mu znakomitą opinię. Maj ą bezgraniczne zaufanie do jego poczucia honoru i prawości.

- Panie mecenasie, powiedziałam już panu, że tylko ludzie potrafią odczuwać, a nie towarzystwa. Kiedy już dojdzie do procesu, będę czytała gazety z wielkim zainteresowaniem. Ale niech pan bacznie uważa na tego Davida Jeffersona. Może opowie panu bajeczkę, która będzie się trzymać kupy tak długo, jak długo nie będzie o nic pytany. Ale jak zacznie zeznawać i zobaczy, że nie może już dłużej ukrywać się za wytwornymi angielskimi manierami, to chyba się wścieknie, a jak się wścieknie, to dopiero będzie bal! Lepiej uważać!

- Taki ma temperament?

- Tego, panie mecenasie, nie wiem, ale słyszałam, co mówią inni. Kiedy jest wściekły, robi się zupełnie zły. Jego grzeczne maniery to maska.

- Dziękuję pani - jeszcze raz skłonił

uprzejmie głowę Mason.

Wahała się przez chwilę, a następnie filuternie dotykając ust końcami palców, przesłała mu pocałunek. Zamknęła drzwi cicho, lecz stanowczo.

## **Rozdział XI**

Perry Mason i Paul Drake wysiedli z windy i zgodnym krokiem ruszyli korytarzem wielkiego biurowca.

- To jest ten apartament - powiedział

Drake zatrzymując się przed drzwiami, na których matowym szkle

było wypisane słowo „wejście” oraz numer 555.

Drake otworzył drzwi.

- No, no - mruknął Mason rozglądając się wokoło - urządziłeś ten lokal na medal, Paul.

- Wypożyczone biurka i krzesła -

roześmiał się Drake. - Wypożyczone maszyny do pisania. Eesztę umeblowania wynająłem razem z biurem.

- Phi! Nie wiedziałem, że można takie lokale wynajmować.

- Właściciele budynku nastawili się na międzynarodową klientelę - tłumaczył Drake. -

Czasami jest potrzebne takie duże, umeblowane biuro, na spotkania dyrektorskie, narady i inne tego

rodzaju imprezy. Ostatnim razem wynajęli je wielkiej firmie meksykańskiej w celu urządzenia konferencji handlowej.

- Właściciel traci oczywiście na wynajmie lokalu, ale gesty dobrej woli i usługi świadczone. międzynarodowym lokatorom budynku zwracają się z nadwyżką. Chodź za mną, Perry.

Drakę zaprowadził go do gabinetu.

- Tutaj przeprowadzałeś te wywiady? -

zapytał Mason z zainteresowaniem.

- Aha.

- Myślisz, że ona przyjdzie o szóstej?

- Co do minuty. Ta dziewczyna jest dumna ze swojej sprawności i dokładności.

- Ja też wyrobiłem sobie o niej podobne zdanie - zgodził się Mason.

- Czy możesz mi wreszcie powiedzieć, jak się dowiedziałeś o jej istnieniu?

- Nie.

- A co ma wspólnego z tą całą sprawą?

- Istnieje możliwość, że to właśnie ona wślizgnęła się do biura

„Południowoafrykańskiego Towarzystwa Importu i Eksploatacji Kamieni Szlachetnych”.

- Domyślałem się tego - burknął Drake. -

Prawie identyczny rysopis ma policja.

- Czy magnetofon jest podłączony, Paul?

- W tym pokoju są aż trzy ukryte mikrofony - uśmiechnął się krzywo Drake. -

Magnetofon tkwi w schowku.

- r A gdzie twoja recepcjonistka?

- Powinna być... - przerwał mu głośny dźwięk dzwonka. - Ktoś przyszedł.

Drakę wstał, otworzył drzwi do dużego pokoju konferencyjnego i po chwili powrócił z bardzo atrakcyjną młodą kobietą.

- Przedstawiam ci Norę Pitts, Perry. To jedna z moich współpracowniczek, a tutaj pełni obowiązki

recepcjonistki. Zna się na robocie, wierz mi.

Panna Pitts zaczerwieniła się i lekko zmieszana wyciągnęła rękę do słynnego obrońcy.

- Miałam nadzieję, że kiedyś wreszcie pana poznam, mecenasie. Pan Drake zleca mi zadania biurowe  
- Najczęściej pracuję gdzieś na uboczu. Zaczęłam się obawiać, że już nigdy nie nadarzy się okazja wspólnej pracy z panem.

- Nie trzeba było jej przede mną ukrywać, Paul.

Drake roześmiał się i spojrzawszy na zegarek, zapytał:

- Wiesz, o co nam chodzi, Nora? Skinęła twierdząco głową.

- Czy zna pani Delię Street, moją sekretarkę?

- Tak, ale tylko z widzenia.

- W kilka minut po zjawieniu się dziewczyny, na którą czekamy, nadejdzie panna Street.  
Powiedziałem jej, żeby

przyszła dokładnie piętnaście po szóstej.

Nora słuchała uważnie, a wrażenie, jakie wywarło na niej poznanie Masona, całkowicie ustąpiło zawodowej koncentracji.

- Co mam zrobić? - zapytała.

- Myślę, że dziewczyna, na którą czekamy, będzie tutaj o szóstej lub najpóźniej parę minut po szóstej.  
Zaraz po przyjściu proszę skierować ją do tego pokoju. Zacznę z nią rozmawiać i zadawać pytania.  
Della Street przyjdzie dokładnie piętnaście po szóstej.

Usłyszymy dzwonek i to będzie dla nas sygnał, że już jest, tak że nie musi nas pani zawiadamiać.

Proszę powiedzieć Delii, żeby cierpliwie czekała i dopiero kiedy naciśnie dzwonek łączący nas z sekretariatem, niech wejdzie do gabinetu.

- Rozumiem - panna Pitts nie spuszczała uważnego spojrzenia z Masona.

- Wiesz, co masz robić, Nora? - chciał

się upewnić Drake.

Nora spojrzała na niego chłodno.

- Oczywiście.

Drake rzucił ponownie okiem na zegarek.

- Za siedem minut szósta. Ona może przyjść wcześniej. Idź już.

Nora Pitts przesławszy adwokatowi szybki uśmiech przeszła do sekretariatu. W

gabinecie Mason i Drake zapalili papierosy.

- Prasa daje do zrozumienia, że twój klient jest zimną

rybą. - Drake zaciągnął się głęboko dymem.

- Ten facet próbuje chronić jakąś dziewczynę i nic z niego nie wyciągniemy, dopóki ta dziewczyna nie zacznie gadać -

powiedział z irytacją Mason.

- Myślisz, że Mae Jordan jest tą dziewczyną?

- Nie wiem. Może.

- Przypuśćmy, że tak.

- Wydusimy z niej całą prawdę.

- I co wtedy?

- Kiedy wszystko nagramy na taśmę, odwiedzę Jeffersona w więzieniu i powiem mu co mam, i że lepiej zrobi, jeżeli nie będzie niczego ukrywał.

- I co wtedy? - powtórzył pytanie Drake; -

- Wtedy będę miał w ręku wszystkie nici.

- Yhm... a powiedz mi, Perry, w jaki sposób prokurator Burger rozpozna, że to są właśnie te diamenty?

- Mało wiem na temat całej sprawy Paul, ale dużo wiem na temat prokuratora Burgera. Od lat już czeka, żebym się potknął. Teraz myśli, że ma mnie w ręku. Ale liczę na to, że jest pewien prawny aspekt, który przeoczył.

- Jaki?

- Corpus delicti.

- A czy bez tego nie uda mu się dowieść...

- Czego? - przerwał Mason. - Jak można dowieść morderstwa? Zwłoki Munroe Baxtera nie zostały

znalezione. A ja mogę wykazać sądowi, używając do tego świadków Hamiltona Burgera, że Munroe Baxter był znakomitym aktorem, który zaimprovizował

własne

samobójstwo, aby przemyć brylanty. Dlaczego więc nie miał sfingować morderstwa, w celu zagarnięcia całej fortuny, bez podziału zysków ze współniczką?

Powiem jeszcze sędziom przysięgłym, że Baxter z całą pewnością ma już nowego kociaka, jakąś śliczną laleczkę, która jest nie tylko gotowa, ale wręcz pragnie zająć miejsce Yvonne Manco jako jego współniczka.

- Cóż bardziej prawdopodobnego -

kończył z ferworem Mason - że Baxter obawiając się mściwości Yvonne Manco, udaje, iż został zamordowany?

- Hm, naturalnie, jeżeli stawiasz to w ten sposób, to widzę pewne możliwości - zgodził się Drake.

- No właśnie - uśmiechnął się Mason. -

W ten sposób przedstawię sprawę sądowi.

Hamiltonowi Burgerowi nie uda się przeprowadzić wszystkiego tak gładko i łatwo, jak przewiduje, choć na pewno czymś mnie zaskoczy. Podejrzewam, że ukrywa w zanadrzu coś, czym trzepnie mnie ciężko po łbie, no ale potem przejdziemy do spraw zasadniczych.

Może mi zadać jakiś cios, ale to wszystko. Ja natomiast mogę wywalić jego sprawę z sądu.

Przez kilka minut palili w milczeniu.

- Która u ciebie godzina, Paul? U mnie pięć po szóstej.

- U mnie sześć po szóstej - mruknął

zaniepokojonym głosem Drake. - Myślisz, że coś się stało?

- Może się rozmyśliła? - zastanawiał się głośno Mason.

- Nie, do diabła! Za bardzo jej zależało na tej robocie. Mason zaczął nerwowo przemierzać pokój spoglądając

co chwilę na zegarek.

Dokładnie piętnaście minut po szóstej zadzwieczał dzwonek.

Mason otworzył drzwi do sekretariatu.



- Hallo, Della, wejdź - powiedział.

- Nie ma maszynistki? - zdziwiła się Della.

- Nie, nie ma jej - potwierdził Mason.

- Może coś ją zatrzymało albo... Mason potrząsnął przecząco głową.

- Nic tej dziewczyny nie zatrzymało.

Nabrała podejrzeń, i tyle.

-Niczego nie podejrzewała, kiedy ze mną rozmawiała

- stwierdził kategorycznie Drake. -

Wychodziła tak uradowana perspektywą znakomitej pracy, że...

- Jasne - wzruszył ramionami Mason. -

Ale ona ma głowę na karku. Po prostu weszła do pierwszej lepszej agencji informacyjnej i poprosiła, żeby sprawdzono w administracji budynku, kto wynajmuje to biuro.

- O, o! - wykrzyknął Drake.

- Zostawiłeś jakieś ślady, co Paul?

- Musiałem Perry. Jeżeli zrobiła wszystko tak, jak podejrzewasz, to dowiedziała się, że ten lokal został wynajęty przez „Agencję Detektywistyczną Drake’a”

Mason chwycił kapelusz.

- Rusz się, Paul. Idziemy!

- Może przydam się na coś? -

zaoferowała swoją pomoc Della Street.

Mason wahał się przez chwilę.

- Dobrze, chodź z nami - zdecydował w końcu. - Postawimy ci później kolację.

Zatrzymał się na kilka sekund w sekretariacie i polecił Norze Pitts, żeby nie opuszczała biura, dopóki Drake do niej nie zadzwoni.

- Jeżeli ta dziewczyna przyjdzie - dodał

jeszcze Drake

- to zatrzymaj ją. Zatrzymaj ją tutaj i natychmiast daj znać do biura.

Wsiedli do samochodu Masona i w milczeniu pojechali na ulicę Cabachon.

Kamienica, w której mieszkała maszynistka, była dwupiętrowa, z bardzo wąskim frontem.

- Mieszkanie dwieście osiemnaście –

poinformował ich Drake.

Mason wielokrotnie naciskał dzwonek.

Po pewnym czasie, nie uzyskawszy odpowiedzi, nacisnął dzwonek do dyżurki.

Zamek odemknął się automatycznie i Drake otworzył drzwi. Na spotkanie wyszła grubokoścista kobieta około sześćdziesiątki i zmierzyła ich zimnym, doświadczonym spojrzeniem.

- Jestem administratorką domu. Nie wynajmujemy mieszkań na krótki czas -

oznajmiła opryskliwie.

- Jestem detektywem - krótko

przedstawił się Drake. ~ Potrzebne są nam informacje. Szukamy Mae Jordan.

- Yhm - burknęła kobieta. - Panna Jordan wyjechała.

- Wyjechała?

- No, powiedziała, że nie będzie jej przez pewien czas i żebym karmiła kanarka.

- Wyjechała z miasta?

- Tak myślę, bo strasznie się spieszyła.

Wpadła do mieszkania i w ciągu kilku minut zapakowała walizki.

- Była sama? - wtrącił Mason.

- Nie, w towarzystwie dwóch mężczyzn.

- Dwóch mężczyzn?

- Tak.

- Przedstawiła ich?

- Nie.

- Weszli razem z nią do mieszkania?

- Tak.

- I zeszli razem z nią?

- Tak. Każdy dźwigał walizkę.

- Panna Jordan nie powiedziała pani, na jak długo wyjeżdża?

- Nie.

- Przyjechała samochodem czy

taksówką?

- Nie widziałem, ale sprzed domu odjechała prywatnym samochodem w towarzystwie tych dwóch mężczyzn. Dlaczego?

Stało się coś?

Mason zamienił spojrzenie z Paulem Drake'em.

- O której godzinie odjechała? -

dopytywał się Mason.

- Około... zaraz... wydaje mi się, że to było jakieś przeszło półtorej godziny temu.

- Dziękuję - zakończył rozmowę Mason i skierował się do samochodu.

- No i co? - zapytał podniecony Drake, zanim jeszcze zajęli miejsca,

- Pognaj do roboty twoich ludzi, Paul.

Trzeba się szybko dowiedzieć, gdzie Mae Jordan pracowała. Zdobądź informacje o niej.

Wyszperaj wszystko, co tylko można. Chcę odnaleźć tę dziewczynę.

- A co zrobisz, kiedy ją odnajdziesz? -

zapytał z lekką ironią Drake.

- Dopadnę ją wezwaniem sądowym, postawię na podium dla świadków i przenicuję na wylot - odrzekł bezlitosnym głosem Mason. ~

Ile czasu ci zajmie, żeby się dowiedzieć, gdzie teraz jest Walter Irving?

- No, jak tylko moi pracownicy zadzwonią z kolejnym meldunkiem. Dwóch ludzi go śledzi. Normalnie telefonują co godzinę.

- Kiedy tylko się dowiesz, gdzie on jest, zawiadom mnie. Będę u siebie, w kancelarii.

Della Street uśmiechnęła się do Paula Drake'a.

- Kolacja została odroczone -

oświadczyła z westchnieniem.

## **Rodzdział XII**

Nie minęło nawet dziesięć minut od powrotu Masona do kancelarii, kiedy zadzwonił telefon. Della spojrzała pytająco na szefa.

- To zastrzeżony numer. Czy...

- Ja przyjmę - wstrzymał ją Mason i ujął słuchawkę.

- Hallo, Paul! No i co?

- Jeden z moich pracowników zawiadomił mnie, że

Irving jest w drodze do naszego budynku i zachowuje się, jakby go wściekły pies pokąsał.

- Idzie tutaj, do nas?

- Właśnie.

- Są tylko trzy możliwości. Jego biuro, twoje biuro i moje. Jeżeli przyjdzie do ciebie, Paul, odeślij go do mnie.

- Może przyda ci się pomoc?

- Dam sobie radę - Mason uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Mój pracownik mówi, że on jest naprawdę wściekły. Jadł kolację w lokalu, kiedy go poproszono do telefonu. Nie wrócił nawet do swojego stolika. Wyleciał jak oparzony, złapał taksówkę i podał nasz adres.

- W porządku - nie przejął się zbytnio adwokat. - Zobaczymy, co z tego wyjdzie -  
odwiesił słuchawkę.

- Irving jest w drodze do nas -  
zawiadomił lakonicznie Delię.

- Chce się z tobą zobaczyć?

- Prawdopodobnie.

- Co robimy?

- Czekamy na niego. Może być lepsza zabawa. Kilka minut potem ktoś zaczął walić z wściekłością  
w drzwi prowadzące do gabinetu

Masona.

- To na pewno Irving. Sam mu otworzę, Della. Wstał z krzesła, przeszedł przez pokój i  
błyskawicznym ruchem otworzył szeroko drzwi.

- Dobry wieczór - rzucił zimno, a jego twarz przybrała twardy i niedostępny wyraz.

- Co pan robi, do diabła? - krzyknął z wściekłością Irving. - Chce pan wszystko zepsuć?

Mason zmierzył go lodowatym

wzrokiem.

- W pokoju jest kobieta. Radzę uważać na sposób wyrażania się, jeżeli nie chce pan stąd wylecieć.

- A kto mnie wyrzuci? - bezczelnie zapytał Irving.

- Ja.

- Pan i kto jeszcze?

- Tylko ja - powiedział spokojnie Mason.

Przez chwilę Irving przyglądał mu się w milczeniu.

- Jedno muszę przyznać: szatan z pana, nie adwokat.

- W porządku. Proszę wejść, usiąść -

Mason wskazał ręką na fotel dla klientów - i powiedziec mi, o co panu chodzi. Następnym razem,

jeżeli znowu pan coś przede mną zatai, będzie pan żałował bardziej niż teraz.

- Niczego przed panem nie ukrywałem.

Ja...

- W porządku - powtórzył jeszcze raz Mason. - Proszę mi opowiedzieć o swoich kłopotach, a wtedy ja też panu coś opowiem.

- Poszedł pan do Marline Chaumont.

- Oczywiście, że poszedłem.

- Nie powinien pan był tego robić, mecenasie.

- To dlaczego pan mi o tym nie powiedział?

- Jeżeli chce pan wiedzieć prawdę, to nie przyszło mi nawet do głowy, że może pan trafić na jej trop. Dotąd nie wiem, jak się to panu udało.

- Nieważne. Ale co w tym złego, że poszedłem się z nią zobaczyć?

- Co w tym złego? Wielki obrońca rozwalił swoją własną sprawę, tylko tyle.

- Niech pan lepiej dokładnie wszystko opowie.

- Zająłem się tym aspektem sprawy, bo chciałem uzyskać potrzebne nam dowody.

Blagowała, że ma chorego brata, po to...

- Blagowała? - przerwał mu Mason.

- Niech pan nie udaje większego naiwniaka niż trzeba - warknął Irving.

- No i co z jej bratem? - spokojnie zapytał Mason.

- Jej brat! - wybuchnął Irving. - Jej brat!

Ale cymbał z pana! Jej tak zwany brat to Munroe Baxter.

- No, no - mruknął Mason. - Niech pan mówi dalej.

- Czy tego rodzaju fakt nie wystarczy, żeby zdał pan sobie sprawę z tego, co pan narobił?

- Fakt byłby wystarczający, natomiast pana oświadczenie nie jest.

. - No, przecież mówię panu.

- Powiedział mi pan. Ale nie są mi potrzebne pańskie przypuszczenia ani domysły.

Chcę faktów.

- Marline jest cwana babeczką.

Francuzka, zgrabna i szykowna, a przy tym potrafi błyskawicznie myśleć. Od pewnego czasu zabawiała się z Munroe Baxterem. Podobała mu się dużo bardziej niż Yvonne Manco, której miał już po dziurki w nosie. Tak więc, kiedy Munroe Baxter dał nura do wody, to nurkował tak długo, aż wylądował w ramionach Marline Chaumont.

Miała już wszystko dla niego przygotowane, nawet zmianę personaliów, bo to on jest tym chorym na głowę braciszkiem.

- Ma pan jakieś dowody? - zainteresował

się Mason.

- Byłem w trakcie ich zdobywania.

- Widział pan Marline?

- Oczywiście, że ją widziałem. Jak sobie wszystko dokładnie przemyślałem, to postanowiłem się z nią zobaczyć.

- I widział pan jej brata?

- Próbowałem - Irving machnął gniewnie ręką - ale była za cwana dla mnie. Zamknęła go w sypialni na tyle domu, a klucz zabrała. Chciała iść do nocnego banku, żeby załatwić jakieś interesy. Zaproponowałem, że przypilnuję jej brata, a ona przyjęła moją ofertę. Po jej wyjściu przeszukałem cały dom. Jeden pokój był

zamknięty. Myślę, że dała mu jakiś środek uspokajający. Słyszałem, jak chrapał.

Próbowałem go obudzić i pukałem dosyć głośno w drzwi. Chciałem na niego spojrzeć.

- Myśli pan, że to jest Munroe Baxter?

- Wiem, że to jest Munroe Baxter.

- Skąd pan ma tę pewność?

- Nie muszę panu o tym mówić.

- Proszę się przestać zgrywać, do diabła!

Irving wzruszył ramionami.

- Pan zaczął rozwalać całą sprawę, to niech pan ją sobie teraz skończy.

- W porządku, tak właśnie zrobię. Każę wziąć dom pod nadzór policyjny i...

- Pan i pana nadzór policyjny! -

wykrzyknął Irving pogardliwie. - Marline i jej

„brat” wynieśli się stamtąd w pół godziny po pana wizycie. Dom jest pusty i chłodny jak gniazdo opuszczone przez ptaki. Możemy się założyć, stawiam jeden do dziesięciu, że nie znajdzie pan nawet żadnego odcisku palców w tym całym cholernym miejscu.

- Dokąd się przenieśli? - zapytał z zimnym błyskiem w oczach Mason.

Irving wzruszył ramionami.

- Nie mam zielonego pojęcia. Byłem tam, ale ptaszki już wyfrunęły. Obudziło to moją podejrzliwość i zwróciłem się do prywatnej agencji detektywistycznej z poleceniem przeprowadzenia odpowiedniego wywiadu.

Jadłem właśnie kolację, kiedy zadzwonił jeden z detektywów. Sąsiedzi widzieli samochód, z którego wysiadła kobieta z mężczyzną. Jedna z sąsiadek patrzyła zza firanki i rozpoznała pana ze zdjęć w gazetach, a opis kobiety zgadzał się co do joty z wyglądem pana sekretarki, panny Street.

- W pół godziny po tej wizycie nadszedła taksówka - ciągnął podnieconym głosem Irving. - Z domu Marline wyniesiono cztery walizki i torbę podręczną, następnie zaś przy pomocy kierowcy, pomogła jakiemuś mężczyźnie wsiąść do taksówki. Mężczyzna zataczał się, tak jakby był pijany albo pod wpływem narkotyków, a może jedno i drugie.

- No i co dalej? - dopingował go niecierpliwie Mason.

- Taksówka odjechała.

- Dobra, odnajdziemy taksówkę-

oznajmił spokojnie Mason.

Irving wybuchnął pogardliwym

śmiechem.

- Wydaje się panu, że mamy do

czynienia z parą głupich królików, mecenasie.

- Kto wie?



- No, to spróbujcie odnaleźć tę taksówkę, a wtedy przekona się pan, do czego doprowadziło pana wścibstwo - odpowiedział

ironicznie Irving wstając z krzesła.

- Jak dawno wiedział pan o wszystkim? -

zapytał lodowatym głosem Mason.

- Dopiero od niedawna. Kiedy

przyjechałem do tego miasta odwiedziłem Marline. Ona zna wszystkich z filii paryskiej.

Zapraszaliśmy ją na przyjęcia i pomagała w zabawianiu naszych klientów. Jest kuta na cztery nogi. Szybko zorientowała się, do czego zmierza Baxter i zaczęła go naciskać.

Przerwał na chwilę gładząc w zamyśleniu krótko pod-strzyżone włosy.

- Kiedy pierwszy raz odwiedziłem Marline, od razu wiedziałem, że coś jest nie w porządku. Na mój widok wpadła w panikę, ale że jest cwana, próbowała się maskować słodkimi słówkami i uśmiezkami, lecz, oczy wiście, przesadziła. Nie miała innego wyjścia, jak zaprosić mnie do domu i na samym wstępie poczęstowała mnie historyjką o chorym bracie.

Następnie poprosiła, żebym kilka minut na nią zaczekał, udała się do sypialni, zrobiła Baxterowi zastrzyk uspokajający i zamknęła go na klucz. Potem okazało się, że ma coś do załatwienia w banku, zostałem więc, żeby pozornie przypilnować brata, a w rzeczywistości przeszukałem cały dom. Nie mogłem się dostać do Baxtera, bo był nieprzytomny. Tak, wielka cwaniara z tej dziewczyny.

Szykowałem się już do wywleczenia całej sprawy na światło dzienne, kiedy pan musiał wsadzić swoje trzy grosze i rozwalić precyzyjnie zmontowaną konstrukcję -

zakończył gorzkim tonem Irving i ruszył w stronę drzwi.

- Chwileczkę - zatrzymał go Mason. -

Jeszcze pan nie skończył. Wie pan dużo więcej, niż...

- Jasne, że wiem - przerwał mu bezceremonialnie Irving. - nie chciałbym pozostawiać żadnych niedomówień, mecenasie.

Od tej chwili zatrzymam dla siebie to, co wiem.

Zaraz zadeszuję do „Towarzystwa”, żeby pożegnali się z czekiem na dwa tysiące dolarów i zaangażowali adwokata, który ma choć trochę rozumu w głowie.

I nie oglądając się za siebie, Irving wyszedł na korytarz.

Kiedy drzwi z trzaskiem zamknęły się za nim, Della Street wyciągnęła rękę do telefonu.

Mason zatrzymał ją przeczącym ruchem głowy.

- Wszystko jest zapięte na ostatni guzik, Della. Dwóch pracowników Paula Drake'a ma polecenie śledzenia Irvinga przez cały czas.

Zawiadomiam nas, dokąd poszedł i z kim się spotkał.

- To dobrze - uśmiechnęła się Della. -

Nic więc nie stoi na przeszkodzie, żebyś mnie zabrał na kolację.

### **Rozdział XIII**

Mason stanął w drzwiach gabinetu w momencie, kiedy Della kładła na jego biurku otwartą depeszę.

- Co to takiego? - zapytał odwieszając kapelusz.

- Depesza z „Południowoafrykańskiego Towarzystwa Importu i Eksploatacji Kamieni Szlachetnych”.

- Wyleli mnie?

- Wręcz przeciwnie.

- Co jest w tej depeszy?

- Że masz dalej prowadzić sprawę i bronić interesów Davida Jeffersona, że przeprowadzono dokładny wywiad, zanim zostałeś zaangażowany, że „Towarzystwo” ma do ciebie zaufanie i że jego oficjalnym reprezentantem na tym terenie i jedynym człowiekiem, który może wydawać polecenia w imieniu „Towarzystwa”, jest David Jefferson.

- Ho, ho - uśmiechnął się z

zadowoleniem Mason - to już jest coś - wziął do ręki depeszę i przeczytał ją uważnie. - Wygląda na to, że nie mają zbyt wielkiego zaufania do Waltera Irvinga.

- Przypominam ci szefie, że nie wiemy, co Irving napisał w swoim telegramie.

- Wiemy, co powiedział na temat zamierzonej treści depeszy.

- I jak on teraz wygląda? - głos Delii był

pełen satysfakcji.

- Marnie, krucho z nim - roześmiał się Mason, a po chwili dodał - z nami też może być krucho. Jeżeli nie uda się nam uzyskać jakichś informacji o Mae Jordan i Marline Chaumont, to znajdziemy się na lodzie.

- Czy w takiej sytuacji nie mógłbyś uzyskać odroczenia, aż do...

Mason potrząsnął gwałtownie głową.

- Dlaczego nie, szefie?

- Z wielu powodów. Jeden z nich to ten, że przyrzekłem prokuratorowi okręgowemu, iż proces rozpocznie się pierwszego wolnego dnia, jaki uda nam się znaleźć w kalendarzu rozpraw.

A inny powód, cóż, stale mi się wydaje, że im szybciej odbędzie się proces, tym więcej zyskamy, bo prokurator Burger nie będzie miał

czasu do zastanowienia się nad istotą problemu...

- Czy przypuszczasz, że tak zwany brat Marline Chaumont jest w rzeczywistości Munroe?

Mason spojrzał na zegarek.

- Na to pytanie powinien mieć już odpowiedź Paul Drake. Zadzwoń do niego, Della, i poproś,

żeby do nas

wpadł.

W dziesięć minut później Paul Drake dzielił się z nim uzyskanymi informacjami.

- Ten facet, Irving, wszystko pokręcił, Perry. Marline Chaumont zgłosiła się do państwowego szpitala wraz z odpowiednimi papierami stwierdzającymi, że jest siostrą Pierre'a Chaumonta. Pierre leczył się w tym szpitalu od przeszło roku, a kiedy stał się niebezpieczny, zrobiono mu operację mózgu, po której złagodniał jak domowy piesek. Przebywał

w szpitalu dlatego, że nie mieli go gdzie odesłać.

Kierownictwo szpitala bardzo się ucieszyło z możliwości oddania Pierre'a pod opiekę siostry.

Szansa na to, że ten półgłówek to Munroe Baxter, jest tak minimalna, iż można ją całkowicie przekreślić.

- Poza tym - ciągnął Drake unosząc palec do góry trochę teatralnym gestem -

Marline wyciągnęła ze szpitala Pierre'a mniej więcej miesiąc przed planowanym przybyciem statku Baxtera. W tym czasie Baxter bawił

jeszcze w Paryżu.

- Czy Pierre Chaumont to prawdziwe nazwisko tego faceta?

- Władze szpitalne są całkowicie przekonane, że tak.

- A kto ich o tym przekonał?

- Nie wiem. Przypuszczam, że Marline.

Ten facet występował dawniej pod innym nazwiskiem. Niebezpieczny kryminalista o cechach psychopatycznych. Za jego zgodą dokonano operacji mózgu. Uleczyło go to z morderczych skłonności, ale zarazem zmieniło w kompletnego tumana. Zrozumiałem z tego wszystkiego, że znajduje się teraz jakby w hipnotycznym transie. Powiedz temu facetowi, żeby coś zrobił, a on to natychmiast wykona.

- Sprawdziłeś w szpitalu?

- Wszędzie, gdzie tylko można. Doktor nie jest specjalnie zadowolony z wyników operacji. Mówi, że liczył na lepszy rezultat, ale i tak jest poprawa w stosunku do tego, co było, bo ten facet-miał zbrodnicze skłonności. Odetchnęli z ulgą, kiedy wreszcie udało im się go pozbyć ze szpitala.

- Tak, mogę sobie wyobrazić. Co jeszcze, Paul?

- Mam jeszcze pewne wiadomości, ale przygotuj się na wstrząs, Peny.

- Dobra, spróbuj mną wstrząsnąć.

- Mae Jordan została zatrzymana przez oficerów śledczych prokuratury okręgowej.

- A niech to diabli! - wrzasnął Mason.

Drakę skinął kilkakrotnie głową.

- Co oni zamierzają zrobić? Zmusić ją do zeznań, czy jak?

- Nikt nie wie. Dwóch mężczyzn zjawiło się wczoraj po południu w biurze prawnym, gdzie pracowała. Kosztowało mnie sporo zachodu, zanim się dowiedziałem co to za biuro.

Jest to jedna z najsolidniejszych i najbardziej konserwatywnych firm w całym mieście.

Możesz sobie więc wyobrazić, ile zamieszania wywołała wizyta dwóch facetów, którzy pokazali legitymacje prokuratury okręgowej i zażądali rozmowy z Mae Jordan.

- Zamknęli się z nią w jednym z gabinetów - ciągnął zapalając papierosa Drake -

a potem zawiadomili starego Huncuta, piastującego stanowisko członka zarządu firmy prawniczej „Huncut, Gridley i Billings”, że zatrzymują Mae na pewien czas dla jej własnego bezpieczeństwa, że wiedzą, iż należą jej się trzy tygodnie urlopu i że po procesie Mae może z powrotem wrócić do biura.

- Poszła bez żadnego przymusu?

- Podobno tak.

Mason zastanawiał się przez chwilę.

- Jak oni ją znaleźli, Paul?

- Najprostsza rzecz na świecie. Kiedy zatrzymali Jeffersona, to oczywiście przejrżeli dokładnie wszystkie rzeczy, jakie miał przy sobie. Znaleźli notes z zaszyfrowanymi nazwiskami i adresami. Odczytali szyfr, dotarli do Mae Jordan, a ona zaczęła gadać.

- Chciała gadaniem odwieść podejrzenia od siebie, a zwalić na Jeffersona - rzekł ponuro Mason. - Kiedy ta młoda kobieta stanie na podium dla świadków, wezmę ją w taki ogień krzyżowych pytań, że zapamięta mnie na bardzo długo. A co z Irvingiem, Paul? Dokąd poszedł po wyjściu ode mnie?

- To nie takie proste - mruknął ze skrepowaniem Drake. - Mam jeszcze parę złych wiadomości...

Twarz Masona pociemniała z gniewu.

- To jest cholernie ważne, Paul.

Powiedziałem ci...

- Wiem, co mi powiedziałeś, Perry. Ale teraz ja ci powiem coś na temat śledzenia ludzi, coś co ci mówiłem już chyba ze dwadzieścia razy i prawdopodobnie powtórzę jeszcze wielokrotnie. Jeżeli jakiś cwaniak wie, że jest śledzony i nie chce, żeby za nim łożono, niewiele można na to poradzić. Jeżeli naprawdę jest cwany, może ci umknąć za każdym razem sprzed nosa. Oczywiście, trudniej by mu było, gdyby mu po piętach deptało czterech czy pięciu pracowników biura detektywistycznego, wyposażonych w środki komunikowania się pomiędzy sobą.

- Przecież Irving nie wiedział, że ktoś depcze mu po piętach.

- Dlaczego tak sądzisz, Perry?

- To całkiem proste! Kiedy do mnie przyszedł, nie zachowywał się tak, jakby zdawał

sobie z tego sprawę.

- Ale kiedy opuścił twoją kancelarię, to zachowywał się tak, jakby cała agencja detektywistyczna deptała mu po piętach. Coś facetowi powiedział, Perry?

- Nic, co by mogło wzbudzić jego podejrzenia. Ale co on takiego zrobił, że o to pytasz?

- Zgubił swój cień.

- W jaki sposób?

- Po pierwsze, złapał taksówkę.

Prawdopodobnie powiedział kierowcy, że śledzi go samochód, którego chce się pozbyć.

Kierowca doskonale wszystko rozegrał.

Podjeżdżał pod sygnały świetlne i w trakcie zmiany kolorów walił naprzód. Mój pracownik zastosował tę samą metodę, licząc na to, że wytłumaczy o co chodzi gliniarzowi, który go ewentualnie zatrzyma.

- No i zatrzymał go gliniarz - Drake wzduszył bezradnie ramionami - ale, jak się okazało, nie przepadał za prywatnymi detektywami. Zatrzymał mojego człowieka i wlepił mu mandat. Przez ten czas Irving już dawno prysnął.

Zwykle policja robi wyjątek od

obowiązujących przepisów drogowych, jeżeli wylegitymujesz się i mówisz, że śledzisz samochód. Ale ten gliniarz z rozmysłem zatrzymał mojego człowieka do czasu, aż Irving nawiał. Nie wydaje mi się jednak, żeby to odegrało większą rolę. Irving wiedział, że jest śledzony i postanowił przy pierwszej okazji, pozbyć się cienia. Wierz mi, że jeżeli obrotny facet zdecyduje się na taki krok, nic nie możesz zrobić, poza potulnym przyjęciem prztyczka w nos.

- No, dobra - mruknął Mason. - I co zrobiłeś?

- To co zwykle. Postawiłem ludzi przed jego mieszkaniem, żeby mogli go śledzić od nowa, jak tylko wróci.

Zrobiłem wszystko, co można.

- A on nie wrócił?

Drake potrząsnął przecząco głową.

- No tak. A co z innymi?

- Marline Chaumont. Myślałeś, że będzie łatwo ją odnaleźć, prawda?

- Czy mam przez to rozumieć, że wszystkie nitki wymknęły ci się z ręki? - wtrącił

niecierpliwie Mason.

- Dowiedziałem się o Mae Jordan -

bronił się Drake.

- I to wszystko?

- I to wszystko.

- W porządku. A co z Marline

Chaumont? Nie częstuj mnie złymi wiadomościami na raty.

- Zajęło mi cholernie dużo czasu, zanim odnalazłem kierowcę taksówki, który wywiózł ich z domu. Wreszcie udało mi się go przyłapać.

Pamiętał całkiem dobrze to wydarzenie. Odwiózł

na lotnisko kobietę, mężczyznę, cztery walizki i torbę podręczną.

- A co potem?

- Potem nic. Nie udało nam się ustalić, kiedy i w jakim kierunku opuściła lotnisko.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że kobieta z mężczyzną, który nie potrafi samodzielnie utrzymać się na nogach, plus cztery walizki i torba podróżna zniknęli po prostu z lotniska?

- A tak - potwierdził Drake. - Sam kiedyś spróbuj to zrobić, Perry.

- Co zrobić?

- Wyłapać wszystkich taksówkarzy, którzy jechali na lotnisko. A potem spróbuj ich przydusić, żeby powiedzieli ci, czy wieźli w swojej taksówce kobietę, mężczyznę, cztery walizki i torbę podręczną. Ludzie wsiadają i wysiadają z samolotów co kilka minut. To prawdziwy dom wariatów.

Mason zamyślił się głęboko.

- Masz rację, Paul - powiedział po chwili. - Irving uprzedził mnie, że niczego się nie dowiemy, ale myślałem, że te cztery walizki doprowadzą nas do nich.

- Ja też tak myślałem - przyznał Drake.

- Czy pojechali bezpośrednio na lotnisko?

- Tak.

- Ale przecież musieli dokądś się udać!

- Jasne. Ja mogę ci tylko powiedzieć, dokąd się nie udali.

- Na co czekasz? Wal!

- Nie wsiedli w żaden samolot, który opuszczał w tym czasie lotnisko.

- Skąd masz tę pewność?

- Sprawdziłem przy kasie, w której opłaca się nadwyżkę bagażu. Kierowca taksówki powiedział, że walizki były bardzo ciężkie.

Każda z nich ważyła około dwudziestu kilo.

Sprawdziłem również, czy nie było ich wśród pasażerów odlatujących samolotów.

- Sprawdziłeś nazwiska, oczywiście?

Drakę spojrział na niego miazdzącym wzrokiem.

- Nie wygłupiaj się, Perry. To pierwsza rzecz jaką zrobiłem i najprostsza. A potem sprawdziłem w rejestrze

u kasjera, czy sprzedał w tym czasie bilety na wiadomą mi nadwyżkę bagażu. Nie sprzedał.

Następnie dokładnie przepytalem strażników przy wejściu dla pasażerów, czy nie pamiętają kobiety, której trzeba było pomóc przy ulokowaniu chorego mężczyzny w samolocie.

Nikogo takiego nie było. Gadałem również z facetem dostarczającym fotele na kółkach dla inwalidów. Nic z tego. Doszedłem więc do wniosku, że udała się na lotnisko, wysiadła, zapłaciła taksówkarzowi i w kilka minut później złapała inną taksówkę, którą udała się z powrotem do miasta.

- I nie znalazłeś tej taksówki, co?

- Moi ludzie wciąż jej poszukują. Ale to jest tak, jakbyś podszedł do kociaka ubranego w spódniczkę mini i obcisły sweterek i zapytał, czy pamięta jakiegoś faceta, oglądającego się za nią wczoraj na ulicy.

Mason roześmiał się głośno.

- No dobrze, Paul. Trafiliśmy w ślepy zaułek. Ale dlaczego, do diabła, prokurator okręgowy kazał zatrzymać Mae Jordan?

- Bo chciał jej zadać kilka pytań.

- To dlaczego jej potem nie zwolnił?

- Widocznie nie wyczerpał jeszcze całego zasobu pytań.

- Przeoczyłeś pewne wydarzenie -

stwierdził lakonicznie adwokat. - Poszła do swojego pokoju i spakowała dwie walizki.

Rozumiesz, co to znaczy? Prokurator okręgowy zatrzymał ją w areszcie.



- Ale dlaczego?

Mason skrzywił ironicznie usta.

- Chwileczkę, Paul. Właśnie o to cię pytałem. Oczywiście, nasuwa się logiczna odpowiedź, że nasza maszynistka potrzebna jest Burgerowi jako bardzo istotny dla sprawy świadek. Ale jeżeli tak uczynił, to znaczy, że opowiedziała mu swoją historyjkę i zdołała tak zamydlić oczy panu prokuratorowi, iż uwierzył

we wszystkie jej bajdy.

- A ty nie sądzisz, że ona może być istotnym dla sprawy świadkiem? - zdziwił się Drake.

Mason zastanawiał się przez chwilę, a potem lekki uśmiech rozjaśnił jego twarz.

- Mogłaby nim być, gdyby powiedziała prawdę. Lepszej wiadomości nie mógłbym sobie nawet wymarzyć.

- Dlaczego?

- Bo jeżeli prokurator okręgowy nie powoła jej jako

świadka, zarzucę mu, że sabotował pracę obrony przez ukrycie mojego świadka. Jeżeli natomiast zawiadomi ją przed Trybunał, zrobię z niego najbardziej godnego pożałowania prokuratora w tym kraju.

- A mimo to pójdziesz mu na rękę i zgodzisz się na natychmiastowy proces?

Mason skrzywił się zabawnie.

- Paul, czy widziałeś kiedyś dobre zawody w przeciąganiu liny?

- Sporo latek temu, rocznie w Święto Niepodległości, odbywały się takie zawody w małych miasteczkach - powiedział po zastanowieniu Drake.

- A widziałeś kiedyś drużynę strażaków i drużynę policjantów, ciągnących linę w przeciwnych kierunkach?

- Może, ale już nie pamiętam. Dlaczego?

- Kiedy drużyna strażacka sapiąc i stękając mocno wbiła już pięty w ziemię -

opowiadał Mason - ktoś z drużyny policji dawał

tajemny sygnał, że należy popuścić linę, no i strażacy tracili równowagę, a policjanci z wrzaskiem „oppla!” przeciągali leżącą na portkach drużynę przeciwnika przez linę dzielącą oba boiska.

Drakę roześmiał się głośno.

- Zdaje mi się, że coś takiego sobie przypominam.

- Widzisz, to jest właśnie to, co ja nazywam pójściem na rękę prokuratorowi okręgowemu. Damy mu sporo luzu, Paul. A teraz mogę odpowiedzieć na twoje pytanie. Tak, zgadzam się na natychmiastowy proces. Chcę, żeby odbył się jak najszybciej, zanim prokurator ocknie się z hipnozy wywołanej bajeczką Mae Jordan i zanim dowie się, że ja wiem pewne rzeczy, o których on nie ma zielonego pojęcia.

## **Rozdział XIV**

Ława przysięgłych została

skompletowana o godzinie dziesiątej trzydzięci drugiego dnia procesu. Sędzia Hartley rozparł się w fotelu w oczekiwaniu na długą, pełną ostrych starć rozgrywkę.

- Panowie - rozpoczął - członkowie ławy przysięgłych zostali wybrani i zaprzysiężeni.

Rozpoczniemy od

wysłuchania wstępnego przemówienia strony oskarżającej.

W tym właśnie momencie Hamilton Burger, prokurator okręgowy zadowolony, iż jego podwładni uporali się już ze skompletowaniem ławy przysięgłych, wkroczył

na salę sądową, aby osobiście zająć się procesem.

Skłonił się uprzejmie przed sędzią i przeszedłszy bez zatrzymania koło stolika obrońcy, zwrócił się twarzą do Trybunału.

- Panie i panowie, członkowie sądu przysięgłych - rozpoczął. - Jestem prokuratorem okręgowym. Ja i moi

współpracownicy zamierzamy wykazać, że oskarżony w sprawie, która się obecnie toczy, jest pracownikiem „Południowoafrykańskiego Towarzystwa Importu i Eksploatacji Kamieni Szlachetnych” że dzięki swojej pracy w wyżej wspomnianym „Towarzystwie” dowiedział się, iż człowiek znany jako Munroe Baxter miał w swoim posiadaniu większą ilość brylantów, ocenianych na przeszło trzysta tysięcy dolarów na rynku detalicznym że oskarżony orientował

się, iż Munroe Baxter zamierzał przemycić te brylanty do naszego kraju; że zamordował

Munroe Baxtera i przywłaszczył sobie drogocenne kamienie. Przedstawimy świadków, którzy udowodnią, że człowiek ten działał z premedytacją i zimnym wyrachowaniem i że przebiegle wykonał swój szatański plan morderstwa. Dowiedziemy ponadto, iż większość przemyconych do naszego kraju przez Munroe Baxtera brylantów została odnaleziona u oskarżonego. W oparciu o dowody będę się domagał wyroku uznającego sprawcę winnym morderstwa pierwszego stopnia.

I Hamilton Burger, skłoniwszy się przed ławą przysięgłych, powrócił na swoje miejsce.

Aplikanci sądowi wymienili pomiędzy sobą zdziwione spojrzenia. Hamilton Burger wygłosił najkrótsze przemówienie otwierające proces, jakie kiedykolwiek słyszeli, a mimo to dla wszystkich było jasne, co ono oznacza.

Prokurator powstrzymał się od odkrycia swoich kart i uważnie baczył, by nie dać obronie najmniejszego nawet pojęcia o tym, jak zamierza dalej poprowadzić sprawę.

- Moim pierwszym świadkiem -

zabrzmiął ponownie jego głos - jest Yvonne Manco.

- Yvonne Manco jest proszona o zajęcie miejsca na podium dla świadków - ogłosił

woźny sądowy.

Yvonne Manco została najwyraźniej dokładnie poinstruowana, jak należy się zachowywać. Z poważnym wyrazem twarzy zbliżyła się do wskazanego jej miejsca. Bluzkę miała zapiętą pod szyję, a spódnicę o długości podyktowanej bieżącą modą. Jednakże wysiłek włożony w to, aby wyglądać skromnie nie zdał

się na nic, tak jak nie zdałby się na nic wysiłek przedzierzgnięcia wyścigowego samochodu w limuzynę dla statecznej rodziny.

Opanowanym głosem podała swoje

nazwisko i adres protokolantowi trybunału, a następnie, oszacowawszy błyskawicznym spojrzeniem członków ławy przysięgłych, przeniosła pełne niewinności oczy na prokuratora okręgowego. Odpowiadając na pytanie Hamiltona Burgera ujawniła swój związek z Baxterem, a następnie relacjonowała dokładnie cały plan przemytu brylantów, podróż statkiem i komedię rzekomych starań o jej rękę.

Z kolei opowiedziała o planach mających pozorować samobójstwo, o rozmyślnym flircie z pierwszym oficerem, o scenie na statku, a wreszcie o skoku nad samym ranem w odmęty zatoki. Wyjawiała również, że miała w walizce mały zbiornik ze sprężonym powietrzem i że Munroe Baxter skacząc z burty statku, był

przygotowany na przepłynięcie długiego dystansu pod wodą.

Hamilton Burger, rozłożywszy przed świadkiem mapy i fotografie statku, poprosił o zidentyfikowanie w przybliżeniu miejsca na burcie, z którego nastąpił skok, oraz położenia statku na wodach zatoki.

- Proszę, może pan zadawać pytania -

zwrócił się do obrońcy.

Mason uśmiechnął się do Yvonne

Manco, która natychmiast odpłaciła mu tym samym. Zmieniła nieznacznie pozycję, zakładając nogę na nogę w taki sposób, że dwaj przysięgli unieśli się nieco z krzesel, aby mieć lepszy widok, podczas gdy dwie mniej atrakcyjne kobiety z ławy przysięgłych zadarły demonstracyjnie podbródki do góry.

- Czy używa pani nazwiska Yvonne Manco? - zapytał Mason.

- Tak.

- Czy posługuje się pani jeszcze innym nazwiskiem?

- Nie.

- Czy była pani ślubną małżonką Munroe Baxtera?

- Tak, ale kiedy zostałam wdową, wolałam wrócić do mojego pseudonimu zawodowego, Yvonne Manco.

- Rozumiem. Nie chce pani nosić nazwiska męża?

- To nie o to chodzi - zaprotestowała. -

Yvonne Manco jest moim pseudonimem zawodowym.

- O jakim zawodzie pani mówi?

Przez chwilę panowała martwa cisza, którą przerwał ostry głos Hamiltona Burgera.

-Składam sprzeciw, Wysoki Sądzie.

Składam sprzeciw co do sposobu, w jaki pytanie zostało zadane, jak również protestuję przeciwko samemu pytaniu.

Jest ono niewłaściwe, nie odnosi się do sprawy ani nie ma dla jej przebiegu żadnego znaczenia.

Sędzia Hartley pogładził w zamyśleniu podbródek.

- Cóż, w tym wypadku uznaję sprzeciw.

Choć w świetle odpowiedzi udzielonych przez świadka... hm, mimo wszystko sprzeciw uznany.

- Poślubiła pani Munroe Baxtera?

- Tak.

- Na statku?

- Tak.

- A nie przed podróżą statkiem?

- Nie.

- I na pewno nie było żadnej ceremonii ślubnej przed tym rejssem?

- Nie.

- Czy zna pani termin prawny:

„małżeństwo faktyczne”?

- Tak.

- Czy używała pani kiedyś nazwiska Baxter?

- Tak.

- Przed podróżą statkiem?

- Tak.

- Czy prawdą jest, że częścią planu ułożonego przez panią i Munroe Baxtera było sfingowanie samobójstwa i stworzenie pozorów jego śmierci?

- Tak.

- Kto wpadł na ten pomysł? Pani czy Baxter?

- On!

- A więc w celu przemytu większej ilości diamentów, Baxter planował skok za burtę i stworzenie pozorów własnej śmierci, tak?

- Tak. Mówiłam już o tym.

- Innymi słowy - ciągnął spokojnie Mason - zamierzał uchodzić za nieboszczyka, jeżeli w jakimś okresie okaże się to dla niego wygodne?

- Zgłaszam sprzeciw, ze względu na to, że pytanie zostało już uprzednio zadane i świadek odpowiedział na nie - wybuchnął

gniewnie Hamilton Burger.

- Przyjęty - oznajmił sędzia Hartley.

Mason uśmiechnął się do sędziów przysięgłych, zadowolony, że zwrócił ich uwagę na rzecz według niego zasadniczą.

- Czy wiedziała pani o tym, że bierze udział w aferze przemytniczej? - zwrócił się ponownie do świadka.

- Ależ, oczywiście. Nie jestem głupia.

- Właśnie - przytaknął Mason. - Po rozpoczęciu śledztwa zetknęła się pani z prokuratorem okręgowym, tak?

- Naturalnie.

- A czy nie zostało uzgodnione w biurze prokuratora okręgowego, że jeżeli złoży pani zeznania w toczącej się obecnie sprawie, to nie zostanie pani pociągnięta do odpowiedzialności karnej za przemytnictwo?

- No cóż, oczywiście...

- Chwileczkę, chwileczkę - przerwał

Hamilton Burger zrywając się na równe nogi. -

Wysoki Sądzie, składam sprzeciw w związku z ostatnim pytaniem.

- Proszę podać powód - zarządził sędzia Hartley.?

- Pytanie jest niewłaściwe, nie odnoszące się do sprawy i nie mające dla jej przebiegu żadnego znaczenia.

- Uchylam sprzeciw - zdecydował sędzia Hartley. - Niech świadek odpowie na pytanie obrońcy.

- Cóż, oczywiście, nie zawarliśmy formalnej umowy. To byłoby nierozsądne.

- Kto świadkowi powiedział, że to byłoby nierozsądne?

- Wszyscy tak uważali.

- Kto są ci „wszyscy”? Kogo obejmuje to określenie?

- Nooo... celników, prokuratora okręgowego, detektywów, policję i mojego własnego adwokata.

- Rozumiem - Mason popatrzył bystro na świadka. - Powiedziano pani, że byłoby nierozsądne zawarcie tego rodzaju konkretnej umowy, lecz zarazem zapewniono panią, iż o ile będzie zeznawać tak, jak sobie tego życzą, nie zostanie pani postawiona w stan oskarżenia w aferze przemytniczej. Zgadza się?

- Wysoki Sądzie, sprzeciwiam się słowom „tak, jak sobie tego życzą” - wybuchnął

podnieconym głosem Hamilton Burger. - Ten sposób przesłuchiwania narzuca świadkowi odpowiedź.

Sędzia Hartley spojrzał na świadka.

- Postawię pytanie w inny sposób -

ubiegł czyjąkolwiek interwencję Perry Mason. -

Czy przeprowadzono z panią rozmowy na temat tego, co ma pani zeznawać?

- Miałam mówić prawdę.
- Kto pani to powiedział?
- Pan Burger, prokurator okręgowy.
- A czy zapewniono panią, że zostanie zwolniona z odpowiedzialności w aferze przemytniczej, jeżeli będzie pani tak właśnie zeznawać?
- Jeżeli będę zeznawać prawdę? Tak.
- Zanim otrzymała pani zapewnienie o niepociągnięciu do odpowiedzialności karnej, czy powiedziała pani, jaka jest ta prawda osobom, z którymi była omawiana cała sprawa?
- Tak.
- Czy poprzednia wersja zgadza się z zeznaniami, które złożyła pani obecnie jako świadek?
- Oczywiście.
- A więc kiedy prokurator okręgowy zalecił pani mówienie prawdy, zrozumiała pani, że chodziło mu o przekazanie tej samej wersji, którą opowiedziała nam pani tutaj?
- Tak.
- Tak więc otrzymała pani zapewnienie, że w zamian za opowiedzenie wersji, którą przed chwilą usłyszeliśmy z podium dla świadków, nie zostanie pani postawiona w stan oskarżenia jako uczestnik w aferze przemytniczej.
- Tak to zrozumiałam.
- Czyli po prostu za opowiedzenie tej konkretnej historyjki uzyskała pani bezkarność w sprawie przemytu?
- No... może to trochę nie tak... nie w takich brutalnych słowach - odpowiedziała trochę speszona Yvonne Manco.

Publiczność zgromadzona na sali sądowej wybuchnęła gromkim śmiechem.

Kiedy świadek wracał już na swoje miejsce, Hamilton Burger ledwo panował nad irytacją.

- Moim następnym świadkiem jest Jack Gilly - oznajmił szorstkim głosem.

Jack Gilly był szczupłym mężczyzną o rozbieganym spojrzeniu, z długim ostrym nosem, wystającymi kośćmi policzkowymi, wysokim czołem i wysuniętym podbródkiem.

Poruszał się tak cicho, że prawie niepostrzeżenie prześlizgnął się na podium dla świadków. Po



złożeniu przysięgi podał nazwisko i adres protokolantowi sądowemu i spojrział

wyczekująco na prokuratora okręgowego.

- Czym się pan zajmuje? - zapytał

Hamilton Burger.

- Obecnie?

- No, chyba zajmuje się pan teraz tym samym, czym zajmował się pan sześć miesięcy temu?

- Tak.

- Więc co pan robi?

- Wynajmuję łodzie rybackie.

- Gdzie?

- A tu u nas, na przystani.

- Czy znał pan Munroe Baxtera za jego życia?

- Proszę chwilkę poczekać z

odповідzią na to pytanie - interweniował

energicznie Mason. Następnie zwrócił się do sędziego Hartleya.

- Składam sprzeciw, Wysoki Sądzie, ponieważ pytanie zakłada fakt, na który nie ma materiału dowodowego.-Z materiałów dowodowych przedstawionych dotychczas temu sądowi wynika, że Munroe Baxter nadal żyje.

- Wysoki Sądzie^ czy mogę w związku z tą kwestią prosić o głos? - równie energicznie zainterpelował Hamilton Burger.

Sędzia Hartley wahał się przez chwilę.

- Hm, wydaje się, że najlogicznieszym sposobem przedstawienia tej sprawy byłoby w pierwszym rzędzie ustalenie... jednakże... głos ma prokurator okręgowy.

- Proszę Wysokiego Sądu - rozpoczął

napuszczonym tonem Burger - Munroe Baxter skoczył z pokładu do bardzo głębokiej wody. Od tego czasu nikt go nie widział żywego. Mam świadków spośród pasażerów i załogi, którzy mogą stwierdzić, że Munroe Baxter pobiegł na tył statku, skoczył z pokładu i zniknął w wodzie.

Spuszczono łodzie ratunkowe i cała zatoka została bardzo dokładnie przeszukana. Munroe Baxter nigdy nie wypłynął.

- Nie może pan się chyba spodziewać -

powiedział sucho sędzia Hartley - że Sąd poweźmie jakąkolwiek decyzję na podstawie dowodów opartych jedynie na przypuszczeniu, iż potwierdzą je ewentualnie inni świadkowie oskarżenia. Ponadto, pana własny świadek zeznał, że wszystko to było częścią planu, który Munroe Baxter...

- Tak, tak, wiem - przerwał

zniecierpliwiony Hamilton Burger. - Ale z planów bardzo często nic nie wychodzi. Wiele rzeczy ma na to wpływ. Skok z pokładu statku do morza jest niebezpiecznym

przedsięwzięciem.

- Proszę, żeby oskarżyciel powstrzymał

się od przerywania sądowi - łagodny zwykle głos sędziego Hartleya był tym razem wyjątkowo ostry. - Chciałem właśnie powiedzieć, panie prokuratorze okręgowy, że zeznania pana własnego świadka wskazują na to, iż wszystko to było częścią planowanej intrygi, mającej na celu stworzenie pozorów samobójstwa Munroe Baxtera. Mając na uwadze fakt, że w świetle prawa człowiek uważany jest tak długo za żywego, dopóki nie zostanie stwierdzona jego śmierć, Sąd uznaje sprzeciw obrońcy.

- Tak jest, Wysoki Sądzie. Postawię pytanie w inny sposób - wycofał się szybko Hamilton Burger. - Panie Gilly, czy znał pan Munroe Baxtera?

- Tak.

- Czy to był pana bliski znajomy?

- Spotkałem się z nim kilkakrotnie.

- Czy znał pan Yvonne Manco, która przed chwilą zeznawała?

- Tak.

- Proszę mi powiedzieć, czym się pan zajmował zawodowo w dniu szóstego czerwca bieżącego roku?

- Wynajmem łodzi.

- A czym się pan zajmował do dnia piątego czerwca? - Wynajmem łodzi.

- Czy wynajął pan komuś łódź piątego czerwca około godziny siódmej wieczorem?

- Tak.

- Komu?

- Jeżeli mam być szczery, to nie wiem.

- Może jakimś mężczyźnie, którego pan nigdy przedtem nie widział.

- Tak.

- Czy ten człowiek powiedział panu, czego chce?

- Powiedział, że został skierowany do mnie, ponieważ ja...

- Chwileczkę - przerwał Mason. -

Sprzeciwiam się przytaczaniu rozmów, przy których nie był obecny oskarżony i które nie są z nim powiązane.

- Zamierzam wykazać, że ta rozmowa jest powiązana z osobą oskarżonego -

oświadczył Burger.

- W takim razie powiązania te powinny być przedstawione przed powtórzeniem rozmowy z piątego czerwca.

Sędzia Hartley skinął potakująco głową.

- Sprzeciw uznany.

- Tak jest - mruknął Burger, po czym ponownie zwrócił się do świadka: - Wypożyczył pan łódź nieznanemu człowiekowi?

- Tak.

- Opierając się na tym, co ten człowiek powiedział, zdecydował pan, że należy wypożyczyć mu łódź?

- Tak.

- Kiedy ten człowiek wypłynął łodzią, to jest, kiedy ją przejął od pana?

- Około godziny piątej następnego ranka.

- W jakich okolicznościach odbyło się dostarczenie łodzi?

- Staliśmy razem na przystani. Miałem przy sobie silną lornetkę i kiedy zobaczyłem, że statek wycieczkowy zbliża się do portu, zawiadomiłem go o tym, a on wskoczył do łodzi i odpłynął.

- Włączył motor?

- Motor został

włączony godzinę

przedtem, po to żeby odpowiednio się nagrzał i wszystko było gotowe.

- I co ten człowiek zrobił?

- Poprowadził łódź prosto w kierunku kanału.

- Chwileczkę - zainterpelował Mason. -

Proszę Wysokiego Sądu, proponuję skreślenie wszystkich tych zeznań, ze względu na to, iż nie mają one żadnego związku z oskarżonym.

- Moje następne pytania wykażą powiązania z oskarżonym - wtrącił szybko Hamilton Burger.

- Sąd zastrzega sobie prawo do decyzji -

oznajmił sędzia Hartley - bowiem wydaje mi się, że są to w dużej mierze pytania wstępne.

- Co pan zrobił po dostarczeniu łodzi nieznanemu?

- Noo, byłem ciekaw i chciałem zobaczyć...

- Pana myśli i emocje nas nie obchodzą -

przerwał świadkowi Hamilton Burger. - Co pan zrobił?

- Niedaleko przystani miałem

zaparkowany samochód, wsiadłem i pojechałem do miejsca, skąd mogłem przedostać się na nabrzeże portowe i obserwować, co się dzieje.

- Co pan miał na myśli wypowiadając słowa: „co się dzieje”?

- No... obserwowanie łodzi, którą wynająłem.

- I co pan zobaczył?

- Zobaczyłem statek wycieczkowy wpływający powoli do portu.

- I co jeszcze?

- Zobaczyłem, jak Baxter wyskoczył za burtę.

- A skąd pan wiedział, że to był Munroe Baxter?

- Bo ja... oczywiście... następne wydarzenia upewniły mnie o tym.

- Czy pan go rozpoznał?

- Yhm... wyglądał jak Baxter, ale z tej odległości i przy takim świetle... nie mógłbym przysiąc.

- To lepiej niech pan nie przysięga -

warknął Hamilton Burger. - Widział pan człowieka skaczącego za burtę?

- Tak.

- Czy jego wygląd przypominał panu kogoś ze znajomych?

- Tak.

- Kogo?

- Munroe Baxtera.

- Zrozumiałem pana zeznanie w ten sposób, że ów nieznajomy wyglądał jak Munroe Baxter, lecz nie może pan przysiąc, że to był

Munroe Baxter. Czy to pan chciał powiedzieć?

- Tak jest.

- I co się potem stało?

- Zobaczyłem ludzi biegnących po pokładzie statku wycieczkowego. Usłyszałem głosy wołające prawdopodobnie o szalupę, bo spuszczone łódź ratunkową, która poczęła krążyć wokół statku.

- Co jeszcze się wydarzyło?

- Skierowałem lornetkę na moją łódź.

- Co pan zobaczył?

- W łodzi było dwóch mężczyzn.

- Dwóch mężczyzn? - powtórzył

Hamilton Burger. - Tak.

- Czy orientuje się pan, w jaki sposób ten drugi mężczyzna tam się znalazł?

- Nie. Nie orientuję się. Ale

przypuszczam, że został zabrany z jakiejś przystani, podczas gdy ja spieszyłem się do samochodu.

- To należy wykreślić - mruknął

Hamilton Burger. - Czy może pan ustalić, na podstawie własnego rozeznania, skąd w łodzi znalazł się ten człowiek?

- Nie.

- Panu jest tylko wiadomym, że po przybyciu na miejsce, z którego można było dogodnie obserwować łódź, zobaczył pan w niej dwóch mężczyzn. Zgadza się?

- Tak.

- Dobrze, i co się wtedy stało?

- Przez pewien czas łódź stała bez ruchu w tym samym miejscu. Wyglądało na to, że ten drugi mężczyzna łowi ryby. Trzymał z boku łodzi ciężki bambusowy kij wędkarski ze zwisającą linką.

- I co dalej?

- Potem zobaczyłem, że kij wędkarski drgnął gwałtownie, tak jakby coś bardzo ciężkiego chwyciło linkę.

- Taak?

- Wtedy ujrzałem czarną sylwetkę, częściowo zanurzoną w wodzie, prawdopodobnie trzymającą się tej linki.

- I co pan jeszcze zobaczył?

- Jeden z mężczyzn wychylił się z łodzi i wydawało się, że mówi...

- Nie jest ważne to, co się panu wydawało.

Co on 1 zrobił?

- Przechylił się przez burtę łodzi.

- Co potem?

- Dosięgnął ciemnego obiektu w wodzie.

- I co dalej?

- Wtedy zobaczyłem, jak wielokrotnie podnosił i opuszczał gwałtownie prawe ramię. W rękę miał nóż, który wbijał w ciemny obiekt znajdujący się w wodzie...

- Proszę nie przerywać.
- Obaj mężczyźni obszukali... no, robili coś koło tej rzeczy w wodzie, a następnie jeden z nich uniósł jakiś ciężar i przywiązał go do obiektu zanurzonego w wodzie.
- Co dalej?
- Włączyli motor i powoli holowali za sobą obciążony przedmiot. Pobiegnę do samochodu, wsiadłem i pojechałem z powrotem do mojej przystani.
- I co się wtedy stało?
- Nic. Dopiero po kilku godzinach człowiek, który wypożyczał ode mnie łódź zwrócił mi ją.
- Czy był z nim ktoś jeszcze?
- Nie, był sam.
- Co pan zrobił?
- Zapytałem go, czy zabrał ze sobą kogoś po drodze, a on...
- Sprzeciwiam się przytaczaniu jakiegokolwiek rozmowy, przy której nie był obecny oskarżony - oświadczył Mason.
- Zaraz - zniecierpliwił się Hamilton Burger. - Wycofuję to pytanie do czasu, kiedy powiązanie z osobą oskarżonego stanie się całkiem jasne. Panie Gilly, czy rozpoznał pan drugiego mężczyznę, który był w łodzi razem z nieznajomym?
- Wtedy nie. Nigdy go do tego czasu nie widziałem.
- A czy później pan go widział?
- Tak.
- Kim był ten mężczyzna?
- To oskarżony.
- Czy to, co pan powiedział, odnosi się do oskarżonego Davida Jeffersona, który w chwili obecnej siedzi na tej sali?
- Tak.
- Czy może go pan z całą pewnością zidentyfikować?

- Chwileczkę - nie dał świadkowi dojść do głosu Mason. - Składam sprzeciw, bowiem prokurator usiłuje wziąć w krzyżowy ogień pytań własnego świadka.

- Uchylam sprzeciw - zdecydował sędzia Hartley. - Niech świadek odpowie na pytanie.

- Tak. Jestem pewien.

- Obserwował pan te wszystkie

wydarzenia przez lornetkę?

- Tak.

- Jaką moc ma ta lornetka?

- Siedem na pięćdziesiąt.

- Czy to dobra lornetka?

- O, tak! - J Z przeciwodblaskowymi soczewkami?

- Tak.

- Czy mógł pan przez nią dojrzeć twarze ludzi znajdujących się w łodzi?

- Tak.

- No, dobrze. Kiedy łódź została zwrócona, czy zauważył pan na niej jakieś plamy?

- Tak.

- Jakiego rodzaju plamy?

- Plamy krwi, która...

- Nie, nie - przerwał mu Hamilton Burger. - Proszę tylko opisać te plamy. Pan nie może mieć pewności, że to była krew.

- Wyglądały jak krew.

- Proszę opisać te plamy - obstawał

Hamilton Burger, chcąc się okazać bezstronnym.

- To były czerwone plamy.

Ciemnoczerwone.



- Gdzie się znajdowały?
- Po zewnętrznej stronie łodzi, poniżej górnej krawędzi burty i wewnątrz łodzi, tam gdzie odbywało się... no” to o czym mówiłem.
- Kiedy zobaczył pan po raz pierwszy te plamy?
- Jak tylko zwrócono mi łódź.
- Czy były wtedy jeszcze świeże?
- Składam sprzeciw, pytanie bowiem zmusza świadka] do wyciągnięcia wniosków - oznajmił Mason.
- Sprzeciw uznany - zdecydował sędzia Hartley.
- Jak te plamy wyglądały według pana?
- Składam sprzeciw z tego samego powodu.
- Sprzeciw uznany.
- Proszę pana - zaczął z innej beczki Hamilton Burger - pan zajmuje się już od dłuższego czasu wypożyczaniem sprzętu wędkarskiego w celach rekreacyjnych, prawda?
- Tak.
- Czy w tym okresie zdarzyło się panu zobaczyć plamy krwi na łodziach?
- Tak.
- I czy potrafiłby pan opierając się na kolorze plam określić, w przybliżeniu oczywiście, świeżość krwi?
- Tak.
- Czy pytanie to dotyczy rybiej krwi? - wtrącił Mason.
- No... tak - poddał się Hamilton Burger.
- Chciałbym zapytać prokuratora, czy ma jakieś wątpliwości, że plamy, które opisał świadek, były krwią rybią?
- To były plamy ludzkiej krwi - warknął

Burger.

- Pozwalam sobie zauważyć -

uśmiechnął się ironicznie Mason - że świadek nie może być uważany za eksperta w rozpoznawaniu krwi ludzkiej w oparciu o to, że ma doświadczenie w rozpoznawaniu krwi rybiej.

- Zasada jest ta sama - odgryzł się Hamilton Burger. - Wysychająca krew przybiera te same odcienie kolorów.

- Czy mam rozumieć, że prokurator okręgowy zeznaje teraz jako ekspert? - zapytał z udanym zdziwieniem Mason.

Sędzia Hartley uśmiechnął się lekko.

- W tym wypadku, panie prokuratorze, sąd zgadza się z obrońcą - powiedział. - Jeżeli zamierza pan kwalifikować świadka jako eksperta w dziedzinie krwi, to przedtem należy udowodnić, czy istnieje podobieństwo w wyglądzie pomiędzy krwią ludzką a rybią.

- No dobrze - zgodził się na pozór potulnie Hamilton Burger. - Odpowiedź na to pytanie otrzymam w inny sposób i od innego świadka. Panie Gilly, czy jest pan stuprocentowo pewny, że rozpoznaje pan oskarżonego?

- Tak.

- I to on znajdował się w łodzi w czasie, kiedy zobaczył pan, że w ten obiekt w wodzie...

czy co to było... uderzał ktoś nożem?

- Tak.

- Czy kiedy wynajmował pan łódź, były na niej plamy, o których pan mówił?

- Nie.

- I dopiero kiedy łódź została zwrócona, zobaczył pan po raz pierwszy te plamy?

- Tak.

- Gdzie się teraz znajduje ta łódź?

- W posiadaniu policji.

- Kiedy policja ją zabrała?

- Jakies dziesięć dni po tych

wydarzeniach.

- Szesnastego czerwca?

- Wydaje mi się, że to było piętnastego.

- Czy znalazł pan jeszcze coś innego w łodzi, panie Gilly?

- Tak.

- Co?

- Nóż w pochwie. Po jednej stronie rękojeści wygrawerowane było imię „David”, a po drugiej inicjały M.J.

- Gdzie się obecnie znajduje ten nóż?

- Policja go zabrała.

- Kiedy?

- Wtedy, kiedy zabrali łódź.

- Gdyby zobaczył pan powtórnie ten nóż, czy byłby go pan w stanie rozpoznać?

- Tak.

Hamilton Burger odpakował z bibułki myśliwski nóż o ostrzu cienkim jak żyłeczka i pokazał świadkowi.

- Czy widział pan kiedykolwiek przedtem ten nóż?

- Tak. To ten sam nóż, który znalazłem w łodzi.

- Czy jest teraz w takim samym stanie, w jakim był wtedy?

- Nie. Pokryty był krwią... to znaczy...

poplamiony czymś czerwonym i tych plam było dużo więcej niż teraz.

- Tak, tak, kilka owych plam wzięto do analizy w laboratorium kryminalnym - wyjaśnił

gładko Hamilton Burger. - Proszę, panie Mason, może pan zadawać pytania świadkowi. Proszę również - i tu zwrócił się do kancelisty sądowego

- o oznaczenie noża w celach identyfikacyjnych.

Mason uśmiechnął się do świadka.

- Czy był pan kiedyś karany sądownie? –

zapytał dobrodusznym głosem.

Hamilton Burger zerwał się na równe nogi, prawdopodobnie z zamiarem złożenia sprzeciwu, lecz po chwili zastanowienia usiadł z powrotem powoli na krześle.

Gilly przeniósł swój rozbiegany wzrok z twarzy Masona na podłogę.

- Tak.

- Ile razy?

- Dwa.

- Za co?

- Raz za kradzież.

- A drugi raz za co? - nie ustępował

Mason.

- Krzywoprzysięstwo - powiedział ledwo dosłyszalnym głosem Gilly.

Mason uśmiechał się coraz uprzejmiej.

- Jak daleko był pan od łodzi, kiedy obserwował ją pan przez lornetkę?

- Około... no, kilkuset metrów.

- Jakie było światło?

- Zapadał właśnie zmierzch.

- Czy była mgła?

- Może nie mgła, ale trochę mglisto.

- Zimno?

- Tak, dosyć chłodno.

- Czego pan używał do przecierania szkieł swojej lornetki? Chyba je pan wycierał?

- Nie przypominam sobie, żebym je wycierał.

- I zobaczył pan, że jeden z mężczyzn łowi ryby?

- Tak. Oskarżony trzymał w ręku wędkę.

- I złowił coś na nią?

- Coś dużego chwyciło linę.

- Czy obserwował pan już kiedyś ludzi w trakcie łowienia dużych ryb?

- Tak.

- A więc czasami, kiedy złapano rekina -

musiał pan to zauważyć 5\* obcinano linę puszczając go wolno lub też zakłuwano go nożami na śmierć przed zdjęciem z haka. Zgadza się?

- To nie był rekin.

- Zadałem panu pytanie - rzucił ostro Mason. - Czy widział pan połów podobny do tego, który przed chwilą opisałem?

- Tak.

- No, a czy był taki moment, w którym obiekt znajdujący się na lince wynurzył się całkowicie z wody?

- Nie.

- Nawet nie na tyle, żeby mógł się pan zorientować, co to było?

- Prawie przez cały czas ten... obiekt znajdował się pod wodą.

- Czy kiedykolwiek przedtem widział

pan mężczyznę, który zwrócił się do pana w celu wynajęcia łodzi?

- Nie.

- I od tamtego czasu nie widział go pan ponownie?

- Nie.

- Czy jest pan pewien, że nóż nie znajdował się w łodzi, kiedy ją pan wynajmował nieznajomemu?

- Tak.

- Kiedy pan po raz pierwszy zobaczył

nóż?

- Szóstego czerwca po południu.

- Gdzie?

- W mojej łodzi.

- A przedtem nie zauważył go pan?

- Nie.

- Sprawdził pan dokładnie łódź?

- Tak.

- I od czasu kiedy łódź została panu zwrócona, aż do chwili gdy znalazł pan w niej nóż, stała ona w miejscu, gdzie każdy mógł

zbliżyć się do niej, upuścić nóż lub cisnąć go na samo dno łodzi?

- No, niby tak. Każdy, kto kręcił się koło mojej przystani, mógł to zrobić.

- A ile zapłacił panu ten tajemniczy człowiek za wypożyczenie łodzi?

- Składam sprzeciw. Pytanie

niewłaściwe, nie odnoszące się do sprawy, nie mające dla jej przebiegu żadnego znaczenia oraz niezgodna z procedurą

sądową formą

przesłuchiwania świadka - oznajmił napszonym tonem Hamilton Burger.

- Cóż - oczy Masona rozjaśnił uśmiech -

zadam to pytanie w inny sposób. Panie Gilly, czy ma pan stałe ceny za wypożyczenie łodzi?

- Tak.

- Ile to wynosi?

- Od dolara do półtora dolara za godzinę.

- A może mi pan powie, czy ten nieznajomy zapłacił panu normalną stawkę za wypożyczenie łodzi?

- Ubiliśmy tę transakcję na specjalnych warunkach.

- Otrzymał pan więcej niż normalną stawkę?

- Tak.

- O ile więcej?

- Sprzeciwiam się ze względu na niezgodną z procedurą

sądową formę

przesłuchiwania

świadka, polegającą na

odwoływaniu się do faktów nie stanowiących materiałów dowodowych. Pytanie niewłaściwe, nie odnoszące się do sprawy oraz nie mające dla jej przebiegu żadnego znaczenia - wystąpił z następnym protestem Hamilton Burger.

- Uchylam sprzeciw - zdecydował sędzia Hartley.

- Ile pan otrzymał za wypożyczenie łodzi?

- Nie mogę sobie przypomnieć tak od razu, ale chyba pięćdziesiąt dolarów - mruknął

Gilly unikając wzroku

Masona.

- Czy takiej sumy pan zażądał, czy też taką sumę zaoferował mężczyzna, który się zwrócił do pana?

- Tyle ja zażądałem.

- Jest pan pewien, że zażądał pan pięćdziesięciu

dolarów?

- Nie pamiętam dokładnie. Dał mi coś ekstra. Nie pamiętam, ile tego było.

- Więcej niż pięćdziesiąt dolarów?

- Może i tak. Nie liczyłem. Wziąłem banknoty, które mi podał i wsadziłem do kasetki zamykanej na kluczyk, gdzie trzymam pieniądze.

- Przechowuje pan swoje pieniądze w gotówce?

- Część, tak.

- Przeliczył pan kiedyś, ile wynosiła ta...

premia?

- Nie przypominam sobie, żebym coś takiego zrobił.

- Mogło być więcej niż pięćdziesiąt dolarów?

- Chyba tak, ale nie wiem.

- A może tysiąc dolarów?

- Och, to już jest absurdalne! -

zaprotestował Hamilton Burger.

- Uchylam sprzeciw - warknął sędzia Hartley.

- No więc? - przynaglił świadka Mason.

- Nie wiem.

- Czy zaksięgował pan ten dodatkowy zarobek?

- Nie prowadzę księgowości.

- A więc nie wie pan, ile znajduje się gotówki w tej zamkniętej na klucz kasetce, w której trzyma pan pieniądze?

- Nie co do grosza.

- A co do dolara?

- Nie.

- A w granicach stu dolarów?

- Nie.

- Czy ma pan obecnie w tej kasetce więcej niż pięćset dolarów?

- Nie wiem.

- Więcej niż pięć tysięcy dolarów?

- Pojęcia nie mam.

- Ale może tam znajdować się taka suma pieniędzy?

- Tak.

- Kiedy został pan skazany za



krzywoprzysięstwo - głos Masona brzmiał zimno

- czy było to pierwsze pana przestępstwo czy drugie?

- Drugie.

Mason uśmiechnął się szeroko.

- To wszystko, panie Gilly. Sędzia Hartley spojrział na zegar.

- Pora na południową przerwę. Sąd zbierze się na tej sali o godzinie drugiej. W ciągu tego czasu sędziowie

przysięgli nie będą formułowali ani też wypowiadali żadnej opinii co do meritum sprawy.

Dopiero kiedy cała sprawa zostanie im ostatecznie przedłożona, przystąpią do wyciągania wniosków.

Sędziowie przysięgli nie będą również dyskutować o sprawie pomiędzy sobą i nie pozwolą, aby dyskutowano o niej w ich obecności. Oskarżonego należy odesłać z powrotem do celi. Sąd ogłasza przerwę do godziny drugiej.

Della Street i Paul Drake, siedzący dotąd w pierwszym rzędzie krzeseł, na miejscach specjalnie dla nich zarezerwowanych, skierowali się w stronę Perry'ego Masona.

Adwokat napotkawszy wzrok Paula Drake'a dał mu znak oczami, żeby się cofnęli i zwrócił się do swojego klienta.

- Chciałbym wiedzieć, gdzie pan był w nocy piątego i rano szóstego czerwca?

- W mieszkaniu. Pograżony we śnie we własnym łóżku.

- A może pan to udowodnić?

- Co za absurd! - wykrzyknął pogardliwie Jefferson. - Jestem kawalerem, panie Mason, i śpię sam. Nie miałem powodów, żeby udowadniać, gdzie byłem w tym czasie, tak jak i nie mam ich teraz. Nikt przecież nie przyjmie poważnie słów krzywoprzysięcy i złodziejaska, który mnie w życiu na oczy nie widział. Kim jest ten ciemny typ z dzielnicy portowej? Ta cała historia jest wprost nedorzeczna!

- Byłbym skłonny zgodzić się z panem -

Mason w zamyśleniu podrapał się po gładko wygolonym podbródku - gdyby nie pewność siebie, jaką wprost tchnie nasz prokurator okręgowy. Dlatego też staje się dla mnie bardzo ważne dokładne stwierdzenie, gdzie pan był w nocy piątego i rankiem szóstego czerwca.

- Rozumiem - mruknął Jefferson. - W

nocy piątego... to jest wieczorem piątego byłem...

nie, nie widzę powodów, żeby o tym mówić.

Szóstego... od północy piątego czerwca do wpół

do dziewiątej rano szóstego czerwca byłem we własnym mieszkaniu. O dziewiątej rano szóstego czerwca znajdowałem się w moim biurze i mogę dowiedzieć, gdzie byłem tego właśnie rana od kilku minut po siódmej.

- Ma pan świadka?

- Tak, mojego współpracownika, Waltera Irvinga. Przyszedł do mnie o siódmej, zjedliśmy razem śniadanie, a potem poszliśmy do biura.

- A co z nożem? - zagadnął Mason.

- To mój nóż. Leżał w walizce w moim mieszkaniu i został z niej wykradzony.

- Skąd go pan miał?

- To prezent.

- Od kogo?

- To nie ma nic wspólnego ze sprawą, panie mecenasie.

- Kto panu go dał?

- To nie pana sprawa.

- Muszę wiedzieć, kto panu dał ten nóż, panie Jefferson.

- Sam prowadzę swoje sprawy, panie Mason.

- W sądzie ja prowadzę pana sprawę.

- I niech pan to robi nadal. Proszę mi tylko nie zadawać pytań na temat kobiet, to wszystko. Z nikim nie rozmawiam o paniach, z którymi się przyjaźnię.

- A może jest coś, czego pan się wstydzi w związku z tym prezentem?

- Oczywiście, że nie.

- No, to niech mi pan powie, kto go panu dał?

- Krępowałaby mnie rozmowa z panem na temat kobiet, mecenasie. Bo istnieje możliwość, że kiedy będę odpowiadać na pytania prokuratora, zaczniesz pan podejrzewać, że składam fałszywe zeznania...

Mason przyglądał się uważnie twarzy Jeffersona.

- Niech pan posłucha - rzekł powoli. -

Bardzo często sprawa, która wydaje się prokuratorowi chwiejna,

wzmacnia się, ponieważ oskarżony załamał się pod krzyżowym ogniem pytań. Mam nadzieję, że ta sprawa nie dojdzie do punktu, w którym obrona stanie się koniecznością. Ale jeżeli do tego dojdzie, muszę być przekonany, że pan mnie nie okłamał. Jefferson obrzucił Masona zimnym wzrokiem.

- Nigdy nikomu nie kłamię - powiedział

krótko i odwróciwszy się od Masona dał znak policjantowi,

że

może go już odprowadzić do celi.

Della Street i Paul Drake dołączyli do Masona w przejściu pomiędzy krzesłami.

- No i co o tym myślicie? - zagadnął

Mason.

- W tej całej sprawie jest coś bardzo podejrzanego - mruknął pod nosem Paul Drake. -

Cuchnie na odległość i ma wyraźne znamiona ukartowanej z góry machlojki. Dziwi mnie, że Burger myśli, iż wystarczy użyć takiego typka jak Gilly do oskarżenia człowieka w rodzaju Jeffersona.

- Właśnie - kiwnął głową Mason. -

Musimy się czegoś więcej na ten temat dowiedzieć. Jest coś nowego?

- Walter Irving powrócił.

- Do diabła! A gdzie on był?

- Nikt nie wie. Zjawił się około wpół do jedenastej rano. Był na sali rozpraw.

- Gdzie siedział?

- W tylnym rzędzie i słuchał uważnie wszystkiego.

- Hm, jedno zaprzecza drugiemu -

zamyślił się Mason.

- Ta cała sprawa powykręcana jest na wszystkie strony.

- Policja coś ukrywa, Perry. Zdaje się, że szykują ci wielką niespodziankę. Nie mogę się dowiedzieć, co to jest. Zauważyłeś, że Hamilton Burger był przez cały czas podniecony i bardzo pewny siebie?

- Właśnie tego nie mogę zrozumieć -

przyznał Mason.

- Burger przesłuchuje świadków i ma taką minę, jakby

ich zeznania stanowiły tylko wstępny materiał. Nie przykładają zbyt dużej wagi do tego, co mówią, ani nie przejmują się tym, czy podważam ich reputację lub prawdomówność.

Wyraźnie czeka na jakąś bombę.

- A co z Irvingiem? Skontaktujesz się z nim?

- Irving i ja nie jesteśmy w przyjaznych stosunkach. Kiedy ostatni raz rozmawiałem z nim, wyleciał z mojej kancelarii wściekły jak dziki koń, którego się próbuje osiodłać.

Zadepeszcował do centrali ich towarzystwa domagając się,

żeby mnie zwolnili...

Dowiedziałeś się czegoś o Marline Chaumont i jej bracie?

- Nie wiem, gdzie oni są - przyznał

potulnie Drake - ale wydaje mi się, że wiem, jak zwiali.

- Jak? Bardzo mnie to interesuje.

- W tak beznadziejnie prosty sposób, że doprowadza mnie do wściekłości, iż wcześniej na to nie wpadłem.

- Jak? Gadaj wreszcie!

- Marline Chaumont wzięła walizki i kazała bagażowemu złożyć je w przechowalni.

Potem, jako pasażerowie, którzy dopiero wysiedli z samolotu, zajęli miejsca w autobusie należącym do lotniska. Innemu bagażowemu dała dwa klucze do dwóch szafek w przechowalni z poleceniem przyniesienia dwóch walizek. Następnie zaś, tym samym środkiem lokomocji, pojechała wraz z bratem do hotelu położonego w centrum miasta. Wysiedli i wszelki ślad po nich zaginął.

- A potem wróciła i odebrała pozostałe walizki? - podsunął Mason.

- Prawdopodobnie kiedy ulokowała już bezpiecznie brata, pojechała taksówką na lotnisko i odebrała z przechowalni pozostałe dwie walizki.

- Paul, musimy ją odnaleźć.

- Robię wszystko, co mogę, Perry.

- Czy nie możesz sprawdzić rejestrów hotelowych?

Czy nie możesz...

- Daj spokój, Perry - przerwał Drake. ~

Sprawdziłem wszystkie wpisy do rejestrów hotelowych dokonane mniej więcej w tym czasie.

Dowadywałem się we wszystkich agencjach mieszkaniowych, czy czegoś nie wynajęli tego dnia. Sprawdziłem wszystkie biura pośredników mieszkaniowych. Zrobiłem wszystko, co mogłem. Kazałem moim pracownikom telefonować do administracji domów czynszowych i dowiedzieć się, czy nie nadeszło jakieś zgłoszenie w tym czasie. Sprawdziliśmy nawet rejestry moteli. Zrobiłem wszystko, co mogłem...

- Sprawdziłeś agencje zajmujące się wynajmem samochodów? - spokojnie zapytał

Mason.

- Co masz na myśli?

- Firmy, w których osoba prowadząca samochód może wynająć sobie wóz i odjechać nim, płacąc określoną sumę za każdy dzień i za każdą milę.

Na twarzy Drake'a odmalowały się mieszane uczucia.

- Ona nie... do licha! Nie! Dobry Boże, Perry! Czyżbym coś przeoczył?

- Mogła przecież wynająć samochód, załadować bagaż i pojechać do któregoś z okolicznych miast, wynająć tam dom, wrócić z powrotem samochodem i...

- Jedna szansa na tysiąc - powiedział

markotnie Drake ale jej nie przeoczę. To jest ostatnie, co nam zostało.

- Okay, Paul. Sprawdź, a może tym razem trafisz.

## **Rozdział XV**

Punktualnie o drugiej sąd zebrał się ponownie w sali rozpraw.

- Proszę wezwać swojego następnego świadka - zwrócił się do prokuratora okręgowego sędziego Hartley.

Hamilton Burger zawahał się przez chwilę.

- Wzywam Mae Wallis Jordan - rzekł

wreszcie. Mae Jordan, poważna i skupiona, powolnym krokiem,

tak jakby zmuszała się do czegoś, co napawało ją bezbrzeżną niechęcią, podeszła do podestu dla świadków, złożyła przysięgę, podała aplikantowi sądowemu nazwisko i adres i usiadła.

Głos Hamiltona Burgera ociekał wprost słodyczą.

- Czy zna pani oskarżonego, Davida Jeffersona, panno Jordan?

- Tak.

- Kiedy zawarła pani z nim znajomość?

- Czy chodzi panu prokuratorowi o to, kiedy go poznałam osobiście?

- Kiedy po raz pierwszy się z nim pani zetknęła - sprecyzował pytanie Hamilton Burger

- i w jakich okolicznościach?

- Korespondowałam z nim już od dłuższego czasu, ale po raz pierwszy zobaczyłam go dopiero po przyjeździe do naszego miasta.

- Czy pamięta pani dokładną datę tego pierwszego spotkania?

- A jakże. Przyjechał pociągiem, a ja oczekiwałam go na stacji.

- Proszę podać datę.

- Siedemnastego maja.

- Bieżącego roku?

- Tak.

- Do tego czasu była pani w kontakcie korespondencyjnym z oskarżonym, prawda?

- Tak.

- W jaki sposób zaczęła się ta korespondencja?

- Wszystko zaczęło się jako dowcip...

czy kawał.

- Może pani to jaśniej wytłumaczyć?

- Interesuję się fotografią i kiedyś w jednym z magazynów ilustrowanych przeczytałam ofertę zamiany kolorowych fotografii trójwymiarowych z Afryki na fotografie południowo-zachodniej pustyni.

Zainteresowało mnie to i napisałam pod numer skrzynki pocztowej podanej w magazynie.

- W południowej Afryce?

- Wszystkie listy oznaczone tym numerem kierowano do czasopisma fotograficznego, ale okazało się, że stamtąd odsyłano je do osoby, która zamieściła ogłoszenie w magazynie. Tą osobą był...

- Chwileczkę - przerwał Mason. -

Sprzeciwiam się zeznaniom, które są wnioskami wyciągniętymi przez świadka. Świadek nie wie, kto dał ogłoszenie i tylko rejestry czasopisma mogą być przekonywającym dowodem.

- Pokażemy je - powiedział łagodnie Hamilton Burger. - Jednakże... pomińmy na chwilę ten punkt. Co się potem stało, panno Jordan?

- No... zaczęłam korespondować z oskarżonym.

- Jaki był, ogólnie biorąc, charakter tej korespondencji? - zapytał Hamilton Burger i zwracając się do Masona dodał:

- Oczywiście, rozumiem, że może pan złożyć sprzeciw, uzasadniając go tym, że odpowiedź na moje pytanie nie stanowi jeszcze dowodu, lecz staram się przyspieszyć tok sprawy.

Mason uśmiechnął się ironicznie.

- Zawsze jestem podejrzliwy w stosunku do kogoś, kto stara się przyspieszyć tok sprawy, przedstawiając drugorzędne materiały dowodowe. Najlepszym dowodem byłyby listy.

- Chcę zapoznać sąd z ogólnym charakterem tej korespondencji - tłumaczył się Hamilton Burger.

- Składam sprzeciw, ponieważ nie stanowi to istotnego materiału dowodowego -

trwał przy swoim Mason - a tego rodzaju pytanie zmusza świadka do wyciągania wniosków.

- Sprzeciw uznany - zdecydował sędzia Hartley.

- Otrzymywała pani listy z południowej Afryki? - zapytał Hamilton Burger głosem, który zdradzał lekkie podenerwowanie.

- Tak.

- Jak te listy były podpisywane?

- No... rozmaicie...

- Nie bardzo rozumiem - zdziwił się szczerze Hamilton Burger. - Myślałem, że...

- Nieważne, co myślał prokurator okręgowy - wtrącił Mason. - Przejdźmy do f a k t ó w.

- Jak te listy były podpisywane? -

powtórzył pytanie Burger.

- Niektóre, a raczej pierwsze listy, były podpisane nazwiskiem oskarżonego.

- A gdzie teraz znajdują się te listy?

- Przepadły.

- Gdzie?

- Zniszczyłam je.

- Proszę podać treść listów - rzekł z namaszczeniem Hamilton Burger. - Wysoki Sądzie, wykazawszy, że oryginalne dowody są już nieosiągalne, chciałbym na podstawie pośrednich dowodów...

- Nie ma sprzeciwu - kiwnął głową sędzia Hartley.

- Zamierzałem właśnie powiedzieć -

wtrącił szybko Mason - że aby zorientować się, czy złożę protest, czy też nie, chciałbym zadać świadkowi kilka pytań dotyczących treści listów oraz czasu i sposobu, w jaki zostały zniszczone.

- Najpierw proszę złożyć protest, a potem może pan zadawać pytania - odparł sędzia Hartley.

- Wysoki Sądzie, składam sprzeciw, w oparciu o to, że nie wykazano w sposób dostateczny konieczności posłużenia się drugorzędnymi dowodami; w oparciu b to, że jak okazało się obecnie - niektóre listy nie nosiły nawet podpisu oskarżonego. W związku z tym sprzeciwem chciałbym zadać świadkowi kilka pytań.

- Słuchamy - zaprosił go z lekkim uśmiechem Hamilton Burger.

Mason zwrócił się do świadka.

- Mówiła pani, że listy te były rozmaicie podpisywane. Co pani miała na myśli?

- No...-zaczęła z wahaniem. ‘

- Niech się pani nie krępuje - zachęcił ją Mason.

- Niektóre listy były podpisane... no...

dosyć żartobliwie...



- Na przykład jak?

- „Długonogi Pająk” - szepnęła.

Głośny śmiech, który rozległ się w sali, uciszyło dopiero gniewne zmarszczenie brwi sędziego Hartleya.

- A inne?

- Jeszcze inaczej. Wymienialiśmy...

wymienialiśmy fotografie między sobą...

trickowe fotografie.

- Proszę dokładniej wytłumaczyć, co pani określa mianem „trickowych fotografii” -

zwrócił się do świadka Mason.

- Jestem zagorzałą amatorką fotografii, oskarżony również i... początkowo nasza korespondencja miała charakter formalny, lecz stopniowo stawała się coraz bardziej osobista.

Ja... on poprosił mnie o zdjęcie i ja... dla kawału... ja...

- Proszę mówić dalej - przynaglał ją Mason. - Co pani zrobiła?

- Wzięłam zdjęcie schludnej, starej panny o interesującej, pełnej charakteru twarzy.

Miałam swoją fotografię w kostiumie kąpielowym i... przy powiększaniu zastosowałam pewien trick fotograficzny...

umieściłam twarz starej panny na mojej figurze, podpisałam „Panna West” i wysłałam tak skomponowane zdjęcie. Myślałam, że jeżeli jest zwykłym flirciarzem, to taka fotografia trochę go ostudzi.

- Czy to był dowcip, czy też miało to na celu wprowadzenie w błąd oskarżonego?

Ciemny rumieniec oblał policzki Mae Jordan.

- Pierwsze zdjęcie miało na celu zmylenie go. Zrobiłam je bardzo sprytnie, tak aby nie mógł rozpoznać, że to fotomontaż... w każdym razie, ja myślałam, że się w tym nie zorientuje...

- Czy poprosiła go pani, żeby w zamian przysłał swoje własne zdjęcie?

- Tak.

- I otrzymała je pani?

- Tak.

- Co było na tym zdjęciu?

- Łeb żyrafy w okularach, umieszczony na figurzł straszliwie muskularnego mężczyzny.

Prawdopodobnie jakiś zapaśnik czy sztangista.

- I w ten sposób zorientowała się pani, że fotomontaż został rozszyfrowany? - zapytał

Mason nie spuszczał wzroku z jej twarzy.

- Tak.

- A co się potem wydarzyło?

- Wymieniliśmy sporo rozmaitych zdjęć tego rodzaju. Każde z nas starało się robić coraz oryginalniejsze czy zabawniejsze kompozycje.

- A listy? - wrócił do poprzedniego tematu obrońca.

- Listy były podpisywane rozmaitymi imionami, w zależności od tego, co przedstawiała dana fotografia.

- Pani również podpisywała w ten sposób swoje listy? - Tak.

- I on podobnie podpisywał swoje listy do pani?

- Tak.

- Przypuszczam, że on podpisywał swoje listy „Sir Galahad” czy też „Twój Książę” albo coś w tym rodzaju? - zapytał całkowicie obojętnym tonem Mason.

- Tak.

- „Książę z bajki”?

Mae Jordan drgnęła niespokojnie.

- Tak - odpowiedziała zdziwionym głosem. - Prawdę mówiąc, pod koniec naszej korespondencji wszystkie swoje listy podpisywał

„Książę z bajki”.

- A gdzie się teraz znajdują te listy? -

powtórzył pytanie prokuratora Mason.

- Zniszczyłam je.

- Czy jest pani wiadome, gdzie obecnie znajdują się listy, które pani do niego pisała?

- Ja... ja zniszczyłam je również.

Hamilton Burger uśmiechnął się szeroko.

- Proszę pytać dalej, mecenasie.

Świetnie pan sobie daje radę.

- W jaki sposób je pani zdobyła?

- Poszłam... poszłam do jego biura.

- Zastała tam pani oskarżonego?

- Kiedy... kiedy miałam już te listy... on tam był... tak. Mason uśmiechnął się do prokuratora okręgowego.

- Proszę Wysokiego Sądu, myślę, że poprowadziłem ten kierunek przesłuchania wystarczająco daleko. Zrzekam się prawa zadawania dalszych pytań na temat listów.

Obstaję jednakże przy moim sprzeciwie.

Świadek nie może przysiąc, że listy te napisał

oskarżony, ponieważ nazwisko zastępowały pseudonimy w rodzaju „Książę z bajki” czy temu podobne, i jak świadek zeznała, były to żartobliwe imiona. Lecze to jest wniosek, który świadek sama wyciągnęła. Sędzia Hartley zwrócił się do Mae Jordan.

- Czy listy te przychodziły w odpowiedzi na listy wysyłane przez panią?

- Tak, Wysoki Sądzie.

- A jak pani adresowała swoje listy?

- „Południowoafrykańskie Towarzystwo Importu i Eksploatacji Kamieni Szlachetnych”.

Dla pana Davida Jeffersona.

- Na adres centrali w południowej Afryce?

- Tak, Wysoki Sądzie.

- Czy przesyłała pani te listy normalną pocztą lotniczą?

- Tak, Wysoki Sądzie.

- I w odpowiedzi przychodziły listy, o których pani nam przed chwilą mówiła?

- Tak, Wysoki Sądzie.

- Czy z listów tych można się było zorientować, że stanowiły one odpowiedź na pani listy?

- Tak, Wysoki Sądzie.

- Spaliła je pani?

- Tak, Wysoki Sądzie.

- Uchylam sprzeciw - zdecydował sędzia Hartley. - Prokurator okręgowy może przedstawić treść korespondencji na podstawie wtórnych dowodów.

Hamilton Burger skłonił się lekko, po czym zwrócił się do świadka.

- Proszę nam powiedzieć, co było w listach, które pani zniszczyła?

- Cóż... oskarżony żalił się, że jest samotny, daleko od bliskich mu ludzi, że nie ma żadnej dziewczyny i... och, to wszystko było po prostu kawałem. Bardzo trudno to wytłumaczyć.

- Proszę, niech pani spróbuje - zwrócił się do niej uprzejmie prokurator.

- Przyjęliśmy pozę... no, udawaliśmy, że jest to korespondencja samotnych serc... to znaczy ludzi samotnych. Tak jak w tych śmiesznych rubrykach gazetowych. On na przykład pisał, że jest. bardzo bogaty, cnotliwy i że będzie na pewno znakomitym mężem, a ja mu pisałam, jaka jestem piękna i jak... och, po prostu nie jest możliwe wytłumaczenie naszej korespondencji na zimno.

- Te listy, pozbawione kontekstu, po prostu nic nie znaczą, tak? - podsunął Hamilton Burger.

- Właśnie. Właśnie o to chodzi. Trzeba zrozumieć nastrój i tło, bo inaczej obraz jest mylny. Te listy, oddzielone od całej sytuacji wydają się beznadziejnie głupie, po prostu idiotyczne. Dlatego chciałam je odebrać...

- Proszę nie przerywać - przynaglił ją Hamilton Burger. - Co pani zrobiła?

- Pod koniec naszej korespondencji David Jefferson napisał do mnie jeden poważny list.

Zawiadomił mnie, że towarzystwo, dla którego pracuje, zdecydowało otworzyć filię w Stanach Zjednoczonych i wybór padł na nasze miasto, że on będzie kierownikiem biura i że cieszy się z możliwości spotkania ze mną.

- I co pani zrobiła? - powtórzył pytanie prokurator.

- Wpadłam nagle w straszną panikę. Bo inna rzecz prowadzić korespondencję z mężczyzną, który znajdował się o tysiąc mil ode mnie, a inna spotkać się z tym człowiekiem twarzą w twarz. Bardzo mnie to zdenerwowało, no i czułam się trochę głupio..

- Tak? I co dalej?

- Kiedy przyjechał - zadeszował, którym pociągiem przyjedzie i ja czekałam na stacji - wszystko zaczęło się od początku układać źle... no, inaczej.

- Na czym to polegało?

- Potraktował mnie bardzo oziębło, a zresztą okazał się zupełnie inną osobą, niż się spodziewałam. Oczywiście - dodała pośpiesznie

- wiedziałam, że to głupie, ale stworzyłam w mojej wyobraźni postać

mężczyzny

wyposażonego we wszelkie zalety, chociaż go nigdy nie widziałam. Uważałam go za przyjaciela i strasznie się rozczarowałam.

- A co się potem wydarzyło? - zapytał

łagodnym głosem Hamilton Burger.

- Zadzwoiłam do niego dwu czy trzykrotnie i kiedyś wieczorem wybrałam się z nim do miasta...

- No, słucham, słucham.

Mae Jordan wzruszyła ramionami.

- Ten mężczyzna był wprost nieznośny -

powiedziała obrzuciwszy pogardliwym spojrzeniem oskarżonego. - Zachowywał się protekcyjnie w jakiś taki tani, krzykliwy sposób. Zorientowałam się szybko, że błędnie interpretował moje listy. Patrzył na mnie jak na...

odnosił się do mnie, jakbym była... nie okazywał

respektu, ani nawet zwykłej uprzejmości. Ten człowiek po prostu nie wiedział, co to znaczy delikatność.

- Co pani zrobiła?

- Powiedziałam mu, że chcę odebrać moje listy.

- I co on na to?

Ponownie obrzuciła pogardliwym

spojrzeniem Jeffersona.

- Powiedział mi, że mogę je od niego odkupić.

- No i...?

- Postanowiłam odebrać te listy. Przecież były moją własnością.

- Co pani zrobiła?

- Czternastego czerwca poszłam cio jego biura. Wybrałam porę, w której oskarżony i pan Irving zwykle udawali się na lunch.

- I co pani zrobiła? - powtórzył swoje poprzednie pytanie Hamilton Burger.

- We... weszłam do biura.

- W jakim celu?

- Jedynym moim celem było

odnalezienie listów, które kiedyś napisałam.

- Czy miała pani powody, aby

przypuszczać, że te listy znajdują się w biurze?

- Tak. Powiedział mi, że trzyma je w swoim biurku i że mogę po nie przyjść i odebrać je, o ile się zgodzę na jego warunki.

- I co się stało?

- Nie mogłam znaleźć listów; Szukałam wszędzie. Otworzyłam szuflady biurka i wtedy...

- przerwała.

- Proszę mówić dalej - ponaglił ją Hamilton Burger.

- Otworzyły się drzwi - dokończyła nerwowo.

- Kogo pani zobaczyła w drzwiach?

- Oskarżonego, Davida Jeffersona.

- Był sam?

- Nie. Razem ze swoim

współpracownikiem, Walterem Irvingiem.

- I co się wtedy stało?

- Oskarżony zaczął strasznie przeklinać.

Obrzucał mnie przezwiskami, jakich nigdy w życiu nie słyszałam.

- No i?

- Próbował mnie złapać i...

- A co pani zrobiła?

- Cofnęłam się, potknęłam o krzesło i przewróciłam. Wtedy pan Irving schwycił mnie za kostki u nóg i tak przytrzymał. David Jefferson powiedział, że wścibiam wszędzie nos, a ja mu na to, że przyszłam tylko po swoje listy.

- Taak?

- Oskarżony, kiedy to usłyszał, popatrzył

na mnie

chwilę z nie ukrywanym zdziwieniem, a następnie burknął do Irvinga: „Niech to diabli wezmą, ale ona chyba mówi prawdę”.

- I co wtedy?

- Wtedy zadzwonił telefon, Irving podniósł słuchawkę, słuchał przez chwilę, wreszcie krzyknął ze zdenerwowaniem: „Wielki Boże! Policja!”

- Proszę nie przerywać - naciskał

prokurator.

- Oskarżony podbiegł do szafki, otworzył ją jednym szarpnięciem, wyciągnął całą paczkę listów obwiązanych sznurkiem i wrzasnął: „Masz, głupia! Tu są twoje listy. Weź

je i wynoś się. Policja cię szuka. Ktoś widział, jak się włamywałaś do biura i zawiadomiono policję. No, teraz widzisz, jaka z ciebie przeklęta idiotka!”

- I co dalej?

- Zaczął mnie popychać w kierunku drzwi. Wtedy Irving wcisnął mi coś w rękę i powiedział: „Weź to. Nagroda dla ciebie za trzymanie gęby na kłódkę”.

- Co pani zrobiła?

- Jak tylko wypchnęli mnie na korytarz, popędziłam do damskiej toalety.

- Proszę dalej opowiadać.

- Drzwi do toalety były otwarte.

Zerknęłam jeszcze do tyłu i wtedy zobaczyłam oskarżonego i Waltera Irvinga, jak wybiegli ze swojego biura i wpadli do męskiej toalety.

- Co się potem stało?

- Nie czekałam, żeby zobaczyć coś więcej. Wpadłam do toalety, rozwiązałam paczkę z listami, przejrzałam treść, żeby się upewnić, że są moje i zniszczyłam je.

- W jaki sposób pani je zniszczyła?

- Wpakowałam do pojemnika na zużyte papierowe ręczniki; codziennie go wypróżniają i całą zawartość palą.

- Tak? A co potem?

- Cóż, znalazłam się w pułapce.

Wiedziałam, że policja zaraz przyjdzie i...

- Proszę nie przerywać - upomniał ją ponownie Hamilton Burger.

- Musiałam w jakiś sposób się stamtąd wydostać.

- I c o pani zrobiła?- lekki uśmiech rozjaśnił twarz prokuratora okręgowego.

- Sądziłam, że wyjścia są obserwowane, że ktoś mnie widział i opisał mój wygląd policji, tak więc... wyszłam z toalety... rozejrzałam się, zastanawiając się, gdzie by tu się ukryć i wtedy na korytarzu zobaczyłam drzwi z tabliczką:

„Perry Mason, Adwokat. Wejście”. Oczywiście, słyszałam o mecenasie Masonie. Pomyślałam sobie, że może uda mi się go nabrać, opowiem mu na przykład, że chcę rozwodu czy coś takiego albo że miałam wypadek

samochodowy... po prostu wymyślę coś, co mogłoby go zainteresować. W ten sposób, gdy zjawi się policja, ja będę siedziała u niego w kancelarii. Byłam pewna, że udałoby mi się podtrzymać zainteresowanie pana mecenasa na okres pobytu policji, a potem, kiedy już zrezygnują z poszukiwań, pod takim czy innym pretekstem wyjść. Teraz zdaję sobie sprawę, że ten cały pomysł był zwariowany, ale wtedy wydawał mi się jedyną drogą ucieczki. Pomogło mi zrządzenie losu.



- W jaki sposób?

- Okazało się, że w sekretariacie mecenasa Masona czekano na maszynistkę.

Sekretarka zadzwoniła do agencji i powiedziano jej, że zaraz kogoś wyślą. Zatrzymałam się w drzwiach na chwilę, bo wahałam się, co robić, i recepcjonistka wzięła mnie za oczekiwaną osobę. Zapytała, czy jestem maszynistką, odpowiedziałam oczywiście, że tak, i zabrałam się do roboty.

- I tego popołudnia pracowała pani w biurze mecenasa Masona? - zapytał

zadowolonym tonem Hamilton Burger.

- Tak, pracowałam tam przez pewien czas.

- I co potem?

- Kiedy wszystko się uspokoiło, uciekłam.

- Kiedy to się stało?

- Przepisywałam jakiś dokument.

Obawiałam się, że jak tylko skończę, sekretarka mecenasa Masona zadzwoni do agencji, aby się dowiedzieć, ile wynosi należność za moją pracę.

Nie wiedziałam, co robić. No więc, kiedy nadarzyła się okazja, wymknęłam się do toalety, stamtąd do windy i poszłam do domu.

- Wspomniała pani o czymś, co zostało pani wciśnięte do ręki. Czy wie pani, co to takiego było?

- Tak.

- Co?

- Brylanty. Dwa brylanty.

- Kiedy się pani zorientowała, że to są brylanty?

- Jak już pracowałam kilka dobrych minut. Kiedy Irving wepchnął mi coś do ręki, ja bezmyślnie wsunęłam to do torebki i przy pierwszej okazji zajrzałam. Znalazłam dwie maleńkie paczuszki owinięte bibułką. Zdjęłam papier i znalazłam dwa brylanty.

- Ogarnęła mnie panika - ciągnęła w ciszy po krótkiej przerwie. - Nagle zdałam sobie sprawę, że jeżeli ci mężczyźni będą twierdzić, iż ja je skradłam z ich biura, to bez większych trudności mogą sfabrykować fałszywe oskarżenie. Nie miałam na swoją obronę nic, w co można byłoby uwierzyć. Tak więc musiałam jak najszybciej pozbyć się tych brylantów.

Zorientowałam się już, że wpadłam w pułapkę.

- Co pani zrobiła?

- Przykleiłam je do spodu biurka, przy którym pracowałam.

- Jak je pani przykleiła?

- Gumą do żucia.

- Ile było tej gumy?

- Och, olbrzymia ilość. Miałam w torebce jakieś dwanaście kawałków, żułam po kilka naraz i w ten sposób przygotowałam sporą bryłkę. Wsadziłam w nią brylanty i wszystko razem przycisnęłam mocno od spodu biurka.

- Gdzie one się teraz znajdują?

- Sądzę, że nadal w tym samym miejscu.

- Wysoki Sądzie! - zagrział Hamilton Burger. Proponuję, aby oficer dyżurny został

wysłany do kancelarii mecenasa Masona, z instrukcją przeszukania miejsca, które opisał

świadek, i przyniesienia ze sobą bryły gumy do żucia zawierającej dwa brylanty.

Sędzia Hartley spojrzał pytającym wzrokiem na obrońcę.

- Ja na pewno nie mam nic przeciwko temu - rzekł Mason, a ironiczny uśmiešek rozjaśnił jego oczy.

- Sąd nakazuje oficerowi dyżurnemu, by udał się do kancelarii mecenasa Masona, zabrał

brylanty i zatrzymał je pod sekwestrem -

oznajmił sędzia Hartley.

- Wysoki Sądzie - zainterpelował

ponownie prokurator, czy można po nie posłać natychmiast...zanim... zanim cokolwiek się stanie?

- A co się może stać? - zapytał sędzia Hartley.

- Cóż, teraz kiedy jest już wiadome...

kiedy usłyszeliśmy zeznania... nie chciałbym...

no, nie chciałbym, żeby cokolwiek stanęło na przeszkodzie w uzyskaniu dowodów rzeczowych.

- Podobnie jak i ja - powiedział z całym spokojem Mason. - Przyłączam się do prośby prokuratora. Proponuję, aby jeden z jego zastępców wydał oficerowi dyżurnemu polecenie natychmiastowego udania się do mojego biura.

- Czy może pan określić biurko, przy którym pracowała Mae Jordan? - zapytał miodowym głosem Hamilton Burger.

- Biurko, o które pan pyta, stało w bibliotece i nadal znajduje się w tym samym miejscu.

- W porządku. Może pan zająć się tą sprawą, panie prokuratorze. A teraz proszę przystąpić do dalszych pytań - nakazał sędzia Hartley.

Hamilton Burger podszedł do biurka, za którym siedział kancelista sądowy i wzięwszy do ręki nóż zaznaczony do identyfikacji, zwrócił

się do Mae Jordan:

- Oto sztylecik o

siedmiocentymetrowym ostrzu. Na jednej stronie jest wygrawerowane imię „David”, na drugiej inicjały „M.J.”. Czy widziała pani kiedykolwiek ten nóż?

- Tak. To jest nóż, który wysłałam oskarżonemu tego roku jako prezent gwiazdkowy na jego południowoafrykański adres. Napisałam, że może go użyć w obronie...

w obronie mojego honoru.

Mae Jordan rozplakała się.

- Nie mam więcej pytań dla świadka -

głos Hamiltona Burgera brzmiał wyjątkowo łagodnie. - A teraz pana

kolej, mecenasie - zwrócił się już innym tonem do swojego przeciwnika.

Mason czekał cierpliwie, aż Mae Jordan wytarła oczy i spojrzała na niego.

- O ile zdołałem się zorientować, jest pani bardzo szybką i dokładną maszynistką.

- Staram się pracować jak najlepiej.

- I tego popołudnia, o którym w sądzie była mowa, pracowała pani w moim biurze?

- Tak.

- Czy wie pani cokolwiek na temat kamieni szlachetnych?

- Niewiele.
  - Czy odróżniłaby pani prawdziwy brylant od imitacji?
  - Jeżeli chodzi o te, które znalazły się w moim posiadaniu, to nawet bez eksperta można było stwierdzić, że są wysokiej jakości. Kiedy tylko je zobaczyłam, od razu się zorientowałam, że to nie imitacja.
  - Czy kupiła pani te brylanty od oskarżonego?
  - Czy kupiłam je? Nie rozumiem, co pan ma na myśli.
  - Czy płaciła mu pani za nie? Czy dała mu pani jakąś rekompensatę?
  - Oczywiście, że nie - rzuciła gniewnie panna Jordan.
  - Może zapłaciła pani za te brylanty panu Irvingowi?
  - Nie.
  - A więc zdawała sobie pani sprawę, że nie należą do pani? - zapytał spokojnie Mason.
  - Dano mi je.
  - Aha. I uważała pani, że są jej własnością?
  - Byłam pewna, że wpadłam w pułapkę i że ci mężczyźni powiedzą, iż poszłam do ich biura i skradłam te brylanty. Ich słowa przeciwko moim słowom. Wiedziałam, że nie daliby mi dwóch wartościowych kamieni tylko po to, żebym nic nie mówiła na temat wymiany, listów.
  - Powiedziała pani, że dano pani te brylanty. Kto je pani dał? Jefferson czy Irving?
  - Pan Irving.
- Mason przez chwilę przyglądał się nieufnie świadkowi.
- Czy zaczęła pani korespondować z oskarżonym pod-czas jego pobytu w południowej Afryce?
  - Tak.
  - Pisała pani do niego listy miłosne?
  - To nie były listy miłosne.
  - Czy ich treść zawierała tego rodzaju zwierzenia, że wolałaby pani, żeby członkowie ławy przysięgłych ich nie widzieli?
  - To były głupie listy, panie mecenasie.

Proszę, niech pan się nie stara nadać im znaczenia, jakiego nie mają.

- Pytam panią o charakter tych listów.

- To były głupie listy - powtórzyła.

- Czy określiłaby je pani jako

„nierozważne”?

- Tak, określiłabym je jako

„nierozważne”.

- Chciała je pani odzyskać z powrotem?

- Ta cała sprawa... no... czułam się okropnie głupio.

- Tak więc chciała je pani odzyskać z powrotem? - naciskał Mason.

- Tak. Bardzo.

- I aby odzyskać te listy, była pani nawet gotowa popełnić przestępstwo?

- Chciałam je odebrać.

- Proszę odpowiedzieć na pytanie. Czy aby odzyskać te listy, była pani gotowa popełnić przestępstwo?

- Nie wiem, czy można nazwać

przestępstwem wejście do biura i odebranie rzeczy, które do mnie należały.

- Nie wiedziała pani, że użycie zapasowego klucza w celu wejścia do lokalu należącego do innej osoby, po to aby zabrać pewne rzeczy, jest aktem bezprawnym?

- Chciałam odebrać rzeczy należące do mnie.

- Wiedziała pani, że użycie zapasowego klucza jest aktem bezprawnym?

- Nie... nie zasięgałam porady adwokackiej co do moich uprawnień.

- Gdzie pani zdobyła klucz do drzwi?

- Nie powiedziałam, że miałam klucz.

- Przyznała pani, że rozmyślnie udała się do biura w czasie przerwy na obiad, ponieważ wiedziała pani, że o tej porze Jefferson i Irving będą nieobecni.

- No to co z tego? Poszłam, żeby odebrać moją własność.

- Jeżeli miała pani klucz, który otworzył drzwi ich biura, to gdzie go pani dostała?

- A gdzie normalnie dostaje się klucze?

- U ślusarza?

- Może.

- Czy kupiła pani klucz do tego biura u ślusarza?

- Nie odpowiem na żadne pytanie dotyczące kluczy.

- A jeżeli sąd nakaże pani odpowiedzieć, to co wtedy?

- Odmówię, powołując się na to, że wszelkie zeznania na temat sposobu, w jaki dostałam się do biura, mogą posłużyć jako materiał obciążający mnie, i w związku z tym nie będę musiała udzielić odpowiedzi na pytanie.

- Aha - mruknął Mason nie spuszczać oczu ze świadka. - Ale przecież przyznała już pani, że bezprawnie dostała się do tego biura.

Dlatego powoływanie się na przywileje konstytucyjne byłoby cokolwiek spóźnione.

- Jeżeli Wysoki Sąd pozwoli - wtrącił

pospiesznie Hamilton Burger - chciałbym coś powiedzieć w tej sprawie. Zastanawiałem się nad tym pytaniem. Pragnę zwrócić uwagę Wysokiego Sądu, że świadek Mae Jordan po prostu stwierdziła, iż weszła do biura w czasie nieobecności oskarżonego i jego współpracownika. Natomiast nie powiedziała, w jaki sposób tam się dostała. A więc, biorąc pod uwagę jej zeznania, drzwi mogły być nie zamknięte, jako że jest to biura, do którego w celach transakcji handlowych stale przychodzą interesanci, i w takim wypadku nie można by było określić mianem bezprawia wejścia na jego teren. W tej sytuacji, opierając się na przywilejach konstytucyjnych, świadek może odmówić złożenia zeznań co do sposobu, w jaki dostała się do biura, powołując się na to, iż tego rodzaju zeznania mogą zostać użyte przeciwko niej.

Sędzia Hartley zmarszczył czoło.

- Jak na świadka oskarżenia to raczej niezwykła sytuacja, panie prokuratorze.

- Bo to nie jest zwykła sprawa, Wysoki Sądzie.

- Czy obrońca chce zabrać głos na ten temat? - zwrócił się sędzia Hartley do Masona.

- Chciałbym zadać świadkowi jeszcze kilka pytań - uśmiechnął się Mason.

- Sprzeciwiam się wszelkim pytaniom dotyczącym tego punktu sprawy - z tonu głosu Hamiltona Burgera przebijało rozjątrzenie i lekki niepokój. - Panna Jordan zajęła zdecydowane stanowisko. obrońca nie ma odwagi zadawać świadkowi pytań związanych z faktami dotyczącymi sprawy, dlatego też ciągle rozwódzi się nad kłopotliwą sytuacją, w jakiej znalazła się ta młoda kobieta, poddając się swoim uczuciom.

Obrońca bawi się ze świadkiem jak kot z myszką, ciągle wynajdując nowe pytania, mając nadzieję iż w ten sposób nastawi sąd przysięgłych przeciwko świadkowi. Panna Jordan zajęła zdecydowane stanowisko.

Odmawia udzielenia odpowiedzi na pytania dotyczące klucza.

- Oskarżono mnie - uśmiechnął się ironicznie Mason - że przeciągam zadawanie pytań na temat jednego aspektu sprawy, usiłując w ten sposób nastawiać sąd przysięgłych przeciwko świadkowi. Nie zamierzam nastawiać ławników przeciwko komukolwiek. Chcę otrzymać informacje, których również oczekują sędziowie. Nie darłem na sobie szat, kiedy prokurator przeciągał do maksimum przesłuchiwanie świadka, pana Gilly, starając się nastawić sąd przeciwko oskarżonemu. Co dobre dla gęsi, powinno być dobre dla gąsiora.

Usta sędziego Hartleya zdrząły w ledwie powstrzymywanym uśmiechu.

- Uchylam sprzeciw. Proszę dalej pytać, mecenasie.

- Od kogo dostała pani klucz, który umożliwił pani dostanie się do biura

„Południowoafrykańskiego Towarzystwa Importu i Eksploatacji Kamieni Szlachetnych”?

- Nie odpowiem panu.

- Dlaczego nie?

- Bo odpowiedź na to pytanie mogłaby zostać użyta przeciwko mnie.

- Czy omawiała pani tę sprawę z prokuratorem okręgowym?

- Wysoki Sądzie - wtrącił energicznie Hamilton Burger - to jest wciąż ta sama zagrywka szachowa, którą obrońca tak często stosuje.

Oczywiście, że rozmawiałem ze świadkiem na ten temat. Nie wzywałbym panny Jordan na ławę świadków, gdybym nie był pewien, że jej zeznania będą istotne i odnoszące się do sprawy. A tylko osobista rozmowa mogła mnie o tym przekonać.

Mason nie spuszczał wzroku ze świadka.

- Czy omawiała pani tę sprawę z prokuratorem okręgowym? - powtórzył pytanie.

- Tak.

- A czy rozmawiała pani z nim również na temat tego, co się stanie, jeżeli w sądzie zapytają o nazwisko człowieka, który dostarczył pani klucz?

- Tak.

- I czy powiedziała mu pani, że odmówi udzielenia odpowiedzi, ponieważ odpowiedź mogłaby posłużyć do obwinienia pani?

- Tak.

- Czy pani złożyła tego rodzaju oświadczenie prokuratorowi okręgowemu, czy też on zasugerował, iż powinna pani odmówić odpowiedzi z wyżej wymienionego powodu?

- Cóż... ja... ja... znam przecież swoje prawa.

- Ale dopiero co pani stwierdziła - ciągnął

spokojnie Mason - że nie orientowała się, iż przestępstwem jest wejście do czyjegoś biura, w celu odebrania rzeczy należących do pani.

- Z punktu widzenia prawa to... może coś w tym jest. Teraz to rozumiem, biuro... lokal, który jest otwarty dla

interesantów, różni się od prywatnej rezydencji.

Ale jeśli moja własność...

Mason uśmiechnął się.

- A więc nadal zajmuje pani stanowisko, że wejście przez panią do tego biura nie było przestępstwem?

- Nie.

- Nie? A więc uważa pani, że wchodząc do biura towarzystwa popełniła pani przestępstwo?

- Rozumiem teraz, że w tych

okolicznościach... Odmawiam udzielenia odpowiedzi, powołując się na to, że mogłaby ona zostać użyta przeciwko mnie.

- Innymi słowy, pan prokurator poinformował panią, że to było przestępstwo i dlatego może pani odmówić udzielenia odpowiedzi na pewne pytania?

- Rozmawialiśmy na ten temat.



- I pan prokurator zasugerował, że w tego rodzaju okolicznościach może pani odmówić odpowiedzi na niektóre moje pytania?
  - Oświadczyłam mu, że są pewne pytania, na które nie odpowiem.
  - A on zasugerował, że może pani uchylić się od odpowiedzi na tej podstawie, iż nie można zmusić pani do oskarżenia samej siebie?
  - No... może w trochę innych słowach.
  - Kiedy pani opuścił? biuro - ciągnął
- bezkompromisowym tonem Mason - miała pani przy sobie dwa brylanty?
- Tak.
  - Ale nie należały one do pani, prawda?
  - Dano mi je.
  - Kto je pani dał?
  - Pan Irving. Powiedział, żebym je zabrała.
  - Czy powiedział dlaczego ma je pani zabrać?
  - Powiedział, żebym je zabrała i trzymała gębę na kłódkę.
  - Zabrała je pani?
  - Tak.
  - I nie puściła pani pary z ust?
  - Nie rozumiem, co pan ma na myśli.
  - Powiedziała pani komuś o tych brylantach?
  - Wtedy nie.
  - Zdawała pani sobie sprawę z ich wartości?
  - Nie jestem taka głupia, panie mecenasie.
  - Właśnie. Wiedziała pani, że to są brylanty i wiedziała pani, że przedstawiają dużą wartość.
  - Oczywiście.

- I wzięła je pani?

- Tak.

- A co pani z nimi zrobiła?

- Powiedziałam już panu, co z nimi zrobiłam. Przykleiłam je do spodu stolika pod maszynę, stojącego w pana biurze.

- Dlaczego? - głos Masona zabrzmiał

bardzo łagodnie.

- Ponieważ chciałam je gdzieś

przechować.

- Mogła pani włożyć je do torebki.

Mogła pani wsadzić je do kieszeni.

- Ja... ja nie chciałam. Nie chciałam się tłumaczyć z tego, w jaki sposób znalazły się w moim posiadaniu.

- Tłumaczyć? Komu?

- Każdemu, kto może mnie o to zapytać.

- Policji?

- Każdemu, kto może mnie o to zapytać, panie mecenasie. Zdałam sobie sprawę, że wpadłam w pułapkę i że będę oskarżona o kradzież dwóch brylantów.

- Ale przecież zostały one pani ofiarowane?

- Tak, lecz nie spodziewam się, by ktokolwiek w to uwierzył.

- W takim razie nie spodziewa się chyba pani, że teraz sąd uwierzy w pani historyjkę?

- Zgłaszam sprzeciw - warknął Hamilton Burger. - Argument sporny.

- Przyjęty - kiwnął głową sędzia Hartley.

- Czy nie jest prawdą - zapytał Mason -

że ktoś, kto dał pani klucz do biura, do którego dostała się pani nielegalnie i bezprawnie, dał

pani również paczuszkę zawierającą brylanty i polecił je podłożyć w tym właśnie biurze i w takim

miejscu, żeby przy pierwszej rewizji zostały odnalezione przez policję?

- Nie!

- Czy nie jest prawdą, że zawinięte w bibułkę brylanty przyniosła pani ze sobą do naszego budynku i że po przepakowaniu ich i ukryciu w biurze oskarżonego, nagle musiała pani szybko uciekać, bo zorientowała się, że ktoś zawiadomił policję? A następnie, już po rozpoczęciu pracy w mojej kancelarii, sprawdziła pani zawartość torebki i ku swojemu przerażeniu znalazła w niej pozostałe dwa brylanty, i w panice starała się ich pozbyć w sposób, który dokładnie nam pani opisała?

- Chwileczkę! - wrzasnął nieopanowanie Hamilton Burger. - Składam sprzeciw ze względu na to, że tego rodzaju pytania zakładają fakty, na które nie ma dowodów, że nie jest to właściwy sposób przesłuchiwanie świadka i że nie ma podstaw do założenia, iż...

- Uchylam sprzeciw - mruknął gniewnie sędzia Hartley.

- Czy nie jest prawdą - powtórzył

jeszcze raz Mason - że zrobiła pani tak, jak to właśnie opisałem?

- Absolutnie nie. Nie wzięłam ze sobą żadnych brylantów idąc do tego biura. Nie miałam ich przy sobie, kiedy tam weszłam.

- Ale nie ma pani odwagi nam

powiedzieć, kto pani lał klucz do biura towarzystwa?

- Odmawiam odpowiedzi na pytania dotyczące tego tematu.

- Dziękuję - skinął głową Mason. - Nie mam więcej pytań.

Mae Jordan, opuszczającej

ławę

świadków, towarzyszyły odrobinę może sceptyczne spojrzenia sędziów przysięgłych.

Hamilton Burger wezwał kolejnych świadków, którzy ustalili szczegóły techniczne, to jest dokładną pozycję statku w porcie w chwili kiedy Baxter skoczył z pokładu, następnie zaś przesłuchał pasażerów znajdujących się w krytycznym momencie na pokładzie oraz właściciela barki płynącej w tym czasie w pobliżu statku. Zeznający po nich eksperci policyjni orzekli, iż plamy krwi w łodzi Gilly'ego i plamy krwi na nożu są pochodzenia ludzkiego.

Mason, siedzący dotąd w milczeniu, zwrócił się z pytaniami do ostatniego świadka.

- Kiedy zostały przeprowadzone badania?

- Dziewiętnastego czerwca.

- Czyli wtedy, kiedy plamy krwi znajdowały się na wyżej wymienionych przedmiotach co najmniej już od dziesięciu dni do dwóch tygodni?

- Tak, tak sędzę.

- Na łodzi?

- Tak.

- I na nożu?

- Tak.

- Czy te plamy mogły już dawniej się tam znajdować?

- Tak.

- Powiedzmy od miesiąca?:

- Cóż, to całkiem możliwe.

- Czy tylko na podstawie oświadczenia złożonego panu przez Jacka Gilly'ego jest panu wiadomym, kiedy te

plamy krwi znalazły się na łodzi?

- Tak.

- A czy wie pan również, że Jack Gilly był skazany uprzednio za krzywoprzysięstwo?

Świadek poruszył się niespokojnie.

- Zgłaszam sprzeciw. Pytanie jest niewłaściwe, nie odnoszące się do sprawy ani nie mające żadnego znaczenia dla jej przebiegu -

zdenerwował się Hamilton Burger.

- Sprzeciw uznany - kiwnął głową sędzia Hartley. - Proszę, żeby obrońca ograniczył swoje pytania do plam krwi, sposobów

przeprowadzania badań i zawodowych kwalifikacji świadka.

- To wszystko. Nie mam już więcej pytań - powiedział Mason, a na jego wargach zaigrał uśmiech tłumionego zadowolenia.

Zeznania ostatniego świadka strony oskarżającej, Maxa Duttona, stanowiły pewnego rodzaju

niespodziankę. Dutton, który na prośbę prokuratora okręgowego przyleciał tego ranka samolotem z Brukseli, oświadczył, że zajmuje się ekspertyzą kamieni szlachetnych. Jego system polega na robieniu dokładnych modeli, co stwarza możliwość identyfikacji każdego, bardziej wartościowego kamienia szlachetnego.

Za podstawę służą dokonane przez niego mikroskopijne pomiary kątów, boków i miejsc jakichkolwiek skaz. Świadek zeznał, iż utrzymuje stały rejestr wykonanych w ten sposób modeli, bowiem pomaga mu to przy wycenach, ustalaniu wysokości odszkodowań ubezpieczeniowych oraz przy identyfikacji skradzionych kamieni.

Dutton oświadczył również, że był kiedyś zatrudniony przez Baxtera, który zlecił mu wykonanie kopii kilku większych brylantów.

Chodziło o to, by w razie potrzeby mogły być szybko rozpoznane.

Świadek próbował odtworzyć dokładnie słowa Baxtera oraz sposób, w jaki zostały mu przekazane diamenty,

lecz Perry Mason zgłosił sprzeciw, który został przez sędziego uznany. Mimo to Hamilton Burger zdołał dowieść, że brylanty dotarły do Duttona drogą pocztową, w pudełku, na którego opakowaniu wypisany był adres paryskiej filii

„Południowoafrykańskiego Towarzystwa Importu i Eksploatacji Kamieni Szlachetnych”.

Max Dutton zeznał również, że po wybraniu największych brylantów można je było bez trudności zidentyfikować. Następnie stwierdził, że zbadał zawartość paczki wręczonej mu przez policję i znalezionej, jak się zorientował, w biurze oskarżonego, i że dziesięć z tych brylantów jest identycznych z brylantami, których dokładne modele wykonał na polecenie Baxtera.

- Świadek jest do pana dyspozycji -

zwrócił się Hamilton Burger do obrońcy.

- Czy pana system identyfikacji kamieni szlachetnych uwzględnia każdy możliwy do rozpoznania znak lub rysę? - zapytał Mason.

- Tak.

- W takim razie zrobienie duplikatów nie stwarza specjalnych trudności, prawda?

- Wręcz przeciwnie. Można przyciąć kamień do odpowiednich rozmiarów, można nawet wykonać dokładnie takie same kąty i boki.

Ale skazy na kamieniu nie będą się znajdowały w odpowiednim położeniu w stosunku do kątów.

- A jeżeli uda się znaleźć kamień, który ma odpowiednią skazę, to czy jest możliwe wykonanie duplikatu?

- To jest zupełnie tak, jakby się ktoś zapytał, czy jest możliwe wykonanie duplikatu odcisków palców, zakładając, że znajdzie się osobę, która ma identyczne linie papilarne.

- Czy jest pan gotów złożyć zeznanie pod przysięgą, że pana system identyfikacji kamieni szlachetnych jest

równie dokładny jak ustalanie tożsamości ludzi na podstawie nauki o odciskach palców?

Świadek zawahał się przez chwilę, a potem rzekł:

- No... niezupełnie.

- To wszystko co chciałem wiedzieć -

oznajmił Mason z wyrazem lekkiego rozbawienia na twarzy. - Nie mam więcej pytań.

Sąd udał się na popołudniową przerwę.

Mason zbierał już swoje papiery, kiedy Walter Irving zaczął się przepychać przez tłum opuszczający salę sądową. Stanąwszy przed stolikiem adwokata uśmiechnął się dosyć potulnie.

- Myślę, że winien jestem panu przeprosiny - rzekł.

- Nic nie jest mi pan winien - odparł

zimno Mason - I chciałbym, żeby pan pamiętał, że ja również nie jestem panu nic winien.

- Wiem o tym dobrze, ale mimo to przepraszam. I chciałem jeszcze powiedzieć, że ta Mae Jordan jest bezwstydną kłamczucha.

Sądzę, że włamała się do naszego biura w celu podłożenia tych brylantów. Zresztą, bez względu na powody dla których to uczyniła, jedna rzecz jest pewna: nigdy nie miała miejsca scena, którą ona tu tak łzawo opisała. Kiedy przyszliśmy z lunchu, w biurze nie było nikogo, bo ona zrobiła już to, co chciała i prysnęła. Możemy tego dowieść i nawet ten jeden fakt wskazuje, jaka z niej bezczelna kłamczucha.

- A co więcej - perorował z przejęciem Irving - nie dałem jej żadnych brylantów. I nie powiedziałem, żeby trzymała gębę na kłódkę.

Dopiero kiedy zobaczyłem tę dziewczynę w sądzie, przypomniałem sobie, że widziałem ją na stacji. Wyszła na spotkanie Davida i próbowała się do niego przykleić. Tylko przy tych dwóch okazjach zetknąłem się z nią. Ta dziewczyna prowadzi grę o wysoką stawkę, mecenasie, i jestem przekonany, że nie robi tego na własną rękę. Coś się kryje za tym wszystkim, jakieś zbrodnicze zamysły i potężne interesy, bo nawet prokurator okręgowy został wystrychnięty na dudka.

- No właśnie - mruknął Mason. - A gdzie pan się ostatnio podziewał? - dodał

niespodziewanie.

- Byłem w Meksyku. Prawdę mówiąc, nie doceniłem pana umiejętności, ale chciałem dać panu szansę skierowania podejrzeń w moim kierunku. Może przydałoby się to na coś...

- Cóż, widocznie nie było mi to potrzebne

– rzucił chłodno Mason i po chwili dodał

znacząco: - Jeszcze nie.

Irving uśmiechnął się ironicznie.

- Tylko tak dalej, mecenasie! Nie obdarza pan mojej skromnej osoby zbytnią sympatią, prawda? Więc tym

łatwiej przyjdzie panu rzucić podejrzenie na mnie i pokręcić całą sprawę sędziom. Proszę pamiętać, że jestem

do pana dyspozycji jako podejrzany.

Mason spojrzał mu prosto w oczy.

- Niech pan nie myśli, że kiedykolwiek o tym zapomnę.

Uśmiech Irvinga był pełen zachwytu.

Jego brązowe oczy wytrzymały zimny wzrok adwokata z całkowitym spokojem. - No, teraz jest pan wściekły na mnie! Powtarzam, kiedykolwiek będę potrzebny, jestem do dyspozycji i mogę, oczywiście, dać Jeffersonowi kompletne alibi na szóstego rano. Kilka minut po siódmej zasiedliśmy razem do śniadania, w biurze byliśmy przed dziewiątą, a więc spędził ze mną cały ranek.

- A piątego wieczorem?

Irving skierował spojrzenie na czubki butów.

- No? - przynaglił go Mason.

- David gdzieś poszedł.

- Gdzie?

- Był z jakąś kobietą.

-Z kim?

Irving wzruszył ramionami.

- Widzi pan, co tu się dzieje - mruknął

Mason. - Jeżeli prokuratorowi uda się rozkręcić całą sprawę tak, że Jefferson będzie musiał przedwcześnie zeznawać, istnieje duże prawdopodobieństwo, że jego powściągliwe maniery oraz odmowa odpowiedzi na pewne pytania, wzbudzą niechęć sędziów.

- Wiem - Irving ponownie wzruszył

ramionami. - Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, jak ciężki orzech ma pan do zgryzienia.

Niech mi pan pozwoli z nim pomówić, zanim stanie przed sądem, panie mecenasie. Może mi się uda wbić mu trochę rozumu do głowy, nawet jeżeli skończy się to utratą jego przyjaźni.

Jednym słowem - chcę, żeby pan wiedział, że może pan na mnie liczyć we wszystkim.

- Yhm - pokiwał kilkakrotnie głową Mason. - Iz tego powodu wysłał pan telegram do centrali towarzystwa w Południowej Afryce?

Irving uśmiechał się nadal patrząc adwokatowi prosto w oczy.

- Co prawda to prawda.

Zaproponowałem, aby odebrali panu sprawę.

Dzisiaj wieczorem wyślę drugą depeszę, która będzie się zdecydowanie różnić od tej pierwszej.

Nie znalazł pan jeszcze Marline Chaumont?

- Nie - przyznał spokojnie Mason. Irving przestał się uśmiechać.

- Mówiłem panu, że pan jej nie znajdzie.

I tutaj przegapił pan sprawę, mecenasie. Poza tym daje pan sobie

znakomicie radę.

I ze spojrzeniem, które wydawało się nie wątpić w życzliwość słynnego obrońcy, Walter Irving odwrócił się i wolnym krokiem opuścił

salę sądową.

## **Rozdział XVI**

Po powrocie do kancelarii Mason zaczął

w zdenerwowaniu przemierzać pokój.



- Niech to diabli! - wybuchnął. -

Dlaczego Hamilton Burger zachowuje się z taką pewnością siebie?

- Wsadziłeś mu kilka bolesnych szpilek tego popołudnia - roześmiał się Drake. - Był tak wściekły, że trząsał się jak galareta.

- Tak, wiem o tym. Był zły, zirytowany, rozdrażniony, a mimo to pewny siebie. Hamilton Burger nienawidzi mnie, Paul. Z radością pokrajałby mnie w kawałki, a następnie utopił w łyżce wody. Taak, jest w tej sprawie coś, o czym nie wiemy.

- Jak myślisz Perry, na czym opierał się Burger?

- Na czym? Na niczym - burknął

gniewnie Mason. - I to właśnie mnie niepokoi.

Dlaczego jest taki pewny siebie w sprawie, której fakty równają się zeru? Jego pierwszy świadek to kobieta prowadząca awanturniczy tryb życia i dorabiająca na luksusy przemysłem. Jej partnerem jest człowiek, który zaplanował lipne samobójstwo. Znakomity pływak i cwaniak, bo pod ubraniem umieścił sobie zbiornik z powietrzem. Zrobił dokładnie to, co zaplanował: skoczył z pokładu i zniknął, ponieważ chciał, żeby ludzie uważali go za zmarłego.

- A wtedy Hamilton Burger - ciągnął

napiętym głosem Mason - sprowadza jakiegoś wyrzutka społeczeństwa, jakiś śmieć z wybrzeża.

Sprowadza człowieka, który całkiem świadomie wypożyczył łódź, wiedząc, że zostanie ona użyta do nielegalnej akcji, człowieka, który dwukrotnie był skazany, raz za kradzież, a drugi raz za krzywoprzysięstwo. Sędziowie przysięgli nie uwierzą takiemu facetowi.

- A co z tą maszynistką?- zapytała Della Street.

- To coś zupełnie innego. Wywarła pozytywne wrażenie na sędziach.

Prawdopodobnie została wynajęta do podłożenia brylantów w biurze Jeffersona. Ale sędziowie w to nie wierzą i przyjmują jej zeznanie za dobrą monetę.

- Przy takiej figurze to nic dziwnego -

mrugnął łobuzersko okiem Paul Drake. -

Dlaczego tak łagodnie się z nią obszedłeś, Peny?

- Ponieważ za każdym razem kiedy odpowiadała na pytanie, zyskiwała coraz większą sympatię przysięgłych, Spodobało im się jej zachowanie. Może pod koniec zdołałem trochę wzbudzić ich wątpliwości. Zamierzam ją ponownie przesłuchać. Ale do tego są mi potrzebne dokładne informacje

o pannie Jordan.

Wyślij swoich ludzi, Paul, niech wygrzebią najdrobniejsze szczegóły. Chcę wiedzieć o niej wszystko, przeszłość, przyjaciele i tak dalej.

Pamiętaj o jednym, że zanim ją ponownie przesłucham, muszę wiedzieć, gdzie zdobyła klucz do biura Jeffersona.

Drakę bez słowa skinął głową.

- No - zniecierpliwił się Mason - czemu nie zabierasz się do roboty, Paul?

- Pracuję, Perry. Od samego początku pracowałem - detektyw spojrzął z wyrazem lekkiego rozbawienia na słynnego obrońcę. -

Choć raz udało mi się odczytać twoje myśli. Tym razem wiedziałem, czego chcesz. W chwili kiedy ta dziewczyna opuściła podium dla świadków, moi ludzie wzięli się do roboty. Zostawiłem twój zastrzeżony numer telefonu mojej osobistej sekretarce. W każdej chwili może zadzwonić, aby przekazać nam jakieś ważne informacje.

Mason uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Przypnij sobie order zasługi, Paul. Niech to diabli, nie ma nic gorszego dla adwokata niż przesłuchiwanie

opanowanej dziewczyny, która zahipnotyzowała sędziów. Zrozum stary, nie mogę strzelać na ślepo. Następnym razem kiedy zacznę w nią celować, chcę mieć taki ładunek informacji, pod którym wreszcie się ugnie. Ale musisz jeszcze coś zrobić.

- Co?

- Znaleźć Munroe Baxtera.

- Myślisz, że on żyje?

- Coś mi się wydaje, że Walter Irving miał rację. Sądzę, że ten rzekomy brat-wariat Marline Chaumont, mimo oficjalnych dokumentów ze szpitala, może okazać się Baxterem. W imprezach, w których chodzi o tak wielką forszę, zdarzają się różne cuda. Jeżeli ten facet ze szpitala dla umysłowo chorych był takim kompletnym tumanem, to co mogło wstrzymać Marline Chaumont od zidentyfikowania go jako swojego brata, wyciągnięcia z zakładu, pozbycia się go, a następnie podstawienia na jego miejsce Munroe Baxtera? Paul, co robią twoi ludzie, żeby ją odnaleźć?

- Dzięki tobie posunęliśmy się naprzód -

przyznał Drakę. - Mam ochotę kopnąć siebie za to, że byłem takim głupcem. Miałeś rację. Trzeba było sprawdzić w agencjach wynajmu samochodów, a ja to przegapiłem. Dwie agencje mają filie na lotnisku. Do wynajęcia samochodu potrzebne jest tylko prawo jazdy. To znaczy, że musisz podać

swoje nazwisko.

- Marline Chaumont wynajęła samochód pod swoim własnym nazwiskiem?

- Otóż to. Pokazała prawo jazdy, wybrała samochód i pojechała.

- A czy był z nią jej brat?

- Wówczas nie. Udawała pasażerkę, która przed chwilą wysiadła z samolotu, i wyjechała z lotniska wraz z bratem i dwiema walizkami autokarem, który zawiózł ich do śródmieścia.

Następnie wróciła, wynajęła samochód, odebrała dwie pozostałe walizki, odjechała, zabrała brata i... pojechali!

- Gdzie?

- Ba, chciałbym i ja to wiedzieć. Mamy jednak pewną możliwość sprawdzenia tego.

Agencje zajmujące się wynajmem samochodów pobierają opłaty za każdy dzień oraz za przebytą ilość mil. Kiedy Marline Chaumont odstawiła samochód do agencji, licznik wskazywał, że przejechała nim sześćdziesiąt dwie mile.

Mason zastanowił się przez chwilę, a potem strzelił z podnieceniem palcami.

- Co znowu? - zaniepokoił się Drake.

- Udała się do jednej z pobliskich miejscowości i wynajęła tam mieszkanie. A teraz, jeżeli zechce skorzystać z innego samochodu, będzie ponownie musiała okazać swoje prawo jazdy. Obawiała się zatrzymać samochód z agencji na lotnisku, bo podejrzewała, że będziemy tam sprawdzać.

- Gdybym miał trochę oleju w głowie, to sprawdzilibyśmy w przeciągu godziny - mruknął ze skruszoną miną Drake.

- Nie łam się - krótko skwitował jego żale Mason. - A więc wynajęła samochód, lecz korzystała z niego bardzo krótko, obawiając się, że numer wozu naprowadzi nas na jej ślad i zawiadomimy policję, żeby ją zatrzymała. Potem udała się do agencji znajdującej się w jakiejś podmiejskiej dziurze i wynajęła następny samochód. Musiała to zrobić pod własnym nazwiskiem ze względu na prawo jazdy. Wyślij ludzi do wszystkich agencji samochodowych w małych miasteczkach odległych o jakieś sześćdziesiąt mil od nas.

Paul Drake wstał z krzesła i przeciągnął

się leniwie.

- Do licha, Perry, jestem zupełnie wykończony. Nie wiem, jak ty możesz znieść takie tempo. Okay, zadzwonię

do biura i pognam ich do roboty.

Podszedł do biurka, uniósł słuchawkę telefoniczną i natychmiast po wykręceniu numeru zagrzmiął:

- Hallo! Mówi Drake. Proszę zaraz wysłać kilku ludzi do okolicznych miasteczek.

Chcę,

żeby sprawdzili każdą agencję

samochodową... Chodzi o znalezienie wozu albo numeru wozu, który wynajęła Marline Chaumont...

Tak. Wszystkie. Możesz... Co?...

Poczekaj chwileczkę - zdenerwował się. - Mów powoli. Chcę dokładnie zanotować. Kto złożył

raport?... W porządku, przynieś to zaraz. Jestem w kancelarii Masona. I niech chłopcy wezmą się natychmiast do roboty.

- Perry, mamy coś - powiedział

odkładając słuchawkę.

- Co?

- Wiemy już, jakiego asa Hamilton Burger chowa

w rękawie.

- Jesteś tego pewien?

- Stuprocentowo. Jeden z policjantów zajmujących się tą sprawą szepnął znajomemu dziennikarzowi, żeby jutro przyszedł do sądu popatrzeć, jak będą ciebie rozrywać w kawałki.

Dziennikarz, stary cwaniak, wyciągnął od gliniarza, o co chodzi. A że przyjaźni się on z jednym z moich ludzi, więc uzyskaliśmy poufną informację.

- A o co chodzi? - zainteresował się Mason.

- Zaraz się dowiemy. Kazałem przynieść tutaj raport. Wiem, że sprawa dotyczy kobiety, którą David Jefferson stara się osłonić.

- Paul, nareszcie ruszyliśmy z miejsca!

Jeżeli tylko będę wiedział, jakiego rodzaju to informacja, nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia, jak Hamilton Burger zamierza ją wykorzystać. Dam sobie z nim jakoś radę.

W napięciu czekali na raport. Kiedy wreszcie rozległo się pukanie, Drake otworzył

drzwi, wziął z rąk sekretarki kopertę i zapytał:

- Czy wysłałaś już ludzi do agencji samochodowych?

- Jestem w trakcie załatwiania tego, panie Drake. David jest odpowiedzialny za całą akcję i właśnie wydaje polecenia przez telefon.

- Dobrze - Drake skinieniem głowy odesłał sekretarkę. - A teraz zajrzyjmy do środka.

Zaraz będziesz wiedział co to za niespodzianka.

Otworzył kopertę, wyciągnął arkusze cienkiego papieru i przejrzawszy je pobieżnie, gwizdnął.

- No, mów! - zdenerwował się Mason.

- Piątego czerwca w nocy Jefferson był w restauracji z jakąś kobietą. Przyjechali jej samochodem. Kiedy człowiek obsługujący parking odstawił wóz, jeden z klientów zadrapał

mu błotnik. „Parkingowy” poprosił właścicieli wozów o prawo jazdy, zanotował numery i tak dalej. Kobieta wpadła w panikę, wetknęła mu dwadzieścia dolarów i powiedziała, żeby zapomniał o tej całej historii. Oczywiście, po zerknięciu na prawo jazdy natychmiast się zorientował, dlaczego ją poniosły nerwy.

Mężatka, ot co. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że facet, który jej towarzyszył, to David Jefferson.

- Jak ona się nazywa?

- Ta kobieta? Nan Ormsby.

- Dobra - mruknął Mason. - Może mi się to przyda. To zależy od tego, jak daleko ta cała afera się posunęła.

Drake, zajęty czytaniem raportu, gwizdnął

ponownie, lecz tym razem dużo głośniej.

- Co znowu? - zniecierpliwił się Mason.

- Zaraz, poczekaj! Czy jeden z sędziów przysięgłych wyznaczonych na tę sprawę nie nazywa się Alonzo Martin Liggett?

- Tak. No i co z tego?

- To bliski przyjaciel Dana Ormsby, męża tej kobiety. Ormsby i jego żona prowadzą wspólne przedsiębiorstwo pod nazwą „Nan i Dan, kupno i sprzedaż nieruchomości”. Nan ma kłopoty z mężem i postawiła pewne warunki dotyczące rozdziału majątku, które jemu nie odpowiadają, ale jak dotąd

nie znalazł dowodów obciążających małżonkę. A jeśli w ławie przysięgłych zasiada sędzia zaprzyjaźniony z Danem Ormsby, możesz się domyślić, jaki to wywrze wpływ na przebieg sprawy.

- Wielki Boże! - zagrzmiał Mason. -

Jeżeli Hamilton Burger użyje takiego chwytu...

- Przypominam ci, że te wiadomości pochodzą z jego biura - przerwał Drake.

Mason siedział przez chwilę w głębokim zamyśleniu.

- Marnie, co? - zapytał z niepokojem Drake.

- Cóż, znakomita sytuacja dla prokuratora

- głos Masona brzmiał rzeczowo i lakonicznie. -

Jeżeli zmusi mnie do tego, abym się zgodził na przesłuchanie mojego klienta, będzie miał sprawę prawie załatwioną. Sędziom nie spodobają się pseudoangielskie maniery Jeffersona i jego snobizm. Wiesz przecież, jaki jest u nas stosunek do ludzi, którzy pod wpływem Anglików stają się bardziej angielscy niż sami wyspiarze. A Jefferson jest tego typowym przykładem. Facet przez lata kultywował te ich wszystkie manieryzmy. W dodatku Hamilton Burger zacznie mu wiercić dziurę w brzuchu - że rozbija dom, bo spędził wieczór z mężatką - a słuchać tego będzie sędzia przysięgły, przyjaciel Ormsby'ego.

- Masz jakiś sposób, żeby sobie z tym poradzić? - zagadnął podekscytowany Drake.

- Dwa sposoby, ale żaden z nich mi nie odpowiada. Mogę oprzeć obronę Jeffersona na tym, że nie mamy corpus delicti, czyli brak nam dowodu rzeczowego, i starać się, aby sprawa nie została przekazana ławie przysięgłych. Jeżeli sędzia prowadzący rozprawę nie zgodzi się na to, mogę powołać oskarżonego w charakterze świadka, lecz ograniczyć moje pytania do ustalenia,

gdzie był szóstego czerwca o piątej nad ranem i ryczeć jak ranny lew, jeżeli prokurator zapyta go, co robił nocą piątego czerwca. Skoro ja nie zadam pytania, co robił nocą piątego - tylko gdzie był szóstego rano - mogę się domagać, aby prokurator również nie pytał o noc piątego czerwca.

- Czy Jefferson będzie musiał oświadczyć, że nie popełnił zarzucanej mu zbrodni?

Mason skinął głową potakująco.

- A więc będzie logiczne, że postawią mu pytanie, gdzie znajdował się nocą piątego, wtedy kiedy łódź została wynajęta?

- Z zeznań świadków prokuratury wynika, że widziano go dopiero szóstego nad ranem, już po wynajęciu łodzi. Tyle, jak dotąd, dowiedziono.

Mamy w tej sprawie zeznania Jacka Gilly'ego.

- Chyba już pójde do biura i dopilnuję roboty. Moi chłopcy będą pracowali całą noc.

Prześpij się lepiej trochę, Perły.

Twarz Masona zdradzała jednak, że słowa przyjaciela nie dotarły do niego.

- Chcę dokładnie wszystko przemyśleć, Paul. Mam szósty zmysł, który mnie w takich wypadkach ostrzega. Zresztą, może to reakcja na zachowanie Hamiltona Burgera. Jednego jestem pewien. W tej sprawie muszę uważać na każdy krok, żeby nie wdepnąć w sam środek pułapki.

- Dobra, ty spaceruj po pokoju, a moi ludzie przespacerują się po okolicznych miasteczkach. Przy takiej współpracy istnieje możliwość, że jutro będziemy w lepszej sytuacji.

- No jasne! - Mason nawet nie zwrócił

uwagi na żartobliwe słowa Drake'a. - Burger zachowuje się jak triumfator, choć sprawa, nawet dla obiektywnego obserwatora, jest pełna dziur.

To nie siła dowodów zebranych przez prokuraturę tak go uskrzydliła, lecz słabość dowodów, którymi ja rozporządzam.

- No, ale teraz, jak już jesteś przygotowany, to chyba ci się uda ominąć pułapkę?

- Spróbuję - mruknął Mason ponuro.

## **Rozdział XVII**

Punktualnie o godzinie dziesiątej rano sędzia Hartley wznowił rozprawę.

- Mam jeszcze kilka pytań do pana Maxa Duttona - oznajmił Hamilton Burger.

- Wysoki Sądzie - zainterpelował Mason -

chciałbym złożyć wniosek. Uważam, że wniosek ten powinien być rozpatrzony pod nieobecność sędziów przysięgłych.

Sędzia Hartley zmarszczył brwi z niezadowoleniem.

- Oczekuję wniosku końcowego ze strony prokuratora. Czy nie mógłby pan trochę poczekać mecenasie? Chciałbym, aby postępowanie sądowe toczyło się szybko i sprawnie.

- Jeden z moich wniosków może zaczekać

- ustąpił częściowo Mason - drugi zaś mogę złożyć w obecności sędziów przysięgłych.

Składam wniosek o wykluczenie wszystkich zeznań Mae Jordan, ze względu na to, że nie ma w nich żadnego faktu łączącego oskarżonego choćby pośrednio z jakimkolwiek przestępstwem.

- Wysoki Sądzie - zdenerwował się prokurator - pan Dutton zaświadczy, że jeden z brylantów znalezionych pod spodem biurka w kancelarii mecenasa Masona, jest identyczny z brylantem, jaki znajdował się w kolekcji Munroe Baxtera.

- Co z tego? - zdziwił się obrońca. -

Przecież tego

rodzaju fakt nie ma żadnego związku z oskarżonym. Jefferson nie dał jej tych brylantów.

Nawet jeżeli przyjmujemy zeznania panny Jordan za dobrą monetę i założymy, że wyniosła ona owe brylanty z biura zamiast je podłożyć, prokuratura nie może winić oskarżonego za to, co uczynił Walter Irving.

- Ale zrobiono to w jego obecności -

zaprotestował Hamilton Burger - i jako część wspólnej akcji.

- Nie udowodnił pan żadnego z tych zarzutów - odparł z całym spokojem obrońca.

Sędzia Hartley pogładził się z namysłem po podbródku.

- Skłonny jestem przyjąć wniosek obrony, panie prokuratorze. Sąd dosyć długo zastanawiał się nad tym aspektem sprawy.

- Wysoki Sądzie - zaapelował z desperacją w głosie Hamilton Burger. - Sprawa, którą reprezentuję, została przed rozpoczęciem rozprawy dokładnie zbadana. Dowiodłem, że brylanty były w posiadaniu Munroe Baxtera w chwili, kiedy skoczył z pokładu, a potem odnaleziono je u oskarżonego...

- Nie odnaleziono ich u oskarżonego -

skorygował go Mason.

- W biurze, do którego on miał klucz -

warknął przez zaciśnięte zęby Hamilton Burger.

- Portier miał klucz, sprzątaczką miała klucz, Walter Irving miał klucz.

- Zgadza się - potwierdził sędzia Hartley.

- Zanim powiąże pan oskarżonego z tą sprawą, musi zostać dowiedzione, że brylanty były w jego posiadaniu. To jest zasadniczy element.

- Ale Wysoki Sądzie, przecież to już zostało udowodnione. Dwa z tych brylantów ofiarowano świadkowi, pannie Jordan, jako formę zapłaty za milczenie na



temat listów. Wykazaliśmy, że Munroe Baxter wypłynął i chwycił się liny, przywiązanej do grubego kija wędkarskiego, że oskarżony zadał mu ciosy nożem, zabrał pasek zawierający diamenty, obciążył ciało, a następnie przyholował je do miejsca, gdzie głębokość wody dawała najlepszą gwarancję zatopienia zwłok.

Sędzia Hartley potrząsnął przecząco głową.

- To jest zagadnienie odmienne od wniosku obrony o wykluczenie zeznań Mae Jordan. Jeżeli mamy jednak

dać wiarę wszystkim zeznaniom świadków oskarżenia i wszystkim wynikającym z nich konkluzjom - co jest

konieczne przy rozpatrywaniu tego rodzaju wniosku - istnieje duże prawdopodobieństwo, że jedna z tych konkluzji wystarczy do jego obalenia. Dlatego obecnie proszę o sformułowanie wniosku, ale zatrzymam sobie prawo do ostatecznej decyzji. A teraz słucham, panie prokuratorze.

Hamilton Burger wezwał ponownie Maxa Duttona na podium dla świadków. Dutton oświadczył, że jeden z brylantów, znajdujących się w wałeczku gumy przyklejonej do spodu biurka w kancelarii Masona, należy do kolekcji Baxtera.

- Nie mam pytań - rzekł obrońca, kiedy prokurator przekazał mu świadka w celu powtórnego przesłuchania.

- Postępowanie dowodowe zostało zakończone - oznajmił dramatycznym głosem Hamilton Burger.

- Wysoki Sądzie, wniosek, który chcę teraz złożyć, wymaga nieobecności sędziów przysięgłych - zwrócił się Mason do przewodniczącego obrad.

- Sędziowie przysięgli proszeni są o opuszczenie sali na piętnaście minut, w którym to czasie powinni pamiętać o przestrodze uczynionej poprzednio przez sąd.

Kiedy za ostatnim jurorem zamknęły się drzwi, sędzia Hartley skinął głową na Masona.

- Proszę o zgłoszenie wniosku - rzekł.

- Zwracam się do Wysokiego Sądu z wnioskiem o poinstruowanie przysięgłych, żeby wydali wyrok uniewinniający - powiedział

rzeczowym tonem Mason - ze względu na to, że nie wykazano niczego, co mogłoby uzasadnić wyrok skazujący; ze względu na to, że brak jest dowodów na popełnienie morderstwa; ze względu na brak corpus delicti oraz brak dowodów

świadczących o powiązaniu

oskarżonego ze sprawą.

- W tym wypadku wystąpię przeciwko obronie - oświadczył sędzia Hartley. - Nie chcę pozbawić pana mecenasa możliwości przedstawienia argumentów obrony, lecz sąd rozpatrzył to zagadnienie wnikliwie, spodziewając się, iż taki wniosek zostanie złożony. Pragnę zwrócić uwagę na fakt, że chociaż ogólnie biorąc powołanie się na corpus delicti pociąga za sobą konieczność odnalezienia zwłok, to jednak - zgodnie z prawem stanu Kalifornia - nie jest to wymagane. Corpus delicti odnosi się do aktu zbrodni, nie zaś do ciała ofiary. Corpus delicti stanowi dowód, że zbrodnia została popełniona i dopiero wówczas jest możliwe, na podstawie odpowiednich dowodów, powiązanie oskarżonego z przestępstwem.

- Corpus delicti czy też samo

przestępstwo - ciągnął z namaszczeniem sędzia Hartley - tak jak każdy fakt ustalany przez sąd, może być udowodniony zarówno na podstawie poszlakowych, jak i bezpośrednich dowodów.

Można również wyciągnąć uzasadnione konkluzje z przedstawionego faktycznego materiału dowodowego.

Otóż istnieją dowody, choć nie w pełni przekonywające, że rzekoma ofiara, Munroe Baxter, miał przy sobie pewną ilość brylantów.

Przypuszczalnie nie oddałby ich bez stoczenia walki. Następnie brylanty te zostały odnalezione w okolicznościach, które co najmniej pozwalają na wyciągnięcie wniosku, iż znajdowały się we władaniu i w posiadaniu oskarżonego.

Jednym z najmocniejszych dowodów w tej sprawie jest nóż poplamiony krwią, odnaleziony w łodzi. Przyznaję szczerze, że gdybym był

sędzią przysięgłym, zeznania świadka Gilly'ego nie wywarłyby na mnie specjalnego wrażenia.

Niemniej jednak, człowiek mający na swoim koncie wyroki sądowe, jeden za kradzież, a drugi za krzywoprzysięstwo, mógł tym razem mówić prawdę.

Głos sędziego Hartleya przybrał na sile.

- Mamy w naszym stanie orzeczenie w sprawie wytoczonej z oskarżenia publicznego przeciwko Cullenowi,

figurującej w aktach pod pozycją 37 Kalifornia II, 614, 234 Pacyfik II, głoszące, że do wydania wyroku skazującego za popełnienie zabójstwa nie jest konieczne odnalezienie zwłok ofiary.

Do najbardziej interesujących spraw rozpatrywanych przez trybunał jakiegokolwiek kraju zaliczyć można casus „Król contra James Comb”. Proces oczywiście toczył się w Wielkiej Brytanii, pod przewodnictwem Lorda Przewodniczącego Sądu Najwyższego, zaś wyrok zapadł w poniedziałek 26 kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku. Mówię o słynnej sprawie „Durban Castle”. James Comb, zatrudniony jako steward na tym statku, wszedł

do kabiny młodej kobiety - co zostało stwierdzone. Pasażerka zniknęła i nigdy już jej nie zobaczono.

Nie było dowodów na istnienie Corpus delicti, poza poszlakowymi, opartymi na zeznaniach samego oskarżonego, który przyznał, iż wypchnął ciało przez iluminator, lecz jak twierdził, kobieta była już w tym czasie martwa, że zmarła śmiercią naturalną, a on jedynie pozbył

się w ten sposób ciała.

- W sprawie, która toczy się obecnie, nie mamy oczywiście przyznania się tego rodzaju' -

kończył swoje wywody sędzieja Hartley. - Ale mamy zeznania świadka potwierdzające, że oskarżony siedział w łodzi; że jakiś duży obiekt, za wielki w normalnych warunkach na rybę, uczepił się grubej liny od wędki, którą oskarżony wysunął za burtę; że oskarżony czy też jego towarzysz pochyłili się nad owym obiektem i zadali kilka ciosów nożem. Krótco po tych wydarzeniach odnaleziono w łodzi nóż pokryty ludzką krwią. Nóż ten jest własnością oskarżonego. Uważam, że w tej sytuacji istnieje dostateczna ilość dowodów, dla których obrona będzie musiała uznać w pełni oskarżenie, i jeżeli sąd przysięgłych wyda na podstawie dostępnych materiałów dowodowych wyrok skazujący, będzie to wyrok uzasadniony. Hamilton Burger uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Jestem pewien, że jeżeli sąd okaże nam cierpliwość, to zdołamy dowieść, że oskarżenie o zabójstwo zostało

wystarczająco uzasadnione.

Sędzia Hartley marszcząc czoło spoglądał

przez chwilę podejrzliwie na prokuratora okręgowego, wreszcie powiedział mrukliwym głosem:

- Dobrze. Proszę wezwać sędziów przysięgłych. Mason odwrócił się do swojego klienta.

- Stało się, Jefferson. Będzie pan musiał

zeznawać. Jestem pana adwokatem i nie uważałem

pan za stosowne

obdarzyć mnie swoim zaufaniem. Postawił mnie pan w sytuacji, która zmusza mnie do podjęcia obrony z minimalną pomocą z pana strony.

Myślę, że mogę dowieść, iż świadek Mae Jordan kłamała, zeznając, że wszedł pan do biura, kiedy ona jeszcze tam była. Właścicielka trafiki znajdującej się w holu naszego budynku zaświadczy, że pan i jego kolega przyszli dopiero wtedy, kiedy administrator stał już na dole, przy windach. Myślę, że jeżeli raz potrafimy dowieść jej kłamstwa, możemy zarazem dowieść, że całość jej zeznań nie zasługuje na zaufanie.

Ale ta młoda kobieta wywarła na sędziach bardzo dodat-1 nie wrażenie. Jefferson zimno skinął głową.

- Jestem gotowy - powiedział oficjalnym tonem.

- Pozostało jeszcze tylko kilka sekund -

Mason nie spuszczał oczu ze swojego klienta. -

Czy powie mi pan to, co powinienem wiedzieć?

- Oczywiście - zgodził się natychmiast Jefferson. - Jestem niewinny. To jest wszystko, co pan potrzebuje wiedzieć.

- Dlaczego, do diabła, nie chce mi pan zaufać? *m* zirytował się Mason.

- Ponieważ są pewne sprawy, o których nikomu nie powiem.

- Jeżeli to pana interesuje, to wiem, gdzie pan był w nocy piątego czerwca, a co więcej, prokurator okręgowy wie o tym również.

David Jefferson zeszywniał i dopiero po chwili, odwróciwszy twarz, powiedział

obojętnym tonem:

- Nie będę odpowiadał na pytania dotyczące nocy piątego czerwca.

- Nie, oczywiście, że nie, ponieważ ja nie zadam panu pytań na ten temat podczas bezpośredniego przesłuchania. Ale proszę pamiętać jedno: zapytam, gdzie się pan znajdował wczesnym rankiem dnia szóstego czerwca. I niech pan diabelnie uważa, żeby odpowiedź nie przekroczyła limitu czasu, który ustaliłem. Drobną nieostrożnością, a prokurator rozerwie pana na strzępy. Postaram się, żeby przesłuchanie trwało bardzo, ale to bardzo krótko.

- Rozumiem.

- Będzie to gest dobrej woli z naszej strony.

- Tak, rozumiem.

Sędziowie przysięgli wrócili na salę i po paru sekundach każdy z nich siedział już na poprzednio zajmowanym miejscu.

- Czy jest pan przygotowany do obrony?

- zwrócił się sędzia Hartley do Masona.

- Tak jest. Nie będę zajmował czasu Wysokiemu Sądowi oraz sędziom przysięgłym wstępnym oświadczeniem. Zamierzam rozerwać sieć kłamstw i bezpodstawnych insynuacji.

Moim pierwszym świadkiem jest pani Ann Riddle.

Ann Riddle, wysoka blondynka o

niebieskich oczach, weszła na podium dla świadków.

- Czy pamięta pani wydarzenia, jakie zaszły czternastego czerwca bieżącego roku?

- Tak.

- Gdzie pani była tego dnia?

- W trafice znajdującej się w budynku, w którym pan ma swoją kancelarię.

- W budynku, w którym również

mieszczą się biura „Południowoafrykańskiego Towarzystwa Importu i Eksploatacji Kamieni Szlachetnych”?

- Tak.

- Pracuje pani w trafice znajdującej się w tym budynku?

- Tak.

- Czy zauważyła pani dnia czternastego czerwca administratora domu w towarzystwie młodej kobiety przy windach na parterze?

- Tak.

- Czy widziała pani w tym czasie oskarżonego?

- Tak. Oskarżony i pan Irving, jego współpracownik, wrócili właśnie z lunchu. Oni...

- Chwileczkę - przerwał jej Mason. -

Pani nie ma dowodów na to, że oni wrócili z lunchu.

- Nie, nie mam.

- W porządku. Proszę ograniczyć swoje zeznania do tego, co pani sama zaobserwowała.

- No, weszli do budynku. Administrator stał na dole. Jeden z mężczyzn - myślę, że to był

pan Irving, ale nie jestem stuprocentowo pewna -

zrobił kilka kroków w jego kierunku, a kiedy zobaczył, że administrator jest zajęty czymś innym, zawrócił. Obaj mężczyźni wsiedli do windy.

- Czy to wydarzenie miało miejsce już po alarmie spowodowanym włamaniem?

- Tak.

- Przekazuję panu świadka - zwrócił się Mason do prokuratora.

Hamilton Burger wyszczerzył zęby w ironicznym uśmiechu.

- Nie mam pytań.

- Wzywam na podium oskarżonego Davida Jeffersona.

David Jefferson, zimny i opanowany, wstał z krzesła i powoli wszedł na podium dla świadków. W pierwszej chwili nie spojrział nawet na sędziów, lecz kiedy łaskawie zdecydował się udzielić im trochę uwagi, uczynił to w sposób sugerujący wyższość, a nawet lekceważenie.

- Przeklęty głupiec - mruknął Mason pod nosem. Hamilton Burger przechylił się w krzesło obrotowym,

splótł palce na tyle głowy, mrugnął do jednego ze swoich zastępców i szeroki uśmiech rozjaśnił jego zimną zazwyczaj twarz.

- Czy zabił pan Munroe Baxtera? -

zapytał Mason oskarżonego.

- Nie.

- Czy wiedział pan, że brylanty z kolekcji Baxtera znajdowały się w pana biurze?

- Nie.

- Gdzie pan był wczesnym rankiem szóstego czerwca? Zaraz sprecyzuję to pytanie: gdzie pan był od drugiej w nocy szóstego czerwca do południa tego samego dnia?

- W tym czasie znajdowałem się w moim mieszkaniu. Spałem. Obudziłem się kilka minut po siódmej. Następnie zjadłem śniadanie w towarzystwie mojego współpracownika, Waltera Irvinga. Po śniadaniu poszliśmy do biura.

- Może pan zadawać pytania - warknął

Mason do oskarżyciela.

- Będę się streszczał - powiedział

falszywie łagodnym głosem Hamilton Burger. -

Mam tylko kilka pytań, panie Jefferson. Czy b y ł p a n kiedykolwiek karany sądownie?

- Ja... - przez chwilę wydawało się, że Jefferson zemdleje.

- Czy był pan kiedyś karany? - grzmiał

prokurator.

- Zrobiłem jeden błąd w moim życiu -

przyznał cicho Jefferson. - Próbowałem go odrobić. Myślałem, że mi się udało.

- Tak pan myślał? - podchwycił

wzgardliwym tonem Hamilton Burger. - A gdzie pan został skazany?

- W Nowym Yorku.

- Odsiadywał pan karę więzienia w Sing Singu?

- Tak.

- Pod nazwiskiem Davida Jeffersona?

- Nie.

- Pod jakim nazwiskiem?

- James Kincaid.

- Właśnie. I został pan skazany za kradzież przy pomocy fortelu i oszustwa?

- Tak.

- Pozował pan na angielskiego

spadkobiercę, prawda? I twierdził pan...

- Zgłaszam sprzeciw. Oskarżyciel nie ma prawa rozszerzać aktu przyznania się do winy.

- Sprzeciw przyjęty.

- Swojego czasu był pan znany w świecie przestępczym pod pseudonimem

„Dżentelmen Jim”. Zgadza się?

- Sprzeciw.

- Przyjęty.

Hamilton Burger wzruszył lekceważąco ramionami.

- Nie zadam już więcej pytań.

Oskarżony, opuszczając podium dla świadków, zataczał się jak ślepiec. Zaciśnięte mocno usta Masona tworzyły białą linię.

- Świadek Walter Irving proszony o zajęcie miejsca - powiedział zimnym głosem po kilku sekundach ciszy.

- Walter Irving! - wywołał głośno woźny sądowy. Kiedy nikt się nie zgłosił, zaczęto nawoływać po korytarzach.

Paul Drake przepchnął się do przodu i skinął głową na adwokata.

- On nawiał, Perry. Siedział blisko drzwi i prysnął w chwili, kiedy usłyszał, że Burger pyta Jeffersona o przeszłość. Na Boga! Co za historia! Co za parszywa historia!

- Wygląda na to, że pan Irving jest nieobecny - ocenił sytuację sędzia Hartley. - Czy doręczono mi wezwanie sądowe, panie mecenasie?

- Tak jest, Wysoki Sądzie.

- Czy życzy pan sobie, aby wydany zo”„,

ał nakaz aresztowania?

- Nie, Wysoki Sądzie. Może pan Irving miał powody, dla których opuścił rozprawę.

- Myślę, że miał - palnął z sarkazmem prokurator.

- To jest świadek obrony. Rezygnujemy z niego - odparł z całym spokojem Mason.

Z głosu Hamiltona Burgera przebijał

triumf, nad którym z trudem panował.

-Dla zbicia dowodów obrony wystarczy mi tylko trzech świadków. Wzywam panią Agnes Elmer.

Pani Agnes Elmer podała nazwisko i adres, dodając, że zajmuje się administracją domu, w którym oskarżony wynajął mieszkanie po przyjeździe do miasta.

- Chciałbym skierować pani uwagę na wczesny ranek dnia szóstego czerwca. Czy nie orientuje się pani - pytał na pozór obojętnym tonem prokurator - czy w tym czasie David Jefferson znajdował się w swoim mieszkaniu?

- Oczywiście, że się orientuję.

- Czy był w swoim mieszkaniu?

- Nie, nie był.



- Czy łóżko było rozesłane?

- Nie. Zasłane.

- Świadek jest do pana dyspozycji -

mruknął ironicznie oskarżyciel do obrońcy.

Mason, zorientowawszy się, że krótkie, bezpośrednie pytania miały służyć jako przynęta w celu wciągnięcia go do pułapki, której nie udałoby mu się uniknąć przy przesłuchaniu, powoli, z pozornym znużeniem wyprostował

ramiona.

- W jaki sposób ustaliła pani tak dokładną datę? - zapytał obojętnym tonem.

- Piątego czerwca, krótko przed północą, ktoś zatelefonował - wyjaśniła pani Elmer. - To był kobiecy głos. Powiedziała mi, że musi się porozumieć z panem Jeffersonem. Powiedziała, że pan Jefferson wpakował ją...

- Chwileczkę - przerwał Mason. -

Wysoki Sądzie, sprzeciwiam się powtarzaniu przez świadka rozmów, które miały miejsce pod nieobecność oskarżonego.

- Wysoki Sądzie - zniecierpliwił się Burger. - Przecież to jest zgodne z procedurą!

Obrońca sam zadał pytanie. Zapytał, w jaki sposób zdołała ustalić datę.

Świadek

odpowiedział na pytanie.

Sędzia Hartley przymrużył lekko oczy.

- Może w tym i znalazłby się jakiś techniczny punkt na pana korzyść, prokuratorze, lecz to jest sąd, w którym wymierza się sprawiedliwość, nie zaś miejsce na prawne utarczki słowne. Sposób, w jaki pan przesłuchuje, świadczy o tym, że z całym rozmysłem przygotował pan pułapkę dla obrońcy. Sprzeciw przyjęty. Proszę uzasadnić oskarżenie opierając się na zeznaniach własnych świadków.

- A teraz sąd ma pytanie dla świadka. Czy jest jakiś inny sposób, w który mogłaby pani, w oparciu o własną działalność, ustalić dokładnie datę?

- Wiem, że to było szóstego, bo tego dnia poszłam do dentysty. Miałam straszny ból zęba i przez całą noc nie mogłam usnąć.

- A skąd pani wie, że to właśnie szóstego poszła pani do dentysty? - podchwycił Mason.

- Z książki wizyt u dentysty.

- A więc opiera się pani nie na własnej pamięci, podając datę wizyty u dentysty, lecz na dacie wpisanej do rejestru?

- Tak, właściwie tak.

- A data wyciągnięta z rejestru nie została wpisana przez panią. Innymi słowy, dla odświeżenia pamięci, posłużyła się pani rozmową z dentystą?

- No, spytałam go o datę mojej ostatniej wizyty, a on zajrzał do rejestru i powiedział mi.

- Właśnie - pokiwał głową Mason. - Ale nie jest pani wiadomym na podstawie własnych obserwacji, w jakim stanie utrzymywane są te rejestry.

- Przypuszczam, że są utrzymywane w...

Mason uśmiechnął się chłodno.

- Ale wracając do daty, to czy poza tym, że była to noc, kiedy bolał panią ząb, nie pamięta pani niczego konkretnego?

- Gdyby pana tak bolał ząb...

- Pytam, czy przy ustalaniu daty opiera się pani wyłącznie na tym, że była to noc, kiedy bolał panią ząb?

- Tak.

- I na prośbę prokuratora okręgowego starała się pani sprawdzić datę?

- Tak.

- Kiedy prokurator o to panią poprosił?

- Nie pamiętam. Gdzieś pod koniec miesiąca.

- Czy poszła pani do gabinetu dentysty, czy zatelefonowała pani do niego?

- Zatelefonowałam.

- I zapytała pani o datę swojej ostatniej wizyty?

- Tak.

- A bez tego nie byłaby pani w stanie powiedzieć, czy to był szósty, siódmy czy ósmy?

- Chyba nie.

- Tak więc odświeżyła pani swoją pamięć opierając się na informacjach udzielonych przez drugą osobę. Innymi słowy, zeznania dotyczące daty, oparte są wyłącznie na tym, co pani powiedziano?

- Wysoki Sądzie - obruszył się Hamilton Burger. - Wydaje mi się, że świadek ma prawo odświeżyć swoją pamięć...

Sędzia Hartley zaprzeczył ruchem głowy.

- Świadek zeznała, że nie pamięta daty, o ile nie powiąże jej z innymi okolicznościami, a te inne okoliczności, które posłużyły świadkowi dla odświeżenia pamięci, zależne są od niezaprzysiężonych zeznań drugiej osoby. Bez wątpliwości, panie prokuratorze, są to zeznania oparte na szczegółach znanych ze słyszenia.

Hamilton Burger skłonił się lekko.

- Tak jest, Wysoki Sądzie.

- To wszystko - oświadczył Mason.

- Świadek Josefina Carter - wywołał

oskarżyciel. Josefina Carter, po złożeniu przysięgi, zeznała, że jest telefonistką w centrali domu, w którym oskarżony ma i swoje mieszkanie, że miała dyżur od godziny dziesiątej wieczorem piątego czerwca do godziny szóstej nad ranem szóstego czerwca.

- Czy tej nocy łączyła pani kogoś telefonicznie z oskarżonym?

- Tak.

- Kiedy?

- Krótco przed północą. Powiedziano mi, że to jest bardzo pilne i ja...

- Nieważne co pani powiedziano. Co pani zrobiła?

- Połączyłam się z mieszkaniem pana Jeffersona.

- Dostała pani odpowiedź?

- Nie. Osoba, która dzwoniła, zostawiła wiadomość i prosiła, żebym nadal próbowała połączyć się z panem Jeffersonem i przekazała mu wiadomość, jak tylko się zgłosi.

- Jak często pani telefonowała?

- Co godzinę.

- I tak do rana?

- Do szóstej nad ranem, kiedy skończyłam dyżur.
- Czy otrzymała pani choć raz odpowiedź?
- Nie.
- Czy z pani miejsca przy centralce widać korytarz?
- Tak, aż do wind.
- A patrzyła pani w tamtym kierunku, żeby sprawdzić, czy oskarżony powrócił?
- Tak. Patrzyłam, bo chciałam go zawołać, jak tylko wejdzie.
- I nie przyszedł w czasie pani dyżuru?
- Nie.
- Jest pani pewna?
- Tak, stuprocentowo.
- Może pan pytać - mruknął  
opryskliwym głosem prokurator.
- Skąd pani wie, że telefon dzwonił? -  
zapytał z czarującym uśmiechem Mason.
- Wcisnęłam przełącznik.
- Telefony psują się od czasu do czasu, prawda?
- Tak.
- Czy jest w centrali jakiś sygnał  
kontrolny, który automatycznie informuje, że telefon dzwoni?
- Kiedy telefon dzwoni, to słychać osobliwy dźwięk, rodzaj brzęczenia.
- A kiedy telefon nie dzwoni też słychać brzęczenie?
- Nie... nie przydarzyło mi się to jeszcze.
- Czy wie pani, na podstawie własnego doświadczenia, że telefon nie wydaje tego brzęczącego  
sygnału, kiedy nie dzwoni?

- Ta centralka jest tak urządzona.
- Pytam, czy wie pani o tym na podstawie własnego doświadczenia?
- Nigdy nie byłam w tym samym czasie w mieszkaniu, w którym telefon nie dzwonił, a zarazem w centralce na dole próbując się połączyć z tym właśnie numerem, panie mecenasie.
- O to chodzi. To właśnie chciałem podkreślić, panno Carter. Nie mam więcej pytań.
- Chwileczkę - zatrzymał ją oskarżyciel.
- Chciałbym zadać jeszcze kilka pytań świadkowi. Czy patrząc na korytarz, w oczekiwaniu na nadejście Jeffersona, widziała pani osoby wchodzące i opuszczające budynek?
- Tak.
- Czy pani biurko jest tak ustawione, że mogłaby pani zobaczyć wchodzącego Jeffersona?
- Tak. Każdy, kto wchodzi do naszego domu, musi przejść przez korytarz, który jest odgradzony od centralki szklaną ścianą..
- To wszystko - uśmiechnął się z zadowoleniem Hamilton Burger.
- Chciałbym również zadać świadkowi jeszcze kilka pytań - oznajmił Mason. - Nie będę pani długo zatrzymywał, panno Carter. Z pani zeznań wynika, że za każdym razem, kiedy ktoś wchodził na korytarz, patrzyła pani, żeby sprawdzić, czy to nie jest oskarżony.
- Tak.
- I gdyby przyszedł mogłaby go pani zobaczyć?
- Tak. Bardzo łatwo. Z mojego miejsca przy centralce widać wszystko, co się dzieje na korytarzu.
- A więc oświadcza pani wobec przewodniczącego sądu i sędziów przysięgłych, że oskarżony nie wrócił do domu w czasie pełnienia przez panią dyżuru?
- No, w każdym razie nie wrócił od mojego pierwszego telefonu pod jego numer aż do ostatniego, a przestałam dzwonić o szóstej nad ranem, kiedy zesłam z dyżuru.
- O której godzinie zadzwoniła pani po raz pierwszy?
- Przed północą, może o godzinie jedenastej albo trochę później.
- A potem?
- Potem, aż do godziny pierwszej telefonowałam jeszcze dwu - czy trzykrotnie, a od pierwszej w

nocy co godzinę.

- Krótkie sygnały telefoniczne, czy...

- Nie, za każdym razem długie sygnały, wielokrotnie powtarzane.

- I po tym pierwszym telefonie po północy była pani przekonana, że oskarżonego nie ma w domu?

- Tak.

- A ponieważ obserwowwała pani

korytarz, była pani pewna, że nie mógł wejść do budynku i udać się do swojego mieszkania bez zwrócenia na siebie pani uwagi?

- Tak.

- Dlaczego więc, mając pewność, że Jeffersona nie ma w mieszkaniu i że nie wszedł do budynku, dzwoniła pani do niego co godzinę?

Panna” Carter spojrzała na adwokata, zaczęła coś mówić, przerwała i zmrużywszy oczy wyjąkała:

- Dlatego... bo... ja... nie wiem. Po prostu robiłam to.

- Innymi słowy - podchwycił Mason -

myślała pani, że istnieje możliwość, iż oskarżony dostał się do domu, a pani go nie zauważyła?

- No cóż, oczywiście, taka możliwość istnieje.

- A więc myliła się pani twierdząc w odpowiedzi na pytanie prokuratora, że oskarżony nie mógł się dostać do domu bez zwrócenia na siebie pani uwagi?

- Ja... no... ja... rozmawiałam na ten temat z prokuratorem okręgowym i... myślałam, że tak powinnam powiedzieć.

- Właśnie. Zupełnie jasne - uśmiechnął

się szeroko Mason. - Dziękuję pani.

Josephine Carter spojrzała na Hamiltona Burgera, chcąc się upewnić, czy z jego strony oczekują ją również jakieś pytania, lecz prokurator pozorował głębokie zainteresowanie stertą dokumentów leżących przed nim.

- To wszystko - mruknął po kilku sekundach niezbyt uprzejmym tonem.

Josephine Carter opuściła podium dla świadków.

- Moim następnym świadkiem jest Ruth Dickey - oznajmił sucho Burger.

Ruth Dickey, po złożeniu przysięgi, oświadczyła, że pracuje jako windziarka w budynku, w którym mieszczą się biura

„Południowoafrykańskiego Towarzystwa Importu i Eksploatacji Kamieni Szlachetnych”

oraz że czternastego czerwca pełniła przez cały dzień dyżur.

- Czy tego dnia, tak trochę po dwunastej, widziała pani oskarżonego, Davida Jeffersona?

- Tak.

- Kiedy?

- Jakies dziesięć minut po dwunastej, on i pan Irving, jego współpracownik, zjechali ze mną windą. Oskarżony powiedział, że idzie na lunch.

- Kiedy wrócili z powrotem?

- Kilka minut przed pierwszą i ja zawiozłam ich na górę.

- Czy tego dnia wydarzyło się coś niezwykłego?

- Tak.

- Co?

- Administrator i jedna ze stenografek wsiedli do mojej windy i administrator kazał mi zjechać bez zatrzymania na sam parter, bo coś się stało.

- Czy to wydarzenie miało miejsce przed, czy po zawiezieniu przez panią oskarżonego wraz z Irvingiem na górę?

- Po.

- Jest pani pewna?

- Tak.

~ Jak długo potem?

- Co najmniej pięć minut.

- Czy zna pani dobrze oskarżonego?

- Rozmawiałam z nim kilka razy.
- Czy spędziła pani jakiś wieczór w jego towarzystwie?
- Tak - szepnęła spuszczać oczy.
- Czy oskarżony wspomniał pani o stosunkach łączących go z młodą kobietą, właścicielką trafiki, Annę Ridle?
- Tak. Powiedział, że on i jego wspólnik załatwili jej to stoisko i że ona obserwuje i zawiadamia ich o wszystkim, co się dzieje, ale nikt o tym nie wie. A potem dodał, że jeżeli będę dla niego miła, to mógłby i dla mnie coś zrobić.
- Może pan pytać - oskarżyciel przekazał świadka obrońcy.
- Chyba nieraz zdarza się pani spędzać wieczory w towarzystwie młodych ludzi?
- Tak, oczywiście.
- I chyba nieraz przyrzekają pani złote góry, o ile tylko będzie pani dla nich miła?

Ruth Dickey roześmiała się serdecznie.

- Jeszcze jak. Zdziwiłby się pan, gdyby usłyszał, co niektórzy z nich wygadują.
- Na pewno bym się zdziwił - odparł z błyskiem w oczach Mason. - Dziękuję, panno Dickey.

Hamilton Burger wstał z krzesła i wyprostowawszy się godnie oznajmił z namaszczeniem:

- Zakończyliśmy odpowiedź na wywody strony przeciwnej.
- Zwyczaj nakazuje zrobienie przerwy przed wygłoszeniem przemówień, lecz bardzo chciałbym zakończyć dzisiaj tę sprawę -

zaapelował do obu prawników sędzia Hartley. -

Jeżeli więc nie ma powodu do zgłoszenia wniosku o kontynuację rozprawy, to uważam, że możemy jeszcze przed przerwą rozpocząć przemówienia końcowe.

Mason, zacisnąwszy twardo usta, skinął głową.

- Nie mam nic przeciwko temu - odparł.
- Doskonale. Panie prokuratorze, proszę rozpocząć swoje przemówienie.



## Rozdział XVIII

Przemówienie oskarżyciela trwało stosunkowo krótko. Zakończył je w niecałą godzinę po wznowieniu rozprawy. Było to arcydzieło, składające się z sądowej elokwencji, dzikiego wprost triumfu i mściwego ataku na oskarżonego, co rzutowało, oczywiście, na jego obrońcę.

Następnie przemawiał Mason,

podkreślając, iż jego klienta atakowali krzywoprzysięzcy i wyrzutki społeczeństwa i nikt właściwie nie był w stanie dowieść, że Munroe Baxter został zamordowany. W każdej chwili może się okazać, że Munroe Baxter żyje, co zresztą wcale nie byłoby sprzeczne z zeznaniami świadków.

W przemówieniu zamykającym sesję oskarżyciel położył główny nacisk na to, że sąd powinien pouczyć przysięgłych, iż corpus delicti może być dowiedziony zarówno na podstawie poszlakowych, jak i bezpośrednich dowodów.

Tym razem jego mowa trwała tylko piętnaście minut.

Po odczytaniu przez przewodniczącego sądu odpowiednich instrukcji, jurorzy udali się na naradę.

Mason, którego twarz przybrała zimny i twardy wyraz, w zamyśleniu przemierzał wąskie przejście dzielące publiczność od trybunału. Della Street, siedząca przy stoliku obrońcy, przyglądała mu się z cichym współczuciem. Paul Drake, po raz pierwszy zbyt przygnębiony, by pamiętać o jedzeniu, zakrył twarz rękami.

Adwokat zatrzymał się, spojrzął na zegar i westchnąwszy, ze znużeniem opadł na krzesło.

- Są jakieś szanse, Perry? - zagadnął go nerwowo detektyw. Mason potrząsnął głową.

- Nie z takimi dowodami. Mój klient jest ugotowany.

Znalazłeś coś w agencjach

samochodowych?

- Nic, Peny, absolutnie nic. Wysłałem ludzi do wszystkich agencji samochodowych w mieście i pobliskich

miasteczek, w których mają filie.

Mason zastanowił się przez chwilę.

- A co z Walterem Irvingiem?

- Irving dał nogę. Opuścił salę sądową, wskoczył do taksówki i zniknął. Tym razem moi agenci domyślili się, co zamierza zrobić i nie spuszczały go z oka. Ale w przeciągu godziny pozbył się ich. To była pora szalonego ruchu.

- Jak on to zrobił?

- Bardzo prosto - syknął Drake jadowitym tonem. - Prawdopodobnie była to część wcześniej obmyślnego planu. Wynajęty helikopter czekał na niego na jednym z okolicznych lotnisk. Podjechał tam taksówką, wsiadł w helikopter i odleciał.

- Czy nie możesz sprawdzić, co się stało? Chyba prowadzą jakiś rejestr lotów czy...

- Och, dobrze wiemy, co się stało. Przy załatwianiu formalności podał, że chce, aby go odstawiono na lotnisko międzynarodowe. W

połowie drogi zmienił plan i kazał się wysadzić na lotnisku w Santa Monica. A tam już na niego czekał wynajęty samochód.

- Prysnał?

- Zupełnie jakby się zapadł pod ziemię.

Prawdopodobnie niedługo natrafimy na jego ślad, ale nie będzie to łatwe, no i w tym czasie niewiele już nam to pomoże.

Mason, który po ostatnich słowach przyjaciela zamyślił się głęboko, nagle strzelił palcami.

- Paul, przeoczyliśmy coś!

- Co?

- Osoba wynajmująca samochód musi okazać prawo jazdy, tak?

- Jasne, że tak.

- Szukaliście samochodu wynajętego na nazwisko

Marline Chaumont?

- Oczywiście.

- Dobra. Zadzwoń do twojego biura. Każ ludziom szukać agencji, która wynajęła samochód na nazwisko Waltera Irvinga. Niech dokładnie wszystko sprawdzą. Chcę mieć tę informację i chcę mieć ją zaraz, bez żadnej zwłoki.

Drake, zadowolony, że może wreszcie wyrwać się z przygnębiającej atmosfery sali sądowej, zerwał się na równe nogi.

- Okay, Perry, już się robi.

Kilka minut przed piątą rozległ się dzwonek, sygnalizujący, że werdykt został

uzgodniony. Sędziowie przysięgli wkroczyli na salę i przewodniczący odczytał orzeczenie.

- My, sędziowie przysięgli wyznaczeni do rozpatrzenia powyższej sprawy, uznajemy oskarżonego winnym

morderstwa pierwszego stopnia.

Do werdyktu nie zostało dodane zalecenie dożywotniej kary więzienia czy też łagodnego wymiaru kary. Sędzia Hartley spojrzał

współczująco na obrońcę.

- Czy przedstawiciele obu stron zgadzają się na wyznaczenie przez sąd terminu ogłoszenia wyroku? - zapytał.

- Odpowiada mi jak najwcześniejsza data, ponieważ zamierzam złożyć wniosek o nowy proces - rzucił z kamiennym wyrazem twarzy Mason. - Zakładam, że piątek będzie odpowiednim dniem zarówno dla sądu jak i dla obrony.

- Co na to prokurator? - zapytał Hartley. -

Czy piątek panom odpowiada?

Zastępca prokuratora okręgowego, siedzący przy stoliku oskarżyciela, odparł z widocznym ociąganiem:

- Cóż, Wysoki Sądzie. Wydaje mi się, że piątek nam odpowiada. Pan Burger jest w tej chwili na konferencji z dziennikarzami. On...

- Zlecił panu reprezentowanie biura prokuratora okręgowego, tak? - zniecierpliwił się sędzia.

- Tak, Wysoki Sądzie.

- To proszę je reprezentować. Czy piątek panom odpowiada?

- Tak, Wysoki Sądzie.

- Piątek o godzinie dziesiątej rano -

oznajmił oficjalnym tonem przewodniczący sądu.

- Do tego czasu ogłaszam przerwę w obradach.

Oskarżony pozostanie w areszcie.

Reporterzy, otaczający tłumnie pod koniec każdego procesu słynnego obrońcę, tym razem zamknęli

się z Hamiltonem Burgerem. Kilka osób, zainteresowanych przebiegiem rozprawy, po ogłoszeniu werdyktu spiesznie opuściło gmach sądowy udając się do domów. Mason chwycił

teczkę, a Della Street wsunawszy mu rękę pod ramię, zacisnęła palce czułym, uspokajającym gestem.

- Ostrzegałeś go, szefie. Nie raz, a wielokrotnie. Należało mu się!

Adwokat bez słowa skinął głową. Na korytarzu wpadł na nich Paul Drake.

- Perry, mam coś!

- Słyszałeś werdykt?

- Tak, słyszałem - mruknął Drake nie patrząc przyjacielowi w oczy.

- Co masz? - zainteresował się adwokat.

- Tego dnia, kiedy Marline Chaumont zniknęła z lotniska Walter Irving wynajął samochód. Wczorajszej nocy wynajął następny.

- Tak też myślałem - mruknął Mason. –

Zwrócił pierwszy samochód?

- Nie.

- Płaci za wypożyczenie obu wozów?

- Jak dotąd, tak.

- Nie możemy więc go oskarżyć o kradzież samochodu, bo policja nie będzie miała podstaw do zorganizowania pościgu...

- Wygląda na to, że nie...

- Della, czy masz w torebce notes do stenografowania? - zwrócił się Mason do sekretarki.

Skinęła głową.

- W porządku. Chodźmy, Paul.

- Dokąd?

- Zobaczyć się z Ann Ridle, dziewczyną, która kupiła trafikę w naszym budynku - Mason uśmiechnął się złośliwie. - Może zdążymy ją złapać zanim również zdoła wyfrunąć. Hamilton Burger jest zbyt zajęty prasą i strojeniem się w laurowy wieniec, aby mieć teraz czas na myślenie...

- Do licha, Perry... wyobrażam sobie, co czujesz... klient skazany za morderstwo z premedytacją... to pierwszy tego rodzaju wypadek w twojej karierze.

Mason odwrócił się gwałtownie i zmierzył

detektywa wzrokiem zimnym jak lód.

- Mój klient nie został skazany.

Przez chwilę Drake nie wierzył własnym uszom, lecz wyraz twarzy Masona wstrzymał go od dalszych pytań.

- Wytrzaśnij adres tej dziewczyny, która kupiła trawkę i chodźmy - rzucił energicznym głosem adwokat

kierując się ku wyjściu.

## **Rozdział XIX**

Mason z nieubłaganym wyrazem twarzy odtrącił gniewnym ruchem krzesło podsunięte mu przez przerażoną blondynkę.

- Może pani mówić teraz albo może pani mówić później - warknął. - Do wyboru. Jeżeli zacznie pani mówić teraz, to istnieje szansa, że będzie to zaliczone na pani korzyść. Jeżeli zacznie pani mówić później, to zostanie pani skazana za współudział w morderstwie. Proszę się zdecydować.

- Nie mam nic do powiedzenia.

- Irving i Jefferson weszli do budynku przed tym całym zamieszaniem. W biurze zastali Mae Jordan. Złapali ją. Zadzwoił telefon.

Ostrzeżono ich, że lada chwila mogą się spodziewać wizyty policji, bo ktoś zawiadomił

komisariat, iż do lokalu towarzystwa włamała się jakaś dziewczyna, i że stenografka, która widziała tę dziewczynę, czatuje wraz z administratorem przy windach. Była tylko jedna osoba, która mogła dostarczyć im tej informacji.

Pani.

- Nie ma pan prawa tak mówić.

- Powiedziałem i powtarzam raz jeszcze.

Następnym razem powiem to w sądzie. Jutro, do godziny dziesiątej rano, będziemy wiedzieli już wszystko o pani przeszłości i powiązaniach z Irvingiem. A wtedy nawet dobry Boże nie pomoże. Popelniła pani krzywoprzysięstwo.

Sledzimy pani każdy krok. A teraz, gadaj!

Opuściła oczy pod twardym spojrzeniem adwokata, a następnie zaczęła się niespokojnie wiercić na krześle.

- No, gadaj - ponaglił ją Mason.

- Nie muszę panu odpowiadać. Pan nie jest z policji. Pan...

- Gadaj!

- Płacono mi za to, żebym wszystko obserwowała - zaczęła z ociąganiem - i gdyby wydarzyło się coś podejrzanego, miałam natychmiast telefonować do biura towarzystwa.

Nie ma w tym nic niezgodnego z prawem.

- To wszystko wygląda dużo poważniej.

Brała pani udział w tej całej historii. Za ich pieniądze kupiła pani kiosk. Jaki jest pani związek z tą sprawą?

- Nie może mi pan niczego udowodnić.

Pana twierdzenie jest fałszywe i oszczercze.

David Jefferson na pewno nie naopowiadał tej małej zdzirze podobnych bzdur. A jeżeli tak, to kłamał.

- Gadaj! - powtórzył po raz trzeci adwokat.

Przez chwilę widać było na jej twarzy wahanie, a potem z uporem potrząsnęła przecząco głową. Mason skinął na Delię Street.

- Zadzwoń na policję, do wydziału zabójstw. Poproś porucznika Tragga i powiedz, że chcę z nim mówić.

Della ujęła słuchawkę telefonu.

- Zaraz, poczekajcie - zdenerwowała się blondynka. - Nie może pan...

- Czego nie mogę? - zapytał Mason, kiedy urwała wpół zdania.

- W nic mnie pan nie wrobi. Nie ma pan żadnych dowodów.

- Właśnie jestem w trakcie ich zdobywania - Mason wskazał ręką na przyjaciela

- Paul Drake jest doświadczonym detektywem.

Jego ludzie zajmują się teraz wyświechtaniem interesów łączących panią z Irvingiem.

- No dobrze. Przypuśćmy, że mój przyjaciel pożyczył mi pieniądze na kupno kiosku z papierosami. Nie ma w tym nic złego.

Jestem pełnoletnia i mogę robić, co mi się żywnie podoba.

- To jest pani ostatnia szansa - ostrzegł ją Mason. - Irving zostawia za sobą masę fałszywych śladów, bo chce się zabezpieczyć przed pogonią. Jeżeli mu się to uda, pojedzie do Marline Chaumont, która zadekowała się w jednym z okolicznych miasteczek. Jak tylko ta parka się spotka - bomba wybuchnie. Na pewno dał pani adres, pod którym można się z nim skontaktować w razie jakiejś nagłej potrzeby. I to jest kryjówka Marline Chaumont. Gdzie się ta melina znajduje?

Potrząsnęła przecząco głową.

Mason skinął na sekretarkę i Della zaczęła wykręcać numer.

- Proszę mnie połączyć z wydziałem zabójstw - łagodny zazwyczaj głos Delii Street zabrzmiał tym razem bardzo ostro.

- To jest w Santa Anna - wykrztusiła przez łyzy blondynka.

- Gdzie? - nie ustępował Mason.

Zaczęła grzebać w torebce i po chwili wyciągnęła kartkę z adresem, którą podała adwokatowi. Mason skinął głową i Della odłożyła słuchawkę na widełki.

- Idziemy - zwrócił się Mason do blondynki.

- Idziemy? Jak mam to rozumieć? -

zdeenerwowała się.

- Mówiłem chyba całkiem jasno. Nie jesteśmy na tyle naiwni, żeby zostawić panią samą i dać szansę porozumienia się z kimkolwiek. Sprawa jest za poważna i gdybyśmy dopuścili teraz do najmniejszego przeoczenia...

- Nie może mnie pan zmusić do pójścia!

- Nie mogę pani zmusić do pójścia ze mną, ale mogę zawezwać policję, żeby zamknęła panią w ciupie. Minusem jest to, że stracimy jakieś piętnaście minut czasu. Co pani wybiera?

- Proszę tak na mnie nie patrzeć. Pan mnie próbuje nastraszyć. Pan...

- Mówię bez ogródek. Chce pani zostać oskarżona o morderstwo?

- Ja... - zawahała się.

- Niech się pani ubiera - rzucił

rozkazującym głosem adwokata.

Ann Ridle podeszła do szafy.

- Uważaj na nią, Della. Nie chcemy przecież, żeby wyciągnęła spluwę.

Ann Ridle narzuciła na ramiona lekki płaszcz i mierząc wściekłym spojrzeniem Drake'a czekała, aż skończy przeglądać zawartość jej torebki.

Zjechali we czworo windą i bez słowa wsiedli do samochodu. Mason wyjechał na autostradę i dodał gazu.

## **Rozdział XX**

Dom znajdował się w zacisznej dzielnicy willowej. W salonie paliło się światło, a w garażu stał samochód. Po mokrych pasmach na chodniku, można było poznać, że trawnik został

niedawno podlany.

Mason gwałtownie zatrzymał wóz i szarpnięciem otworzywszy drzwi wbiegł na stopnie prowadzące na ganek. Della Street pospieszyła za nim, a Paul Drake, z ręką na ramieniu Ann Ridle, zamykał pochód.

Adwokat nacisnął dzwonek i po kilku sekundach drzwi uchylły się na pół cala.

- Kto tam? - zapytał kobiecy głos.

Mason pchnąwszy z całej siły drzwi wpadł do małego holu.

Marline Chaumont, patrząc na adwokata przerażonym wzrokiem, zatoczyła się do tyłu.

- Pan! - krzyknęła.

- Przyszliśmy po pani brata - oznajmił

Mason.

- Mój brat... jak to się nazywa po angielsku... chory na głowę. On jest stuknięty.

Nie wolno go niepokoić. On śpi.

- Proszę go obudzić - rzekł

bezkompromisowym tonem adwokata.

- Ale pan tego nie może zrobić. Mój brat... on... Pan nie jest prawem, non?



- Nie. Ale policja przybędzie tu za jakieś pięć minut. Twarz Marline Chaumont wykrzywił grymas wściekłości.

- Ty! - wrzasnęła na blondynkę. -

Oszukanica! Wywiodłaś nas w pole!

- Wcale nie - zaprzeczyła Ann Ridle. - Ja tylko...

- Już ja wiem, coś ty zrobiła, oszukanico!

Pluję na ciebie. Ty kapusiu przeklęty!

- Zostawcie wasze porachunki na później

- przeciął adwokat gwałtowny wylew uczuć Marline. - Gdzie jest mężczyzna, którego podaje pani za swojego brata?

- Ależ on j e s t moim bratem!

- Bzdura - uśmiechnął się ironicznie Mason.

- Został zabrany ze szpitala...

- Człowiek, który został zabrany z państwowego szpitala dla umysłowo chorych, jest w takim samym stopniu spokrewniony z panią jak i ja. Użyła go pani jako statystę. Nie znam jego dalszych losów. Najprawdopodobniej umieściliście go w jakimś prywatnym zakładzie.

Chcę zobaczyć człowieka, który zajął jego miejsce. No, szybko, nie mam czasu!

- Pan sam jest chory na głowę -

krzyknęła z wściekłością Marline Chaumont. -

Nie ma pan prawa...

- Paul, zajmij się nią - nakazał Mason i ruszył przedsionkiem w stronę tylnej części domu.

- Zabiją cię, ty... ty... - rozwrzeszczała się kobieta. - Nie wolno ci tego robić! Ty...

Mason po kolei otwierał drzwi do każdego pokoju. I dopiero w trzecim zobaczył

wyniszczonego mężczyznę, leżącego na łóżku z rękami w kajdankach.

Jakiś barczysty osobnik, zajęty dotąd czytaniem ilustrowanego magazynu, wstał

powoli z krzesła.

- Co do diabła! - ryknął potężnym głosem. Mason przyjrzał mu się uważnie.

- Wygląda pan na byłego gliniarza.

- A co to pana może obchodzić? -

zapytał wrogo mężczyzna.

- Prawdopodobnie na emeryturze -

ciągnął spokojnie Mason. - Zaczął pan pracować jako prywatny detektyw, ale zarobki były marne.

I wtedy nadarzyła się ta praca.

- Ej, o czym pan gada?

- Nie wiem, jaką panu opowiedzieli bajeczkę i nie wiem, czy bierze pan udział w tej sprawie, czy nie, ale cokolwiek panu powiedzieli

- bał się skończył. Jestem adwokatem, moje nazwisko - Perry Mason.

Mężczyzna z rękami w kajdankach odwrócił się na łóżku i spojrzał na adwokata.

Jego oczy, otępiałe od środków uspokajających, z trudem potrafiły skupić uwagę na jednym punkcie.

- Kim pan jest? - zapytał niewyraźnym głosem człowieka mówiącego przez sen.

- Przyszedłem pana stąd zabrać -

powiedział łagodnym tonem Mason.

- Ten facet jest chory umysłowo -

odezwał się mężczyzna stojący przy łóżku. - Ma napady szału. Nie można go puścić swobodnie, uroił sobie, że...

- Wiem - przerwał Mason. - Nazywa się Pierre Chaumont, ale twierdzi, że jest kimś innym. Wydaje mu się, że jego prawdziwe nazwisko...

- Ej, skąd pan to wszystko wie? - zdziwił

się mężczyzna.

Mason popatrzył na niego z pogardą.

- Dostał pan stałą robotę. Kobieta opowiedziała panu sentymentalną bajeczkę, a pan najprawdopodobniej myśli, że ona jest jedną z najłagodniejszych i najwspanialszych istot na świecie. Najwyższa pora, żeby się pan obudził.

A jeżeli chodzi o tego człowieka na łóżku, to zabieram go ze sobą. Najpierw do najlepszego doktora, jakiego uda mi się znaleźć, a potem...

cóż, potem będziemy gotowi na spotkanie w piątek o godzinie dziesiątej rano.

- W tym czasie może pan już znajdować się w więzieniu albo być wolnym człowiekiem -

kontynuował Mason.

- Ale musi pan wybrać teraz. Oddzielamy winnych od niewinnych. Jeżeli brał pan świadomie udział w tej historii, to uprzedzam, że jest pan zamieszany w morderstwo. Jeżeli jednak został pan zatrudniony tylko jako opiekun umyślowo chorego człowieka - to inna rzecz. Ma pan jedyną okazję do podjęcia decyzji. Na dole czeka detektyw, a policja jest już w drodze.

Zjawi się tutaj za kilka minut i oczywiście będą chcieli wiedzieć, jaka jest pana rola w tej całej historii. Daję panu szansę i radził bym pamiętać, że to jest pana ostatnia szansa.

Barczysty osobnik zamrugał kilkakrotnie powiekami.

- Mówi pan, że ten facet nie jest stuknięty?

- Oczywiście, że nie.

- Widziałem jego papiery. Zabrano go z państwowego szpitala dla umyślowo chorych.

- Innego faceta zabrano ze szpitala, a innego podstawiono na jego miejsce. Zresztą, nie ma czasu na dyskusje. Niech się pan zdecyduje.

- Pan jest adwokatem?

- Tak.

- Ma pan jakiś dowód tożsamości?

Mason wręczył mu swoją wizytówkę oraz prawo jazdy. Mężczyzna westchnął z rezygnacją.

- Okay, mecenasie. Wygrał pan.

## **Rozdział XXI**

Woźny ogłosił otwarcie posiedzenia sądu. Hamilton Burger, z wyrazem ogromnej satysfakcji na twarzy, rozsyłał uśmiechy na prawo i lewo.

- Dzisiaj przypada termin ogłoszenia wyroku w sprawie z oskarżenia publicznego przeciwko Davidowi Jeffersonowi oraz złożenia wniosku o nowy proces - oznajmił tubalnym głosem sędzia Hartley. - Czy obrońca prosi o głos?

- Tak, Wysoki Sądzie - Perry Mason lekko skłonił głowę. - Stawiam wniosek o otwarcie nowego przewodu sądowego w wyżej wymienionej sprawie, opierając się na fakcie, że proces toczył się pod nieobecność oskarżonego.

- Co? - wrzasnął nieopanowanie prokurator. - Oskarżony był podczas całej rozprawy obecny w sądzie. Potwierdza to protokół.

- Pan David Jefferson, proszę wstać -

rzekł Mason z kamiennym wyrazem twarzy.

Mężczyzna siedzący obok obrońcy wstał

z krzesła. Inny mężczyzna, siedzący w środku sali rozpraw, również powstał.

- Proszę się zbliżyć do trybunału -

nakazał Mason.

- Chwileczkę - sędzia Hartley uniósł rękę gestem nakazującym spokój. - Co to wszystko ma znaczyć, panie mecenasie?

- Poprosiłem pana Jeffersona, żeby wstał.

- Przecież stoi - mruknął ironicznie oskarżyciel.

- Właśnie - przytaknął Mason.

- A kim jest ten drugi człowiek? -

zapytał przewodniczący sądu przysięgłych. -

Świadkiem?

- To jest David Jefferson.

- Zaraz, zaraz, nie tak prędko -

zdenerwował się Hamilton Burger. - Co to wszystko ma znaczyć? Jakimi nowymi historyjkami zamierza nas zabawiać obrońca?

Wyjaśnijmy jedno! To jest oskarżony. Stoi za barierą odgradzającą trybunał od publiczności.

- A to jest David Jefferson. Zbliży się dopiero do bariery - wyjaśnił z uprzejmym uśmiechem Mason. - Stawiam wniosek o otwarcie nowego przewodu sądowego, powołując się na fakt, że cały proces Davida Jeffersona, oskarżonego o morderstwo pierwszego stopnia, toczył się pod jego nieobecność.

- Chwileczkę, chwileczkę! - wrzasnął

ponownie prokurator. - Powiniennem był się domyślić, że coś takiego się wydarzy. obrońcy nie wolno mylić zasadniczych spraw. Nie ma teraz najmniejszego znaczenia, czy ten człowiek to David Jefferson, czy też James Kinacaid. To jest człowiek, który popełnił morderstwo.

Człowiek, którego sądzono za morderstwo. To, że używał nazwiska Jefferson, nie uchroni go przed skazaniem za morderstwo.

- Lecz część pana dowodów była skierowana przeciwko mojemu klientowi, Davidowi Jeffersonowi  
- skorygował go Mason.

- Pana klientowi? - warknął Burger. -

Pański klient stoi obok pana.

Mason uśmiechnąwszy się potrząsnął

przecząco głową.

- To jest mój klient - rzekł, przyzywając ruchem ręki mężczyznę stojącego w przejściu do trybunału. -  
To jest David Jefferson, którego obrony podjąłem się na zlecenie

„Południowoafrykańskiego Towarzystwa Importu i Eksploatacji Kamieni Szlachetnych”.

- No, ale przecież nie jego pan bronił -

wzruszył ramionami prokurator. - Nie wykręci się pan z tego bałaganu tak łatwo.

- Bronię go teraz - oświadczył Mason.

- A niech go pan sobie broni. Nikt go o nic nie oskarża.

- Stawiam wniosek o otwarcie nowego przewodu sądowego, powołując się na fakt, że proces odbył się podczas nieobecności oskarżonego.

- Oskarżony przecież stoi tutaj - upierał

się Hamilton Burger. - Proces odbył się w jego obecności. To on został skazany. I wszystko mi jedno co pan zrobi z tym drugim człowiekiem, bez względu na jego nazwisko!

- Ale przedstawił pan dowody rzeczowe, stanowiące własność prawdziwego Davida Jeffersona -  
ciągnął spokojnie Mason. - Sztylet na przykład. Listy.

- Co pan ma na myśli?

- Panna Mae Jordan, opowiadając nam o listach, które otrzymywała od Jeffersona, wyjawiała również ich treść. Postawiłem wniosek o wykluczenie jej zeznań. Wniosek został

odrzucony. Wszystkie jej zeznania zostały przedstawione ławie przysięgłych. I te odnośnie listów zatytułowanych „Długonogi Pajęczku”

czy też „Książę z bajki”, i zeznania dotyczące trickowych fotografii oraz możliwości Osobistego poznania się, no i oczywiście zeznania na temat sztyletu.

- Chwileczkę - zdenerwował się sędzia Hartley. - Sąd jest gotów udzielić panu posłuchania w tej sprawie, ale uprzedzam, że wydam surowe zarządzenia, jeżeli okaże się, że chodzi tu o udratyzowane przedstawienie szczegółów, które mają posłużyć dla wyolbrzymienia kwestii spornych.

- Moim jedynym celem jest wyjaśnienie sytuacji - odpowiedział Mason. - To, co się stało, jest całkiem proste. David Jefferson, który stoi obecnie w przejściu dzielącym Trybunał od publiczności, jest zaufanym pracownikiem

„Południowoafrykańskiego Towarzystwa Importu i Eksploatacji Kamieni Szlachetnych”.

Jefferson, wraz z Walterem Irvingiem, pracownikiem paryskiego oddziału, został

wysłany do Ameryki z zadaniem

uruchomienia nowej filii. Miał otrzymać pocztą przesyłkę poleconą, zawierającą brylanty wartości pół miliona dolarów.

- Walter Irving, który uprawiał nałogowo hazard, znalazł się w krytycznej sytuacji - ciągnął

dalej adwokat. - Wiedział, że w niedługim czasie zostanie przeprowadzona w paryskiej filii kontrola ksiąg i jego malwersacje wyjdą na jaw.

- Wykombinował więc, że niejaki James Kincaidtu Mason wskazał ręką na oskarżonego -

zajmie miejsce Davida Jeffersona. Wyszkolił go odpowiednio. Po nadejściu oczekiwanej przesyłki, James Kincaid miał się wraz z nią ulotnić. Walter Irving, zgodnie z przepisami, zawiadomiłby towarzystwo o kradzieży, następnie zaś ciało Jeffersona zostałoby odnalezione w okolicznościach wskazujących na popełnienie samobójstwa.

Kłopot polegał na tym, że wszystkiego było im mało. Wiedzieli, że Munroe Baxter przemycił szlachetne kamienie do Ameryki.

Postanowili więc go zabić i przywłaszczyć sobie brylanty. W istocie Walter Irving pomógł

Baxterowi w zorganizowaniu przemytu i za pewną sumę w gotówce załatwił dostarczenie Baxterowi brylantów w takich okolicznościach, które ułatwiłyby ich przemyt do Ameryki.

Mason przerwał na chwilę i rozejrzawszy się po ławach przysięgłych, ciągnął dalej mocnym głosem.

- Rzekomy David Jefferson nie musiał

nawet dobrze wejść w swoją rolę. Zamierzał po przywłaszczeniu brylantów stworzyć okoliczności ułatwiające odnalezienie ciała prawdziwego Jeffersona, na długo zanim policja mogłaby rozpocząć dochodzenie w tej sprawie.

Jednakże, ze względu na zmiany w systemie podatkowym, wysyłka brylantów została opóźniona. W tej sytuacji wspólnicy nie mogli sobie pozwolić na zniknięcie rzekomego Jeffersona, bowiem dopiero zniknięcie drogocennej przesyłki wraz z Jeffersonem dałoby podstawę Walterowi Irvingowi do powiadomienia towarzystwa o dokonanym sprzeniewierzeniu. Tak więc prawdziwy David Jefferson musiał być utrzymany przy życiu.

- Wysoki Sądzie! Wysoki Sądzie! -

Hamilton Burge i zupełnie już nie panował nad sobą. - To jest po prostu

jeszcze jedna ze zwariowanych dramatycznych gier, z których słynie obrońca. Tym razem jego klient został skazany za morderstwo pierwszego stopnia i zamierzam osobiście dopatrzeć, aby zapłacił za swój czyn najwyższą karę.

Mason wskazał na mężczyznę stojącego w przejściu.

- To jest mój klient. To jest człowiek, którego podjąłem się bronić. Zamierzam dowieść, że jego proces odbył się podczas jego nieobecności. Panie Jefferson, proszę podejść do podium dla świadków i złożyć przysięgę.

- Wysoki Sądzie, zakładam sprzeciw! -

krzyczał ochryłym głosem Hamilton Burger. -

Sprzeciwiam się tego rodzaju procedurze.

Twierdzę, że ten oskarżony-tu wskazał palcem na mężczyznę stojącego z opuszczoną głową koło obrońcy - jest jedynym oskarżonym w tym procesie.

Sędzia Hartley uniósł uspokajającym gestem rękę.

- Zaraz, zaraz, chwileczkę. Zanim poweźmę jakąkolwiek decyzję, muszę najpierw dokładnie zbadać tę sprawę i zorientować się, o jaki punkt sporny chodzi obrońcy. Ogłaszam piętnastominutową przerwę, podczas której postaramy się wszystko wyjaśnić. Proszę rzeczników obu stron, by spotkali się ze mną w pokoju sędziowskim. Oskarżony pozostanie w tym czasie w areszcie.

Mason uśmiechnął się z wyraźnym zadowoleniem. Wysoki mężczyzna o wychudzonej twarzy, stojący dotąd nieruchomo w przejściu do trybunału, odwrócił się w kierunku sali rozpraw. Mae Jordan podeszła do niego.

- Halo, Księżę z bajki - zaryzykowała niepewnym głosem.

Oczy Jeffersona rozjaśniły się.

- Halo, Lady Guinevere - szepnął. -

Powiedziano mi, że pani będzie tutaj.

- Książę... Książę z bajki!

- Zostawię go pod pani opieką, panno Jordan - rzekł konspiracyjnym tonem Mason i z zadowoloną miną wkroczył do pokoju sędziowskiego.

## **Rozdział XXII**

- No i co? - powitał adwokata sędziego Hartley.

- To był cały spisek - rozpoczął Mason. -

Faktycznie został uknuty już w Paryżu, kiedy Walter Irving dowiedział się, że ma jechać do Ameryki, by współdziałać z Jeffersonem w otwarciu nowej filii. Dobrał sobie do pomocy Marline Chaumont, bardzo cwana babkę, którą towarzystwo angażowało na przyjęcia w roli hostessy. No i oczywiście Jamesa Kincaida. I gdyby nie byli tacy chciwi, to prawdopodobnie cały plan by im się udał. Wiedzieli, że Baxter zamierza przemycić do Ameryki brylanty wartości trzystu tysięcy dolarów. Gilly miał

wypłynąć po niego łodzią i dostarczyć go w umówione miejsce. Przekonali jednak Gilly'ego, że ze względu na jego przeszłość, Baxter zmienił

plany i zdecydował,

że

Kincaid z jakimś drugim osobnikiem zabiorą go łodzią. Gilly kłamał, kiedy zeznał, ile dostał za wypożyczenie łodzi. Otrzymał dwa i pół tysiąca dolarów. Taką cenę ustalono. Marline Chaumont złożyła na moje ręce zaprzysiężone zeznanie.

~ Chwileczkę - wstrzymał potok

wymowy Masona sędziego Hartley. - Czy to oświadczenie dotyczy klienta, w którego imieniu występuje pan w sądzie?

- Nie występuję w jego imieniu -

zareplikował szybko Mason. - Występuję w imieniu prawdziwego Davida Jeffersona, którego obrony podjąłem się na zlecenie

„Południowoafrykańskiego Towarzystwa”.

Proponuję jednak, aby sąd umożliwił temu drugiemu człowiekowi zaangażowanie własnego obrońcy lub też takowego wyznaczył. On również ma prawo do nowego procesu.



- Nawet jeżeli to, co pan mówi, jest prawdą, ten facet nie może mieć nowego procesu! - wybuchnął Hamilton Burger. - Pan go bronił i pan przegrał sprawę!

Mason uśmiechnął się zimno do

prokuratora.

- Gdyby nie zeznania Mae Jordan na temat jej korespondencji z Jeffersonem, to kto wie, może by i udało się panu jakoś skłecić tę całą sprawę. Prowadziła korespondencję z prawdziwym Jeffersonem, a nie z człowiekiem, którego pan oskarża o morderstwo. Nie może pan udowodnić winy Jeffersonowi, ponieważ nie był on obecny na swoim procesie. Nie może pan użyć obecnego udowodnienia winy przeciwko rzekomemu Jeffersonowi, ponieważ oparł się pan na dowodach należących do prawdziwego Jeffersona.

- Najpierw trzeba zidentyfikować człowieka, którego się zaarrestowało - kpił

Mason. - Tak się pan diabelnie spieszył, żeby znaleźć jakiś bacik na mnie, że kiedy pańscy ludzie dowiedli, opierając się na odciskach palców, iż facet był karany w przeszłości, dał się pan ponieść entuzjazmowi. Pozwolił pan Mae Jordan zeznawać na temat przebiegu jej znajomości z prawdziwym Jeffersonem. I nigdy nie przyszło panu na myśl, żeby sprawdzić, czy człowiek, któremu posłała ten nóż, jest tym samym człowiekiem, którego oskarżał pan o morderstwo.

Mason przerwał na chwilę, a kiedy znowu zaczął mówić, widać było, że waży każde słowo.

- Kiedy tylko pociąg znalazł się za Chicago, rzekomy Jefferson i Irving uśpili narkotykami prawdziwego Jeffersona. Skradli wszystkie jego papiery, skradli listy Mae Jordan, skradli nóż. Będzie pan musiał to udowodnić na następnym procesie i nie zamierzam panu pomóc. Może pan sam zdobyć dowody. W mojej kancelarii jest teraz Marline Chaumont. Złożyła zaprzysiężone zeznanie, które pozwałam sobie wręczyć Wysokiemu Sądowi wraz z kopią dla prokuratora okręgowego.

- I jeszcze jedna sugestia, prokuratorze.

Jeżeli chce pan tę sprawę kiedyś zakończyć, to radzę odszukać człowieka, który znajdował się w łodzi z Kincaidem, ponieważ z całą pewnością nie był to Irving.

- A teraz proszę Wysoki Sąd o

uwolnienie mnie od jakiegokolwiek odpowiedzialności za oskarżonego, Jamesa Kincaida, znajdującego się w chwili obecnej na sali rozpraw. Przy pomocy podstępu, oszustwa i fałszywego przedstawienia tożsamości skłonił

mnie do reprezentowania go w sądzie. Moim jedynym klientem jest David Jefferson.

~ Chciałbym porozmawiać z tym

Jeffersonem - zwrócił się do adwokata sędziego Hartley. - Przypuszczam, że może pan ustalić jego tożsamość bez żadnych już wątpliwości?

- Jefferson odbywał służbę wojskową i odciski jego palców znajdują się w kartotekach dowództwa jednostki - rzekł krótko Mason.

- To powinien być wystarczająco dobry dowód - przytaknął z uśmiechem sędzia Hartley.

- Chciałbym teraz z nim porozmawiać.

Mason otworzył drzwi i rozejrzawszy się po sali rozpraw powiedział wesołym głosem:

-Nie ma rady, panie sędzio, będę musiał

im przerwać. Jefferson i świadek Mae Jordan trajkoczą jak najęci.

Wygląda na to, że świetnie się rozumieją. Chyba dlatego, iż oboje są zainteresowani zdjęciami fotograficznymi.

Sędzia Hartley roześmiał się głośno.

- A może, panie mecenasie - zasugerował

z ironicznym błyskiem w oczach - panna Jordan opowiada panu

Jeffersonowi, gdzie zdobyła klucz?

„KB”